

KAYTE NUNN

NIEKTÓRE KSIĄŻKI, JAK WINO, MOŻNA SĄCZYĆ.  
TĘ JEDNAK POCHŁONEŁAM JEDNYM HAUSTEM!

# WINNICIA ROSE

smak  
jezyn

WINNICA  
ROSE



KAYTE NUNN

# WINNICA ROSE

Z języka angielskiego przełożyła  
Agata Trzcńska-Hildebrandt



# Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Podziękowania](#)

[O autorce](#)

[Przypisy](#)

Andy'emu - za opiekę  
nad domowym ogniskiem

przycinać

czasownik

przystrzygać (drzewo lub krzew), odcinając martwe lub przerośnięte  
gałęzie i łodygi,  
głównie w celu pobudzenia wzrostu

# Rozdział I

*Gdyby kiedykolwiek miało dojść do apokalipsy zombie, to tu właśnie by się zaczęła, pomyślała Rose, drząc w lodowatych podmuchach wiatru, który do doliny Shingle trafił chyba prosto z Antarktyki. Równe rzędy bezlistnych, powykręcanych krzewów winnych pokrywały ziemię aż po horyzont, odcinając się ostro od bladoszarego nieba. W oddali widać było ciemną plamę – zakładała, że to wzgórze Shingle. Wyglądały jak zgubiona przez jakiegoś olbrzyma pognieciona chusteczka do nosa.*

Było dziwnie cicho. Wiatr rozwiewał jej włosy. Tupała mocno i machała rękami, na próżno próbując przywrócić krążenie w zgrabiących kończynach. Palce skostniały jej zupełnie, kiedy godzinami zaciskała je na kierownicy swojego małego żółtego samochodzika. Kiedy tydzień temu w Sydney zdecydowała się go kupić, zapomniała sprawdzić, czy działa ogrzewanie.

To był pierwszy błąd. Drugi – brak jakichkolwiek ciepłych ciuchów w walizce. Nigdy nie przypuszczała, że w Australii może być tak zimno. Krajobraz wokół zdecydowanie nie przypominał folderów reklamowych ze zdjęciami słońca, plaży i desek surfingowych, które – jak uważała do tej pory – były tu na porządku dziennym przez cały rok. Serial „Zatoka serc” miał tu sporo na sumieniu. Dżinsy, półbuty i bluzka – wprawdzie z długim rękawem, ale co z tego – nie zapewniały specjalnej ochrony przed lodowatym wiatrem.

Parę minut wcześniej koła jej samochodu ugrzęzły w błocie na drodze obsadzonej wzdłuż drzewami. Na wybojach uderzała głową o dach małego pojazdu. Miała za sobą długą, ale stosunkowo prostą drogę – przynajmniej od momentu, kiedy uciekła przed zachłannymi mackami miasta i przejechała mostem Harbour Bridge w kierunku północnym. Wytwórnię win Kalkari Wines znalazła dość łatwo dzięki drewnianemu drogowskazowi. Na rozpadającej się desce ktoś czarnymi literami z licznymi zawijasami napisał nazwę przy drodze z Eumeralli, niewielkiej miejscowości w samym centrum doliny.

Jako dziecko, w ogródku za domem, Rose ze swoim bratem Henrym często bawiła się w wykopywanie tunelu aż do Australii. Nawet kiedy jego ta zabawa już znudziła, ona nie chciała się poddawać – wykopywała w końcu dziurę tak wielką, że cała się do niej mieściła. Ich mama dostawała na ten widok szału i kazała im natychmiast dziurę zakopywać, krzycząc, że Rose uszkodziła korzenie jej ukochanych hortensji i że mogła się udusić, przywalona przez zwały ziemi. Rose zapamiętała frustrację spowodowaną tą niesprawiedliwością. W końcu ciężko się napracowała przy wykopywaniu tunelu. Teraz jednak czuła się tak, jakby w końcu udało jej się przejść przez wykop na drugą stronę.

Niestety Australia w ogóle nie spełniała jej oczekiwań.

Westchnęła z rezygnacją, nabrała głęboko do płuc lodowatego powietrza i podeszła do drzwi winiarni – niskiego budynku z drewna i kamienia, znajdującego się obok parkingu. Za nim wznosiła się duża szopa z dachem z blachy falistej o mocno przemysłowym wyglądzie. Tablica koło drzwi informowała, że



winiarnia otwarta jest od dziesiątej do szesnastej. Rose spojrzała na zegarek – było ciut po jedenastej. Nacisnęła klamkę, ale drzwi nawet nie drgnęły. Przez zakurzoną szybę mogła dostrzec kilka beczek na wino i szynkwas ciągnący się przez całą długość sali.

Z prawej strony zaskrzeczała ponuro sroka. *Jedna wróży smutek*, przypomniała sobie stare angielskie powiedzenie. Znaki widziała wszędzie – od złych wiadomości chodzących parami po czarnobiałe ptaki zwiastujące nieszczęście. *Cóż... nie wygląda to dobrze.*

Starając się zignorować srokę, która patrzyła na nią pytająco z przechyloną głową, Rose skręciła w lewo, ominęła parking i ruszyła drugim podjazdem, tym z tabliczką „Własność prywatna”. Po chwili zobaczyła dom – i zaniemówiła z wrażenia. Nawet w tak ponury dzień był to niesamowity widok – ściany z piaskowca z ogromnymi prostokątnymi oknami, dach z ciemnych łupków z wystającymi oknami facjatkowymi i kominami na obu końcach. Po obu stronach ogromnych drewnianych drzwi stały imponujące kolumny z piaskowca, a kwadratowy ganek był otoczony bujnymi krzewami lawendy w zaśniedziałych miedzianych donicach. Patrząc na dom na tle wzgórz, kobieta pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała czegoś tak onieśmielającego ani tak pięknego. Miała dziwne uczucie *déjà vu* – jakby już go gdzieś kiedyś widziała albo znała...

*Opanuj się, dziewczyno!*

Rose ze zdenerwowania słyszała własne tętno w uszach. Nie lubiła zaskakujących zwrotów akcji w życiu. Za wszystko teraz winiła Henry’ego. Z lekkim niepokojem, czując się jak natręt, nieśmiało zapukała do drzwi.

A potem zapukała jeszcze raz, tym razem głośniej.

Nikt nie odpowiadał. Obeszła dom i znalazła na tyłach werandę zarzuconą najrozmaitszymi dziecięcymi rzeczami – zardzewiałymi rowerkami, na wpół zburzoną wieżą z klocków i dużym wyborem zabłoconych kaloszy w różnych rozmiarach. W błocie grzebało kilka brązowych kur. Wreszcie jakaś oznaka życia.

– Dzień dobry! – zawołała Rose. – Czy jest tu ktoś?

*Ain’t nobody here but us chickens*<sup>1</sup>, przypomniał jej się wers starej jazzowej melodii.

W tym właśnie momencie usłyszała pomruk silnika i grzechot opon na żwirze. Obiegła dom i zobaczyła poobijany samochód terenowy, który właśnie z piskiem hamulców i wśród fontanny żwiru zatrzymał się przed drzwiami frontowymi. Przyglądała się, jak szczupła platynowa blondynka (w takiej puchowej kurtce i włóczkowej czapce równie dobrze mogłaby spacerować po St. Moritz) wysiada z auta. Z bliska zobaczyła, że kobieta ma brzoskwiniową, idealną cerę, a w nosie mały brylantowy kolczyk. Wyglądała na jakieś siedemnaście lat.

– Dzień dobry – zaczęła Rose. – Ja... Nie byłam pewna, czy ktokolwiek jest w domu.

Od tego rozpaczliwego zimna zaczęła szczękać zębami.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała dziewczyna, odgarniając jasne włosy. – Jesteś pewnie tą nową au pairką.

– To właśnie ja – przyznała Rose, ale nawet w jej własnych uszach nie brzmiało to zbyt przekonująco. Jeszcze dwa tygodnie wcześniej w najgorszych koszmarach nie przypuszczałyby, że znajdzie się na drugim końcu świata, udając opiekunkę do dzieci w takiej dziurze zabitej dechami. Może nie była superszczęśliwa, ale była całkiem zadowolona z życia, miała stałą pracę, mieszkanie i chłopaka. Teraz

jednak dryfowała bezwładnie, odcięta od wszystkiego, co uważała za pewnik.

*Musi mi się udać.*

Dziewczyna spojrzała na Rose tak przenikliwie, że kobieta niemal straciła panowanie nad sobą.

– Dobrze. Dzwonili z agencji, że kogoś przyślą. Pani B ma duże problemy z plecami i na chwilę obecną sytuacja jest zupełnie do chrzanu. Lepiej wejść do środka – stwierdziła blondynka. – Tu panuje zupełne szaleństwo, a już on to – jak by to powiedzieć? Humorzysty pajac. Ale dzieci są miłe. Przynajmniej przez większość czasu.

Mówiąc to, otworzyła tylne drzwi samochodu i zaczęła rozpinąć pasy małej dziewczynce, mniej więcej dwulatce. Rose widziała tylko chmurę ciemnych włosów wymykających się spod jasnozielonej polarowej czapki.

Rose wiedziała, kim jest „on”. Henry powiedział jej to jeszcze w Londynie. Mark Cameron. Założyciel i właściciel Kalkari Wines. Trzydziestoosmiolatek. Po świetlanej karierze w jednej z największych w Australii firm produkujących wina wycofał się z pracy w korporacji i zaryzykował swoją reputację i cały majątek, aby założyć Kalkari. Jakieś dziesięć lat temu kupił sześć hektarów podupadłych winnic w dolinie Shingle razem z imponującą posiadłością Kalkari House. Od tego czasu znacznie powiększył swój stan posiadania i według znalezionych przez Rose informacji posiadał już około sześćdziesiąt pięć hektarów obsadzonych winoroślą na terenie doliny. Według danych z internetu właśnie zaczął osiągać sukcesy w produkcji, a ostatni rocznik zdobył bardzo dobre recenzje zarówno w Wielkiej Brytanii, Stanach, jak i w Australii. Jeśli chodzi o życie prywatne, Mark miał przepiękną hiszpańską żonę Isabelłę i syna Leo. Henry pokazał Rose zdjęcie małżonków w internecie. Wyglądali razem naprawdę imponująco. Rewelacje Henry’ego były chyba jednak nieco przeterminowane – przynajmniej sądząc po małej dziewczynce w samochodzie.

– Nazywam się Astrid – dodała blondynka, wyciągając dziecko z samochodu. – A to jest Luisa. Przywitaj się z... Przepraszam, jak masz na imię?

– Rose. Cześć, słonko! Miło mi cię poznać – odpowiedziała siostra Henry’ego, uśmiechając się szeroko do dziewczynki. W końcu to nie jej wina, że jej nową opiekunkę skierowały tu nie do końca uczciwe zamiary, a Rose i tak uwielbiała małe dziewczynki z dołeczkami w policzkach. Zastanawiała się jednak, gdzie jest Leo – w samochodzie nie było po nim śladu.

– Och, twój akcent! Jesteś Angielką! Tego mi nie powiedzieli – zauważyła Astrid.

*A ty jesteś Niemką, sądząc po akcencie,* pomyślała Rose z jednakowym zaskoczeniem.

– Wejźmy do środka. Strasznie tu zimno. – Trzymając Luisę za rękę, dziewczyna weszła przez drzwi frontowe do wyłożonego kamiennymi płytami holu. Był on zupełnie pusty, nie licząc kilku stolików pod ścianami i dywanu, który najlepsze lata miał już za sobą. Astrid skrzyła od razu w lewo, a Rose poszła za nią, kilka kroków z tyłu, starając się wczuć w klimat tego miejsca.

Kuchnia była duża i kwadratowa, z ogromną kuchenką pokrytą cytrynowożółtą emalią, bladoszarymi granitowymi blatami i białymi płytkami na podłodze. Chmury na zewnątrz zaczęły się rozpierzchać, a przez dwa wielkie okna w drewnianych ramach do środka wlewało się słońce. Na środku pomieszczenia stał podniszczony stół otoczony krzesłami z wygiętymi drewnianymi oparciami. Był ledwo widoczny pod pozostałościami czegoś, co wyglądało na śniadanie. Podłoga się lepiała; pokryta warstwą płatków śniadaniowych. W ogromnym zlewie i na suszarce obok niego piętrzyły się sterty brudnych

naczyń. *Tak pewnie wygląda pomieszczenie po wybuchu bomby, doszła do wniosku Rose.*

– Tak jak mówiłam, pani B nie było już od ładnych kilku tygodni, a ja mam pełne ręce roboty, zajmując się Luisą i Leo – powiedziała Astrid, wskazując przepraszająco na cały ten bałagan. Rozpięła dziewczynce kurtkę, zdjęła dwa kubki ze stołu i pobieżnie je opłukała, po czym nastawiła czajnik.

– Leo jest akurat w szkole, poznasz go później.

Luisa wyglądała nieśmiało zza nóg Astrid, przyglądając się Rose spod ciemnych, niesamowicie długich rzęs.

*Urodę odziedziczyła z pewnością po matce!*

– Lubiś tłólki? – zapytała dziewczynka niepewnie.

– Pewnie, że lubię – odpowiedziała Rose z powagą.

Tup tup tup. Luisa wyszła z kuchni niepewnym krokiem zaabsorbowanej dwulatki.

– Poszła po swoją ulubioną przytulankę – zauważyła Astrid, robiąc trochę miejsca na stole, i postawiła przed Rose kubek z herbatą. – Mleko? Cukier? Proszę. W agencji mówili, że trudno im znaleźć kogoś, kto mógłby zacząć od zaraz, ale wydaje się, że im się udało, i to bardzo dobrze. Już ledwo wytrzymałam tutaj całkiem sama. – Niania ledwo zrobiła przerwę na zaczerpnięcie oddechu. – Póki nie ma pani B, będziesz gotować, sprzątać i robić zakupy. Będziesz się też zajmować Luisą i Leo, kiedy ja będę miała wolny wieczór albo wolny dzień, a także pomagać mi przy dzieciach. Potrafisz gotować, prawda? Specjalnie zaznaczyliśmy, że potrzebny nam ktoś, kto umie gotować – dodała z naciskiem.

– Tak, nie powinno być z tym problemu. Radzę sobie w kuchni. Ale gdzie jest pani Cameron albo pan Cameron? Myślałam, że jedno z nich zapozna mnie z obowiązkami, pokaże dom i okolicę.

– Mark jest dziś na konferencji. Zostawił mnie na gospodarstwie. – Niania wysunęła wojowniczo dolną szczękę.

– Aha... – Rose nie była pewna, czy na pewno nie przeszkadza jej to, że dyryguje nią ktoś, kto wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie może jeszcze zgodnie z prawem kupić sobie piwa w sklepie, ale zignorowała swoją frustrację. Ma w końcu wytrzymać tu tylko przez kilka tygodni, zdobyć to, po co przyjechała, a potem może wyjechać – na przykład na plażę. W końcu w tym potwornym kraju musi gdzieś być ciepło.

Nadal nie mogła uwierzyć, że tak łatwo zgodziła się na szalony plan Henry'ego. Miał on więcej dziur niż przeżarte przez mole swetry, które tak lubił jej ojciec. Gdyby myślała nieco bardziej logicznie, z pewnością by się nie zgodziła, ale w jej ówczesnym stanie emocjonalnym trudno było o racjonalne podejście do życia. Była załamana po tym, jak jej chłopak Giles (czy też raczej były chłopak) nagle zakończył związek i równie nagle wyjechał do nowej pracy w Brukseli. Sama więc zachłannie rzuciła się na możliwość wyjazdu i oddzielenia się tysiącami kilometrów od tego „pozbawionego jaj pajaca” (jak nazwał go Henry na wieść o tym, co się stało).

Kiedy byli dziećmi, brat zawsze się nią zajmował. Był od niej osiem lat starszy i o wiele mądrzejszy. Toczył za Rose jej dziecięce walki i ustawiał do pionu szkolne koleżanki, które dokuczały jej z powodu wzrostu (w wieku jedenastu lat górowała nad wszystkimi w klasie), długich nóg i rozpaczliwie niemodnych ubrań. Dodatkowo miała jeszcze szerokie usta, które aż prosiły się o dowcipy o żabach. Nadal rumieniła się na wspomnienie tego nastoletniego etapu w swoim życiu.

Na swój własny, dziwny sposób Henry pewnie nadal próbował się o nią troszczyć, ale w efekcie

namówił ją na porzucenie całego dotychczasowego życia. Z drugiej strony jednak miała złamane serce, a poza tym była bez pracy i dachu nad głową. (Giles wynajął ich mieszkanie – cóż, technicznie rzecz biorąc było to jego mieszkanie – tuż po tym, jak powiadomił ją o swoim wyjeździe). To były wystarczające powody, aby zgodzić się na plan brata.

I tak nie chciała zostać w tamtym mieszkaniu. Bez Gilesa było tak puste, jak jej serce, a smutek zalegał w nim jak zapach spalonego czosnku. Henry przysłał kumpla z furgonetką po jej rzeczy i zgodził się składować je w swoim garażu. Oddał jej wolny pokój w swoim mieszkaniu i zapewnił kilka spokojnych tygodni na nurzanie się w rozpacz. Pewnego ranka jednak, tuż przed wyjściem do pracy, zapukał do jej drzwi.

– Siostrzyczko, musisz wziąć się w garść i zacząć myśleć o przyszłości. Koniec roztkliwiania się nad sobą.

Przyjrzał się jej pogniecionym ciuchom, brudnym włosom i podpuchniętym oczom, po czym kazał jej szybko iść pod prysznic, a sam zaczął zbierać brudne kubki po kawie i resztki grzanek z masłem orzechowym.

– Doprowadź się do porządku. Ja się wszystkim zajmę.

– Ale właśnie miałam kupić lokówkę Instyler Tulip! – zaprotestowała Rose. – Przez kolejne dziesięć minut jest oferta specjalna dla widzów składających zamówienia telefonicznie, aż dziesięć funtów taniej! – Rose spędzała dnie na oglądaniu całodobowego kanału z telezakupami. Doskonale odwracał uwagę od jej problemów. Henry jednak był nieprzejednany.

Pomrukując gniewnie na temat wszystkowiedzących starszych braci, Rose zrobiła jednak to, co jej kazał. Zabrała ze sobą pudełko z chusteczkami jednorazowymi, jakby to była szpitalna kroplówka, do której ją podłączono i powłóczęąc nogami, poszła do łazienki.

Nieco później, nad kubkiem herbaty, do której Henry wsypał pół cukierniczki, wysłuchiwała jego planu.

– Masz depresję – oświadczył.

– Niesamowite, mój drogi Watsonie. Nie uważasz, że mam do tego prawo?

– Wiem, czego ci trzeba – zignorował jej pytanie.

– Ach tak? Ty i specjaliści od psychologii z programów śniadaniowych?

Henry uniósł dłoń, powstrzymując jej wybuch.

– Moim zdaniem nic cię tu nie trzyma.

– Nie no, dzięki – wypaliła z gryzącym sarkazmem. – Chcesz powiedzieć, że moje życie nie ma teraz zupełnie sensu? Bo tak to zabrzmiało.

– Nie wygłupiaj się, Rosie, wiesz, że nie to miałem na myśli. Jesteś wolna, a do tego nie masz tu żadnych zobowiązań. Wielu ludzi chętnie by się z tobą zamieniło. Świat na ciebie czeka. Czas, byś wyruszyła go zobaczyć zamiast pogrzebywać się tu żywcem.

– Zważywszy na to, że nie mam grosza przy duszy i jestem praktycznie bezdomna – aha, i jeszcze mam złamane serce, jakbyś zapomniał – moje możliwości są nieco ograniczone.

– Drobiazgi, skarbie, to nieistotne drobiazgi – machnął ręką, odrzucając jej zastrzeżenia.

Rose zawsze zaskakiwało, że Henry jest w stanie zauważyć jasne strony każdej sytuacji. – Jako twój kochający brat, który nieustannie wtrąca się w twoje życie... – zaczął, a potem się zawahał. – Mam dla ciebie propozycję. Możesz to nazwać przysługą, jeśli chcesz. Chciałbym, żebyś trochę dla mnie

poszperała. Winnica, którą się interesuję, jest trochę daleko, ale tak się składa, że szukają tam kogoś do pracy. Powiedział mi o tym znajomy stamtąd, kiedy mu opowiadałem, w jakiej jesteś rozsypce. Szukają kogoś, kto umie trochę gotować, więc uznałem, że może sobie poradzisz.

Pudełko z chusteczkami poszybowało w jego stronę.

Po dzieciństwie spędzonym z Henrym w jednym domu Rose nadal pamiętała go jako niezgrabnego, pryszczatego nastolatka. Stąd też często zapominała, że jej brat był teraz całkiem sporą szychą w niektórych kręgach. Zaczął karierę jako handlarz winami w firmie Berry Bros. & Rudd, a teraz, częściowo dzięki pomocy dawnego kolegi ze szkoły, miał udziały w licznych winnicach w Argentynie i Hiszpanii. Zawsze był obrotny, nawet jako dziecko. To on pewnego upalnego lata namówił ojca na wyprawę do supermarketu i hurtowy zakup lodów, które potem odsprzedawał kolegom z ładnym zyskiem.

Henry doskonale wiedział, jaki ma cel, i nie marnował czasu, żeby go osiągnąć. Ostatnio – dzięki dyskretnej wskazówce – kupił kilka podupadających hiszpańskich winnic i wprowadził do nich nowy zarząd, aby wyprowadzić je na prostą, a swoje kontakty wykorzystał do przerzucenia ich produktów do Wielkiej Brytanii. Jeżeli informacje Rose były bliskie prawdy, to całkiem nieźle na tym wychodził. Kiedy więc Henry mówił o „szperaniu”, wiedziała, że nie miał na myśli grzebania po starych strychach.

Kiedy przedstawił jej szczegóły planu, Rose doszła do wniosku, że zwariował. Australia leżała na drugim końcu świata, dosłownie tysiące kilometrów od Anglii, a ona nigdy nawet nie słyszała o dolinie Shingle.

– Tu masz numer do agencji au pair, która się zajmuje tym zgłoszeniem – powiedział, podając jej kartkę. – Zadzwoń do nich. Spodobasz się, jestem tego pewny. Czeka cię fajna przygoda i przestaniesz myśleć o tym debilu.

– Hej, mówisz o moim byłym! Uważaj na słowa! Myślałam, że go lubisz.

– Zmieniłem zdanie po tym, co ci zrobił.

Henry był nieugięty. Był mistrzem marketingu, odniósłby nawet sukces jako sprzedawca piasku na Saharze i nawet Rose, która na wylot znała jego zagrania, trudno się było mu oprzeć. W końcu więc zaakceptowała jego plan.

– Zgoda, mimo moich poważnych zastrzeżeń – dodała.

Nim zdążyła wszystko dobrze przemyśleć, już siedziała w samolocie.

Łup!

Z zamyślenia wyrwał Rose powrót Luisy, która rzuciła w nią obślinionym, brudnym kawałkiem czegoś, co kiedyś prawdopodobnie było różowym pluszowym królikiem.

– Blee! – pisnęła, odsuwając się z obrzydzeniem.

– Tlólik! – wykrzyknęła niczym niezrażona dziewczynka.

Rose podniosła wzrok i zobaczyła, że Astrid pęka ze śmiechu.

*Chryste Panie. W co ja się wpakowałam?*

## Rozdział 2

Powitanie Astrid było równie chłodne, jak temperatura na zewnątrz, ale Rose postanowiła nie zwracać na to uwagi. Splotła palce na kubku z herbatą, krzywiąc się, w miarę jak odzyskiwała czucie w dłoniach. Przynajmniej herbata była gorąca.

– To kiedy zaczynam?

– Od zaraz, oczywiście – powiedziała niania oschle. – Jak tu dotarłaś? Masz samochód?

– Tak, zaparkowałam przy drzwiach do winiarni. Nie byłam pewna, gdzie mogę go zostawić.

– Żaden problem. Pokażę ci, gdzie zostawić rzeczy. Twój pokój jest w szopie. – Astrid wysączyła ostatnie krople herbaty, wstała i ściągnęła kurtkę z oparcia krzesła. – Chodźmy.

Na wzmiankę o szopie Rose stała się czujna. Ruszyła za Astrid, która wzięła po drodze na ręce Luisę wraz z jej obrzydliwym królikiem i skierowała się do ogrodu. Szopa! Jak romantycznie! Przez głowę przeleciała jej wizja zmodernizowanej szopy w stylu New England, przestronnych wnętrz i białych ścian, miękkich kremowych kanap i poustawianych pozornie byle gdzie kryształowych wazonów pełnych blad różowych piwonii...

*Hmmm, chyba jednak nie tym razem.*

Rose przyjrzała się stojącemu przed nią podniszczonemu budynkowi. Nazwanie tej konkretnej szopy mianem „pomieszczenia mieszkalnego” brzmiało jak kiepski żart. Ewidentnie od dawna nikt w niej nie mieszkał. Dach pokryty był zardzewiałymi kawałkami blachy, a tynk ze ścian odpadał pod najlżejszym dotykiem.

W środku okazało się, że parapety, podłogę i w zasadzie każdą poziomą powierzchnię pokrywa gruba warstwa kurzu. Okna były rozpaczliwie brudne i spowite pajęczynami. W olbrzymim pomieszczeniu o białych ścianach stały dwie spłowiałe kanapy. Odległy kraniec szopy wydzielono przegrodami utworzono tam dwie sypialnie. Poza nimi budynek mieścił jeszcze niewielką łazienkę z głęboką zardzewiałą wanną na nóżkach i zawieszonym nad nią prysznicem. W jednej z sypialni Rose dostrzegła niepościelone łóżko z nierównym materacem, kilka powyginanych od wilgoci książek na stoliku nocnym oraz antyczną i bardzo zakurzoną toaletkę. Chyba nikt tu nie prenumerował magazynów wnętrzarskich...

– Dam ci trochę czasu, żebyś się zadomowiła – powiedziała Astrid, wychodząc szybko z Luisą w ramionach. Obie zdążyły już niezłe przemarznąć i biegły się ogrzać do domu.

Rose usiadła na chwilę na łóżku, drżąc z zimna. Była rozdarta między chęcią powrotu do Sydney tak szybko, jak jej mały samochód da radę tam dotrzeć, a pragnieniem zwinięcia się w kulkę pod kocem i odespania pozostałości jet lagu.

Nie zrobiła jednak ani jednego, ani drugiego.

Przeklinając w duchu swojego brata i wymyślając sobie od idiotek za to, że zgodziła się na jego plan,

Rose wróciła do drzwi prowadzących do winiarni. Wsiadła do samochodu i podjechała od drugiej strony. Zgasiła silnik, otworzyła bagażnik, wyjęła plecak i wrzuciła go do szopy.

Potrzebowała czystej pościeli, miotły i dużych ilości detergentów, ruszyła więc bez namysłu w kierunku domu. Jeżeli miała tu zostać – choćby na kilka tygodni – chciała mieć chociaż w miarę przyzwoite miejsce do spania.

Idąc w kierunku budynku, zobaczyła wysokiego i szczupłego mężczyznę, zmierzającego w jej stronę. Miał pochyloną głowę, ręce wciśnięte w kieszenie dżinsów i – z bliska widziała to całkiem wyraźnie – ponury grymas na twarzy. Rose od razu wiedziała, kogo ma przed sobą – był to Mark Cameron. Wydawało się jednak, że nawet jej nie zauważył, a byli od siebie na wyciągnięcie ręki. Zastanawiała się, czy powinna coś powiedzieć, ale wtedy on podniósł głowę i skupił na niej wzrok. Wydawało się, jakby wracał myślami z bardzo daleka.

– Dzień dobry, mogę pani jakoś pomóc? Obawiam się, że winiarnia jest dziś nieczynna.

Miał niski, głęboki głos. Rose zadrżała. Zdała sobie sprawę, że patrzy mu prosto w oczy. To było coś zaskakującego – zazwyczaj to ona swoim spojrzeniem peszyła mężczyzn. Ta niezręczna sytuacja wytrąciła ją z równowagi.

– Eeee... w zasadzie nie przyjechałam do winiarni.

– Aktualnie nie organizujemy wycieczek po winnicy – odpowiedział krótko. Jednak kiedy wypowiadał ostatnie słowa, dotarło do niego, kim ona jest. – Och, ty musisz być Rose. Naturalnie. Przepraszam, zupełnie zapomniałem, że dziś przyjeżdżasz. Czy poznałaś już Astrid? Oprowadziła cię? – Wyciągnął do niej rękę. Pod jego dotykiem poczuła, jak przebiega ją dreszcz. Miał silny uścisk dłoni. Jego skóra była sucha i gładka, ale paznokcie zaniedbane i zabarwione na fioletowo. „Zawsze oceniam mężczyznę po dłoniach. Po dłoniach i po butach” – powtarzała babcia Rose. Mówiąc „buty”, miała na myśli bez wątpienia półbuty od Loake’a lub Lobba. Ciekawe, co babcia powiedziałaby o spracowanych dłoniach i zabłoconych kaloszach Marka.

– Tak. Dziękuję panu. Właśnie zaniiosłam swoje rzeczy do szopy.

– Nie jest może w najlepszym stanie, ale przynajmniej nie leje się tam na głowę – skrzywił się.

– Na pewno wystarczy. – Rose nie miała pojęcia, co może jeszcze powiedzieć. Nie chciała wyjść na księżniczkę na ziarnku grochu i narzekać na kwaterę już w chwili przyjazdu.

– To dobrze. Przepraszam, ale muszę ruszać. Wyjeżdżam na kilka dni na konferencję – cholerne zawracanie głowy – ale Astrid cię we wszystko wdroży.

Rose skinęła głową. Nie była pewna, czy konferencja jest zawracaniem głowy dla niego, czy dla niej.

– Aha, jeszcze jedno. Mów mi Mark. „Pan” Cameron to mój ojciec – powiedział i mrugnął do niej porozumiewawczo.



*Nie poszło w sumie tak źle*, pomyślała Rose, kiedy już wróciła do szopy uzbrojona w gumowe rękawiczki, mop, wiadro i ogromną butlę detergentu, po czym zabrała się do sprzątania, czyszczenia i usuwania pajęczyn w swoim nowym domu. Musiała w tym celu także wysiedlić liczne pająki – na szczęście nie było wśród nich olbrzymich i włochatych paskudztw, z których słynie Australia.

Zadowolona z efektu, odgarnęła włosy z czoła i rzuciła okiem na zegarek. Druga. Nic dziwnego, że od godziny burczało jej w brzuchu. Rozejrzała się po idealnie czystej sypialni – wszystkie ubrania były w szafce, a plecak schowała pod łóżkiem. Przechodząc do głównego pomieszczenia, stwierdziła z zadowoleniem, że przynajmniej teraz widać coś przez okna, poduszki są wytrzepane, a podłoga zamieciona. *Jest tak czysta, że praktycznie można by z niej jeść* – pomyślała. *A skoro już o tym mowa...*

Wchodząc do kuchni, wpadła na Astrid i Luisę – znowu miały na sobie kurtki i buty.

– Idziemy nakarmić kurczaki – wyjaśniła dziewczyna.

– Tulcaki! – powtórzyła dziewczynka z entuzjazmem. – Tulcaki! Tuuuulcaaaakiiii! – wrzasnęła na całe gardło.

– Mogę pójść z wami? – zapytała Rose, zapominając na chwilę o jedzeniu. Im szybciej zorientuje się w rozkładzie Kalkari, tym lepiej. Przede wszystkim musiała dowiedzieć się, gdzie co jest w tej olbrzymiej posiadłości.

– Jeśli chcesz. Prowadź, Luiso.

Rose wyszła za nimi posłusznie na podwórko.

Dwulatka pobiegła przez wyskubany trawnik w kierunku drewnianego kurnika. Astrid potrząsnęła kartonem karmy, a kilka rudych kur, które Rose widziała zaraz po przyjeździe, ruszyło biegiem w jej stronę.

– To Maggie – powiedziała Astrid, wskazując na największą kurę. – To Stephanie i Nigella. A tam jest Nugget.

Za całym stadkiem, zaganiając kury, maszerował piękny kogut z kolorowym ogonem. Rose uśmiechnęła się do siebie. Tylko Australijczycy mogli nazwać kurczaka Nugget.

Podeksytowana dziewczynka ganiała kury po podwórku, bezskutecznie usiłując którąś złapać. Astrid podeszła do niej, złapała Nigellę i podała ją dziewczynce. Luisa aż się rozpromieniła, prezentując dołeczki w policzkach.

– Tulcaki! – zawołała radośnie.

– Nie ściskaj jej. Uważaj – ostrzegła ją niania, nachylając się nad kurnikiem.

– Dużo składają jajek? – Rose skierowała pytanie do zgrabnych pośladek Astrid, które wystawały z kurnika.

– Tak, tak. Jajek nigdy nam nie brakuje – odpowiedziała.

– Jadłaś coś? – zapytała po chwili dziewczyna.

– Właśnie szłam do kuchni, kiedy na was wpadłam. Jestem tak głodna, że mogłabym zjeść konia z kopytami. Nie miałam rano czasu na śniadanie. – Rose przycisnęła rękę do brzucha. Astrid popatrzyła na nią dziwnie.

*Ona jest Niemką, może nie rozumie idiomów*, pomyślała Rose.

– W lodówce za dużo nie ma, ale jest bochenek chleba, trochę sera, a w spiżarni słoik marmolady pani B, jeżeli chcesz.

Rose zostawiła bawiące się w berka Astrid i Luisę i wróciła do kuchni. Astrid sprzątnęła naczynia po śniadaniu, ale teraz na stole zalegały resztki lunchu. Rose zebrała je i ustawiła obok wciąż przepełnionego zlewu – postanowiła uporać się ze zmywaniem, kiedy już będzie miała pełny żołądek. Zrobiła sobie ogromną kanapkę z serem i korniszonami, usiadła przy stole i otworzyła stary magazyn,



który ukryty był pod zawałającymi stół gratami. Przeglądając go i podziwiając smakowicie wyglądające zdjęcia wspaniałych potraw, zaczęła się zastanawiać, kiedy właściwie pojawi się pani Cameron, to znaczy Isabella.

Skończyła jeść i postanowiła posprzątać kuchnię. Za drzwiczkami jednej z szafek znalazła sprytnie ukrytą zmywarkę – Bogu niech będą dzięki! Zaczęła opłukiwać talerze i wstawiać je do zmywarki. W szafce pod zlewem znalazła płyn do zmywania, gąbkę i wszystko, czego mogłaby potrzebować. Zabrała się więc ponownie do pracy: skrobała i czyściła, wycierała lepkie blaty i zamiatała kamienną podłogę.

Kiedy tego poranka wyruszała z Sydney, nie miała pojęcia, że jej dzień będzie tak wyglądał. Prychnęła z irytacją – na siebie, na sytuację, w którą się wpakowała, i na stan tego miejsca. W londyńskim mieszkaniu Henry’ego, kiedy słuchała, jakie ma dla niej zadanie, wszystko wydawało się proste. Teraz jednak była już na miejscu i nagle zaczęło ją to przytłaczać. A poza tym, nie wiadomo dlaczego, jej zadanie wymagało od niej straszliwie dużo sprzątania.



Po nakarmieniu kur Astrid i Luisa znowu gdzieś zniknęły. Rose w końcu uporała się ze sprzątaniem kuchni i właśnie usiadła przy stole z kubkiem kawy rozpuszczalnej, kiedy usłyszała zajeżdżający przed dom samochód. Dało się rozpoznać przenikliwy głos Astrid, chichot Luisy i jeszcze jeden głos.

Kiedy wszyscy weszli do kuchni, okazało się, że trzeci głos należał do potarganego ciemnowłosego chłopca w wieku sześciu lub siedmiu lat. Miał na sobie szare szkolne spodnie, które kończyły się ładnych parę centymetrów nad kostkami, i czerwony sweter, który także wyglądał, jakby zbiegł się w praniu. Przez dziurę w skarpetce wystawał mu duży palec. To z pewnością był Leo.

– Cześć – powiedział.

– Cześć Leo, jestem Rose – odpowiedziała, uśmiechając się do niego swoim najbardziej przekonującym, sztucznym uśmiechem.

– Rose będzie nam pomagać, ponieważ pani B jest chora – dorzuciła Astrid. – Przyjechała z Anglii.

Rose nie była do końca pewna, czy podobał jej się sposób, w jaki dziewczyna powiedziała „Anglia”. Brzmiało to jak paskudna choroba zakaźna. A może po prostu była przewrażliwiona? Lepiej nie obrażać się o byle co – w końcu nie była tu po to, aby zrobić sobie wroga z niani.

Tymczasem Leo nagle się ożywił.

– Super. Widziałaś, jak gra Tottenham? Harry Kane jest niesamowity! Strasznie, strasznie chciałbym go zobaczyć w akcji. Zabierzesz mnie tam? – Terkotał jak karabin maszynowy. Rose podobał się jego entuzjazm. Wydawał się sympatycznym dzieciakiem.

– Wiesz, Leo, ja byłam na White Hart Lane. I to nie raz. Tottenham to ulubiona drużyna mojego ojca, i moja także.

– Ale jazda! Poczekaście tylko, aż powiem to Joemu. – Oczy Leo były wielkie jak spodki.

– Joemu?

– To jego najlepszy kumpel – wyjaśniła Astrid.

Luisa ewidentnie czuła się pominięta w rozmowie, podeszła więc do Rose i wyciągnęła rękę,

domagając się przytulenia. Kobieta posadziła ją sobie na kolanie, podczas gdy Astrid wyciągnęła białą papierową torbę, z której rozniósł się słodki aromat.

– Ciastka z piekarni – powiedziała, układając na talerzu lśniąca tartaletki z dżemem, biszkopty z wiórkami kokosowymi oraz karmelowe ciasteczka pokryte grubą warstwą gorzkiej czekolady. – Narobiłaś się – dodała niechętnie, obrzucając wzrokiem lśniąca czystością kuchnię i stawiając ciężki czajnik na kuchence. – Nie sądziłam, że aż tyle uda ci się dzisiaj zrobić.

Rose poczęstowała się kawałkiem ciągnącego się piernika z czekoladą i karmelem, a potem z poczuciem winy poprawiła pasek dżinsów, który wbijał jej się w brzuch. Może i Astrid nie rozwinęła czerwonego dywanu na jej przyjazd, ale miło było wiedzieć, że jej wysiłek został doceniony. A ciastka smakowały przepysznie.



Kiedy Leo odrobił pracę domową, a dzieci zjadły paluszki rybne, które odnalazły się w odmętach zamrażarki pod grubą warstwą szronu, Rose wróciła do szopy, aby zmyć z siebie zmęczenie całego dnia. Była brudna, spocona i nie mogła się doczekać prysznic – w duchu modliła się tylko, aby w kranie była ciepła woda.

Idąc przez podwórko, zatrzymała się nagle na widok wyprostowanej sylwetki na tle nieba. Kangur. Kiedy jej oczy przyzwyczały się do ciemności, zobaczyła jeszcze jednego – a potem kolejnego. Nie mogła w to uwierzyć. Po drodze do doliny widziała wprawdzie przy drodze żółte znaki ostrzegawcze z rysunkiem kangura, ale nie spodziewała się, że uda jej się jakiegoś zobaczyć. *Prawdziwe kangury!* Niech no tylko Henry o tym usłyszy. Stała bez ruchu i patrzyła na zwierzęta, a one po chwili zignorowały ją i wróciły do skubania trawy. Nie patrzyła na nie jednak długo – kangury kangurami, ale na dworze było naprawdę lodowato.

W szopie było może o stopień cieplej niż na dworze, ale przynajmniej była gorąca woda. Rose szybko się umyła i wytarła, a potem włożyła na siebie wszystkie cztery T-shirty, które ze sobą przywiozła, a także stęchły pulower, który znalazła w jednej z szuflad w komodzie. Zrobiony był z paskudnie gryzącej wełny w kolorze musztardowym, przy którym jej cera wyglądała ziemiście, ale nie miała zamiaru wybrzydzać – przynajmniej był tak długi, że nie było widać jej tyłka. Dobrze, że dzięki grubej wyściółce butów było jej ciepło w palce.

W głównym domu panowała cisza. Kierując się przyciszonymi głosami, Rose znalazła Luisę i Leo w niewielkim pokoju koło kuchni. Siedzieli na spłowiełej kanapie w kolorze burgunda – plusz na oparciach był zupełnie wytarty. Astrid czytała dziewczynce książeczkę. Rose o mało nie wybuchnęła śmiechem, słysząc, jak niania pyta: „Ale czy wiesz, gdzie jest zielona owieczka?”, ale się opanowała – nie chciała, aby Astrid pomyślała, że się z niej wyśmiewa.



Okazja, aby dowiedzieć się czegoś więcej o Marku i nieobecnej Isabelli, nadarzyła się podczas późnego obiadu, który Rose zjadła z Astrid, gdy dzieci poszły już spać. Spiżarnia była raczej pusta, ale dzięki

Maggie, Stephanie i Nigelli oraz zarośniętemu ogródkowi ziołowemu, który Rose odkryła koło domu, udało jej się przygotować frittatę z ziemniakami i pietruszką. Kiedy była już gotowa, w kuchni pojawiła się niania, niosąc butelkę bez etykiety.

– Wino domowe – oznajmiła, sięgając po kieliszki.

– Bardzo chętnie – odparła kobieta. Była wykończona po całym dniu sprzątania, długiej drodze z Sydney i pozostałościach jet lagu. – Tego mi trzeba.

– Naprawdę potrafisz gotować. To dobrze – wymamrotała dziewczyna z ustami pełnymi frittaty.

– Przecież mówiłam! – odpowiedziała Rose z lekką irytacją, choć w głębi duszy cieszyła się z uznania.

– Uczyłam się w Le Cordon Bleu w Londynie. Ale ostatnio pracowałam w kawiarni. Na pewno więcej usmażyłam w życiu burgerów, niż przygotowałam potraw *haute cuisine* – przyznała. Opowiedziała dziewczynie historię, którą uzgodniła z Henrym – że przyjechała do Australii, aby zrobić sobie przerwę i poznać kraj, a potem może będzie podróżować dalej.

– To tak jak ja – skinęła głową Astrid. – Jestem w Australii już osiem miesięcy. Trochę czasu spędziłam w Queenslandzie, pracowałam tam w klubiku dla dzieci w hotelu, a tę pracę znalazłam w marcu. Leo i Luisa są jednak trochę trudni. Ale kto by nie był w ich sytuacji? Przecież matka je zwyczajnie porzuciła.

Rose uniosła głowę znad talerza. Isabella? Tego się nie spodziewała. Ale może to wyjaśniało stan domu i za małe ubrania Leo.

– Wyjechała pod koniec lata – kontynuowała dziewczyna. – Wróciła do Hiszpanii z hiszpańskim winiarzem, który tu przyjechał pomóc przy tworzeniu wina. Mark nie miał o niczym pojęcia. Ta baba to prawdziwy koszmar – tak mi mówiła pani B. Nazwała ją señoira Irytanda. Sprzątanie, gotowanie – nigdy nie była z niczego zadowolona. Myślę, że to częściowo dlatego pani B się rozchorowała – Isabella zmuszała ją do pracy ponad siły. Luisa nadal pyta, gdzie jest mama, ale Leo nie chce o niej rozmawiać. Wasze dzisiejsze spotkanie wprowiło go w doskonały humor – tak się cieszył, że mógł z tobą porozmawiać o piłce.

– Jakie to smutne! – Na podstawie swoich krótkich obserwacji Rose uważała, że to bardzo miłe dzieciaki. – Biedactwa. A jak długo Marka nie będzie?

– Planuje wrócić pod koniec tygodnia. Czasem wpada w grobowy nastrój. Nie zawsze jest lekko. – Astrid nie rozwinęła tego tematu, a Rose nie naciskała. Musiała zachować ostrożność i nie wzbudzać podejrzeń. Była pewna, że tak czy inaczej wkrótce dowie się czegoś więcej.

Rozmowa zesłała na nianię i jej pochodzenie (Rose była blisko, stawiając na Niemcy – Astrid urodziła się w Austrii) i nim się obejrzały, butelka była pusta, a resztki frittaty zupełnie wystygły. Z zaskoczeniem odkryła, jak bardzo zesztywniały jej mięśnie, kiedy zbierała ze stołu naczynia. Przed przyjazdem do Kalkari spędziła kilka dni, zwiedzając Sydney i absolutnie nic jej tam nie dolegało, ale jak widać dzień wypełniony energicznym sprzątaniem dał jej się we znaki. Pomyślała sobie, że – sądząc po stanie, w jakim zastała kuchnię – następnego dnia czeka ją pewnie ciąg dalszy porządków, co nie poprawiło jej humoru. Życzyła Astrid dobrej nocy i przygotowała się na szybki bieg do szopy.

Kiedy otworzyła tylne drzwi, poczuła podmuch zimnego powietrza. Natychmiast wytrzeźwiała.

– Rany boskie, ależ tu jest zimno.

– No. W Tyrolu jest bardzo zimno – właśnie dlatego przyjechałam do Australii. Myślałam, że tu będzie

inaczej. Phi! Nic z tego! – Astrid zadrżała teatralnie. – Zapomniałam ci powiedzieć – pobudka koło siódmej. Muszę zawieźć Leo do szkoły na ósmą trzydzieści.

– Jasne. Będę w kuchni przed wpół do ósmej i przygotuję śniadanie – odparła Rose. – Cieszę się, że tu jestem – dodała. Nie była pewna, czemu to powiedziała; słowa wyszły z jej ust, nim miała okazję się nad nimi zastanowić. Raczej nie była to prawda.

– Tak, ja też się cieszę – odpowiedziała Astrid. Wydawało się, że wspólna kolacja roztopiła nieco początkowe lody.

– Dobranoc – powiedziała Rose i wyszła w mrok.



W szopie było tak zimno, że siostra Henry’ego widziała ulatującą z ust parę. Lodowaty wiatr przenikał przez ogromne szpary w oknach i pod drzwiami. Nie spakowała sobie ani jednej ciepłej piżamy, a cienka koszulka i stare bokserki, w których planowała spać, nie miały szans w starciu z temperaturą. Przebrała się w legginsy, które wcisnęła do plecaka w ostatniej chwili przed wylotem. Położyła się do łóżka we wszystkich T-shirtach i dygotała pod kołdrą, zadowolona, że podczas sprzątania znalazła w szafie kilka grubych koców. Postanowiła, że następnego dnia poprosi o grzejnik – albo chociaż termoфор.

Przez moment wróciła myślami do swojego byłego chłopaka. Przysięgła sobie wprawdzie, że będzie trzymać myśli na wodzy, ale kiedy tylko nieco się dekoncentrowała, on natychmiast pojawiał się w jej głowie. Nim się obejrzała, już zaczęła znowu analizować ich ostatnie wspólne dni. Przypominało to rozdrapywanie świeżej rany – wiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie, ale nie mogła się powstrzymać. Ponownie zadygotała, tym razem nie tylko z zimna – przypomniała sobie ten dzień, w którym jej życie zupełnie się schrzaniło.

Piątek trzynastego. Naturalnie. A Merkury był w upadku. Doprawdy, powinna się była tego spodziewać.

Jak się później okazało, był to dzień pożegnań – ostatni dzień jej pracy w kawiarni The Pine Box, w której przepracowała pięć lat. Choć przez większość tego czasu pod koniec zmiany gotowa była umrzeć ze zmęczenia, zwolnienie bez wypowiedzenia bolało bardziej, niż gotowa była się do tego przyznać. A wszystko przez jeden głupi stek.

Czerwony na twarzy i zadufany kretyń z kiepską fryzurą narzekał tak głośno, że Arthur – drugi kucharz, który tego steka przygotował – wyszedł z kuchni, żeby się dowiedzieć, o co chodzi.

– Jest pozbawiony smaku jak sweter w romby! – wrzeszczał klient. Słyszając, jak wyżywa się na Arthurze, Rose także wyszła z kuchni. Do furii doprowadzali ją ludzie, którzy uważają, że zajmują na tyle wysoką pozycję, że mogą pomiatać innymi. W szkole nacierpiała się wystarczająco dużo, a po jej zakończeniu przysięgła sobie, że nigdy nie będzie beczynnie obserwować, jak poniża się ludzi. Owładnięta słusznym gniewem wylała sos z trzymanej w ręku sosjerki na talerz chamskiego ignoranta, rozlewając go przy okazji na jego kolana, plamiąc mu spodnie i parząc wrażliwe rejony.

– To powinno dodać stekowi nieco smaku, chamski draniu – wypaliła.

Jak się można było spodziewać, nie skończyło się to dobrze. Szef wywalił ją z pracy jeszcze przed końcem jej zmiany.

Patrząc z perspektywy swoich niemal trzydziestu lat, Rose stwierdziła, że jej życie nie do końca ułożyło się tak, jak planowała w wieku lat dziewiętnastu, kiedy trzymając w ręku pachnący jeszcze świeżością dyplom szkoły kulinarnej była gotowa ruszyć w świat. Dwójka jej kolegów z roku w Le Cordon Bleu otworzyła niedawno restaurację, która błyskawicznie zyskała w Londynie ogromną popularność; koleżanka wypuściła na rynek własną linię produktów *gourmet* – dostępną w luksusowym domu towarowym Fortnum! – a najlepsza przyjaciółka Rose została drugą zastępczynią szefa kuchni w Le Du, najmodniejszej obecnie restauracji w Bangkoku. Jeżeli można wierzyć Facebookowi, większość jej dawnych znajomych ze szkoły żyła w szczęśliwych małżeństwach; do diabła ciężkiego, dwie koleżanki niedawno urodziły dzieci, a Nancy, którą znała od podstawówki i która od zawsze marzyła o licznych potomstwie, miała już trójkę maluchów. Wszystko, czym mogła pochwalić się Rose, to kosztowny zestaw specjalistycznych noży i dziesięcioletnie doświadczenie w pracy zawodowej – głównie przy obsłudze frytownicy.

A potem, żeby nie miała już żadnych wątpliwości, że cały Układ Słoneczny sprzysiągł się przeciw niej, Giles – mężczyzna, w którym widziała swojego przyszłego męża, ten sam, z którym miała dzielić wymarzony dom poza miastem, zielonego land rovera i (być może) dwójkę czy nawet trójkę rumianych dzieci, oświadczył jej, że przenosi się do Brukseli. Bez niej.

Cóż z tego, że byli współwłaścicielami skórzanej sofy w kolorze sraczkowatym (czy też „toffy”, jak przekonywał ich sprzedawca w sklepie Habitat) i mieli wspólne wspomnienia z ostatnich pięciu lat – zdaniem Gilesa, Rose powinna była wiedzieć, że to nie jest „związek na zawsze”. Po udzieleniu jej tak wstrząsającej informacji zabrał się z mieszkania, nim miała czas powiedzieć mu o zwolnieniu z The Pine Box. Humoru nie poprawiła jej nawet perspektywa obejrzenia dwóch odcinków „The Great British Bake-off”<sup>2</sup>, na które naprawdę się cieszyła, ani świadomość, że w lodówce jest surowe ciasto z solonym karmelem na ciasteczka. Nawet ona nie była w stanie myśleć w takim momencie o jedzeniu.

Rose zakopała się głębiej pod koce, próbując nie dopuścić do siebie zimnego powietrza. Ponownie zadała sobie pytanie, dlaczego w ogóle zgodziła się na propozycję Henry’ego. Giles nie miał pojęcia, gdzie ona się znajduje – jeszcze na fali furii wyrzuciła go z grupy znajomych na Facebooku i skasowała jego numer telefonu. A jeśli w Brukseli mu się nie powiedzie? A jeżeli zmieni zdanie i zda sobie sprawę, jak wielki popełnił błąd, wróci do Londynu i odkryje, że jej nie ma? A co, jeśli to ona popełniła wielki błąd, przyjeżdżając tutaj? Nagle poczuła się bardzo samotna i zdała sobie sprawę, jak daleko jest od domu.

## Rozdział 3

Następnego dnia rano Rose niechętnie wystawiła nos spod koców, po czym zaryzykowała i ściągnęła je aż do brody. Na początku nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Po chwili zdarzenia z poprzedniego dnia wróciły. No tak. Dolina Shingle. Totalny koniec świata.

Rzuciła okiem na zegarek. Była już niemal siódma, więc musiała się naprawdę zmobilizować, żeby odrzucić przykrycie. Było tak zimno, że prysznic nie wchodził w rachubę, więc tylko szybko ochlapała twarz wodą i ściągnęła włosy w nieporządny kucyk. Przygotowując się do wyjścia, zobaczyła, że wewnętrzną stronę szyb szopy pokrywa warstewka lodu. Na zewnątrz wszystko wyglądało jak polukrowane – nocny przymrozek pokrył krajobraz delikatnym szronem.

*To szaleństwo. Zamarznę tu na śmierć.*

W kuchni zabrała się za robienie jajecznicy dla dzieci, zaparzyła herbatę i nakryła do stołu. Olejowa kuchenka rozgrzała pomieszczenie, dzięki czemu Rose powoli odzyskiwała czucie w palcach u rąk i nóg.

Leo zszedł do kuchni jako pierwszy, odnotował jej obecność krótkim spojrzeniem i usiadł do stołu, po czym otworzył książkę, którą ze sobą przyniósł. Po jego ożywieniu z poprzedniego dnia nie było śladu. Po nim nadciągnęły Luisa i Astrid, przy czym niania goniła Luisę ze szczotką do włosów, próbując złapać małą i opanować jej potargane loki.

– Chodź tu, łobuziaku – zawołała, gdy dziewczynka ukryła się za nogami Rose.

– Losie? – odezwała się Luisa.

– Tak, kochanie? – Kobieta była już zakochana w uroczych dołeczkach Luisy.

– Nie jubię mojej ściotki. – Mała wsadziła kciuk do ust i spojrzała markotnie do góry.

– Oooo, słoneczko, jeżeli będziesz szczotkować włosy, będą długie i jedwabiste jak u syreny – spróbowała ją przekonać Rose.

– Cio to sylena?

– Bardzo ładna pani, która pływa jak ryba i śpiewa piosenki przepływającym na statkach żeglarzom.

– Dobrze, będę syleną – rozchmurzyła się Luisa i potulnie poddała się zabiegom Astrid, która uśmiechnęła się z wdzięcznością do Rose.

Po śniadaniu, gdy loki dwulatki były już bezpiecznie umocowane dwiema różowymi spinkami w kształcie motyli, niania zabrała Leo do szkoły.

– Luisa ma rano lekcję pływania, nie będzie nas więc aż do lunchu. Mark zostawił pieniądze na jedzenie i wszelkie inne potrzeby w tamtym słoju. – Dziewczyna wskazała na kremowy gliniany garnek na półce nad kuchenką. – Najbliższy supermarket jest w Eumeralli, a w soboty odbywa się tam również targ. Możemy wszyscy na niego pojechać, jeśli chcesz.

– Brzmi fajnie – odpowiedziała Rose, tworząc właśnie długą listę zakupów. Zbudziła się tego dnia

z silnym postanowieniem – skoro już tu była, mogła przynajmniej wykonywać swoją pracę jak należy. Astrid ewidentnie nie miała czasu zaopatrywać spiżarni, brakowało podstawowych produktów spożywczych, nie mówiąc już o świeżym jedzeniu czy warzywach. Wydawało się, że deficyt nie dotknął tylko jajek, ziół z ogrodu i domowych przetworów. No i naturalnie wina.



Rose w końcu udało się naprawić ogrzewanie w samochodzie, więc spokojnie mogła ruszyć do Eumeralli. „Dolina mlekiem i miodem płynąca” – tymi słowami Henry opisał dolinę Shingle, kiedy próbował ją namówić do wyjazdu. W jego wizji wszystko brzmiało tak pięknie, wręcz bajkowo. Rzeczywistość jednak daleka była od jego opowieści – wzdłuż drogi ciągnęły się niekończące się rzędy powykręcanych winorośli, pomiędzy którymi co pewien czas w bladym świetle poranka lśniły lodowym srebrem małe, trójkątne sadzawki. Dnem doliny wiała się zamarznięta przy brzegach płytka rzeczka. Rose mijała kudłate, kasztanowate krowy i puchate białe owce. Na porośniętych wypłowiecią trawą polach stały stada koni – z ich nozdrzy wielkimi kłębami unosiła się para. Rose musiała jednak przyznać, że ten ponury krajobraz miał w sobie pewną surową urodę.

Zbliżając się do Eumeralli („Data założenia: 1833 r.”, jak głosiła tablica), przejechała obok dobrze utrzymanych domków pokrytych sidingiem, z werandami biegnącymi wokół całego budynku. Przed niektórymi rosły krzewy różane, a nieliczne kwiaty stanowiły jaskrawe plamy koloru, kołysząc się na wietrze. Samo miasteczko składało się ze skupisk starych, kamiennych budynków, poustawianych wzdłuż szerokiej głównej ulicy, oraz rozrzuconych między nimi mniejszych drewnianych domków i sklepów. Rose zwolniła, aby znaleźć supermarket, i zauważyła chińską restaurację, dwa puby z tarasami na piętrze, sklep z artykułami żelaznymi, duży sklep wielobranżowy, ratusz, pomnik z okresu wojny i mały park. Zaparkowała przy głównej ulicy, wykaraskała się z malutkiego samochodu i dostrzegła kawiarnię. „Święte Ziarno”, głosił napis na wystawionym na chodnik potykaczu. „Czarne, gorzkie i gorące, tak jak lubisz”.

*Ha. Ktoś tu przynajmniej ma poczucie humoru.*

Rose zamówiła cappuccino, usiadła na stołku barowym przy witrynie i patrzyła, jak mieszkańcy miasteczka zajmują się swoimi sprawami. Po drugiej stronie ulicy, niedaleko parku, nierówna linia uczniów szła za nauczycielem. Rose wyteżyła wzrok, aby zobaczyć, czy jest wśród nich Leo, ale te dzieci wyglądały na nieco starsze od niego, a kapelusze z szerokimi rondami zasłaniały im twarze. Kilku przygarbionych starszych mężczyzn w grubych kurtkach i z laskami przysiadło na ławce tuż obok kawiarni, żeby pogapić się na świat. Młoda mama z wózkiem wypełnionym zakupami szła w przeciwną stronę, w kierunku skrzyżowania.

W ogóle nie przypominało to Londynu, czy nawet Bondi, gdzie spędziła poprzedni tydzień.

Dopiła kawę, zabrała swoje rzeczy i ruszyła w kierunku sklepu. Zdecydowanie nie był to jej lokalny supermarket Waitrose... Na liście zakupów miała kilka rzeczy, których tutaj ewidentnie nie było. Oswojenie się z zupełnie innymi markami, a nawet nazwami produktów – no bo co to w zasadzie jest bocconcini? – zajęło jej sporo czasu i do Kalkari wróciła dopiero koło południa.

Resztę czasu postanowiła poświęcić na gotowanie. Wszystko dobre, byle tylko nie myśleć o Gilesie.

Na drzwiach spiżarni znalazła wiszący stary fartuch i zabrała się do roboty. Dobrze było znowu znaleźć się w kuchni, a rutyna krojenia i ugniatania sprawiła, że poczuła się trochę mniej samotna w tym dziwnym miejscu. Fakt, że kuchnia była jedynym ciepłym miejscem w domu, miał duże znaczenie. Rose przygotowała najpierw ogromny garnek sosu bolognaise, z którego część zamroziła, a część dodała do przeznaczonej na kolację lasagne. W Eumeralli udało jej się znaleźć suszone drożdże, zaczęła więc odmierzać mąkę na chleb. Posiekała cebulę, marchew, seler i zioła, tłukąc nożem o deskę i myśląc o wszystkim, co mogła powiedzieć Gilesowi w dniu ich rozstania. „Ależ kotku, wiedziałaś, że to nie potrwa długo” – powiedział. „Jesteśmy przecież zupełnie różni”. *To prawda, ale to ty okazałaś się dupkiem*, pomyślała z furją, plując sobie w brodę, że nie miała na tyle przytomności umysłu, aby powiedzieć mu to podczas tej ostatniej rozmowy. Odłożyła nóż, wzięła głęboki wdech, dodała poszatkowane w zasadzie na atomy warzywa do głębokiego garnka, w którym znajdował się już cały kurczak i spora porcja jęczmienia, i postawiła całość na kuchenkę. Następnie zabrała się do odmierzania mąki, masła, jajek i kakao.

– Cio lobiś? – odezwał się za nią cienki głosik. Do kuchni niepostrzeżenie zakradła się Luisa; policzki miała zaróżowione od snu, a ciemne włosy zupełnie rozwichrzzone.

– Hej, kochanie. Przyszłaś w samą porę, przydałaby mi się pomoc. Chcesz ze mną zrobić ciasteczka? – zapytała Rose. Dziewczynka pokiwała energicznie głową, podrzucając lokami. Kobieta postawiła ją na krześle przy stole i podała drewnianą łyżkę.

– Zamieszasz to?

Dwulatka była zachwycona, że może coś zrobić w kuchni, a Rose przyglądała jej się z czułością. Mała naprawdę była aniołkiem.

Do kuchni w ślad za Luisą nadciągnęła Astrid i usiadła przy stole.

– Cześć! – powiedziała Rose dziarsko. – Wszystko pod kontrolą, zwłaszcza że mam teraz dzielną pomocnicę – wskazała na Luisę, która wyjadała wiórki czekoladowe z leżącego na blacie opakowania.

– Wracając z basenu, zajrzałam do pani B – powiedziała niania.

– Taaak? – zapytała Rose, nagle zaniepokojona, że jej pobyt w Kalkari może dobiec końca, nim się na dobre rozpoczął. Poza odkryciem, że żona Marka porzuciła rodzinę, musiała jeszcze zdobyć sporo informacji dla Henry’ego.

– Czuje się lepiej, ale nie spieszy jej się z powrotem do pracy. Jest już dość stara i wydaje mi się, że ta praca stała się dla niej za ciężka.

– Och, to dobrze. – Kobieta poczuła ulgę, że nie straci tej posady zbyt szybko. Może i była na końcu świata, ale mimo złych przeczuczeń złożyła Henry’emu obietnicę i nie chciała go zawieść.

– Powiedziała jednak, że tęskni za dziećmi. Przyjdzie z nimi posiedzieć w piątek wieczór, żebyśmy mogły gdzieś wyjść. Nie ma tu jakichś specjalnie ekscytujących imprez, ale pub w miasteczku jest w porządku i czasem gra na żywo zespół. Siedziałam tu całkiem sama tyle czasu, że super byłoby gdzieś wyjść, nawet na parę godzin. Dorobiłam się klaustrofonii.

– Chyba masz na myśli klaustrofobię! – roześmiała się Rose, choć dom w Kalkari był tak wielki, że o klaustrofobii nie mogło być mowy. Dała Luisie łyżkę z ciasta do wylizania i wyłożyła blachę z górnego piekarnika papierem do pieczenia. – To fajny pomysł.

Bardzo chciała zobaczyć, co okolica ma do zaoferowania, a może i dowiedzieć się czegoś o Kalkari



od miejscowych, zanim Mark wróci z konferencji. Po rewelacjach Astrid na temat humorów Camerona Rose trochę niepokoiła się spotkaniem z nowym szefem – w dużym stopniu dlatego, że przybyła do jego domu w innych celach niż zajmowanie się jego domem i dziećmi.



Pani B faktycznie przybyła do Kalkari w piątek wieczorem, aby posiedzieć z dziećmi. Rose od razu ją polubiła. Rześka staruszka, o mocnej budowie ciała i z silnym uściskiem dłoni, jednym rzutem oka ogarnęła czystą kuchnię i apetyczny zapach grzejącej się zapiekanki.

– Wydaje się, że się zadomowiłaś, kotku – powiedziała. – Prawdę mówiąc, już od dawna chciałam przejść na emeryturę, ale nie mogłam zostawić Marka w takiej sytuacji – nie po tym, jak ta wielka hiszpańska dama zostawiła go z dwójką dzieciaków. To twoje dzieło? – zapytała, wskazując na biszkopt, który Rose zrobiła po południu. Luisa „pomogła” jej z lukrem cytrynowym, który ściekł z ciasta na obie strony.

– Ummm, tak. Czemu pani pyta? – Może i nie było to najlepsze ciasto w historii, ale Rose nie miała pojęcia, co pani B chce mu zarzucić.

– Powinnaś się zainteresować konkursem CWA. Będzie w przyszłym miesiącu. Każdy coś zgłasza, ale ostrzegam, my tu podchodzimy do pieczenia bardzo poważnie.

Rose nie miała pojęcia, czym jest CWA, ale nie miała okazji, aby zapytać. Pani B usadowiła się na kanapie i wzięła do ręki robótkę na drutach, a kiedy Leo i Luisa zbiegli na dół – już wykapani i w piżamach – przytuliła ich serdecznie.

– No, kotki, co to u was słychać? Leo, głowę dam, żeś urósł przynajmniej trzydzieści centymetrów, kiedy cię ostatni raz widziałam!

Widać było, że dzieci są zachwycone przybyciem gospodyni. Luisa wdrapała jej się na kolana i wtuliła mocno w okrywający ją szczelnie miękki sweter.

Rose pognęła do szopy, założyła czystą bluzkę, przyczesła długie włosy i rozpuściła je, a potem nałożyła błyszczyk na usta i pomalowała rzęsy. Poważnie rozważała wyjście w uggach, ale w ostatniej chwili zmieniła je na workery, które znalazła na tylnej werandzie i które były dokładnie w jej rozmiarze. Nie była pewna, jakie zwyczaje panują w miejscowym pubie w kontekście uggów i nie chciała wyjść na turystkę. Miała tylko niewiele mniej niż sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i tak czy inaczej wszędzie zwracała na siebie uwagę, nawet jeśli wcale tego nie chciała. Narzuciła na siebie kurtkę pożyczoną od Astrid, omotała się szalem i była gotowa do wyjścia. Niewielki bagaż ograniczał jej możliwości ubraniowe, ale coś jej mówiło, że mało kto w pubie będzie ubrany jak na bal.



Jazda przez egipskie ciemności do Eumeralli była niesamowitym przeżyciem, nawet z Astrid na miejscu pasażera. Wjeżdżając na główną ulicę, Rose odetchnęła z ulgą na widok kolorowych lampek, których sznur rozpięty był nad wejściem do pubu. Dziewczyna wspominała, że całkiem sporo miejscowych winiarzy i pracowników z winnic regularnie tu wpada w piątki wieczorem, i faktycznie – mimo

panującego na zewnątrz zimna w środku było tłoczno. Musiały przebijać się przez tłum do baru, który oblegała duża grupa klientów czekających na piwo.

– Cześć, Astrid! – rozległ się głośny okrzyk. Rose odwróciła się i zobaczyła piegowatego chłopaka we flanelowej koszuli z szopą kędzierzawych blond włosów, który machał do nich jak szalony.

– Thommo! – zawołała radośnie dziewczyna.

– Się macie! – powiedział, gdy już znalazł się obok nich. – Czy to ta nowa, o której słyszałem? – zapytał, taksując Rose wzrokiem. Siostra Henry’ego wciągnęła mimowolnie brzuch. Złamane serce nie uodporniało ją na uroczych facetów – szczególnie tak przyjaznych, jak ten tutaj.

– Nic się w tej dolinie nie ukryje! – roześmiała się Astrid. – Thommo, to Rose. Rose, poznaj Thommo. Thommo jest z wytwórni Windsong. „Człowiek tej ziemi”, jak sam mówi. – Niania zatrzepotała rzesami w jego kierunku.

– Miło mi cię poznać, Thommo – powiedziała Rose oficjalnie.

– I nawzajem. A teraz przywitam cię porządnie i po naszymu, tak jak to robimy w dolinie Shingle. Co pijecie? Ja stawiam.

Rose zdecydowała się na piwo o obniżonej zawartości alkoholu, bo miała prowadzić, ale Astrid z radością wypijała podwójną wódkę z tonikiem, po czym zniknęła w tłumie. Thommo przeprowadził Rose do grupki ludzi przy wąskim parapecie, który biegł wzdłuż całego pomieszczenia. Spojrzała na nich, a potem przetarła oczy – jeden z nich wyglądał jak dokładna kopia Thommo.

– Cześć. Charlie. Starszy brat Thommo. – Wyciągnął do niej dłoń.

– Taa, starszy. O całe pięć minut – odpalił Thommo.

Charlie przedstawił ją Deano, Mickowi i Angie – wszyscy wyglądali na dwadzieścia parę lat i pracowali w Lilybells, jednej z największych wytwórni wina w dolinie. Obok nich stał Bob – siwowłosy starszy pan z twarzą jak wyschnięte dno rzeki, pokrytą głębokimi bruzdami – pozostałościami po wielu latach spędzonych na palącym słońcu i ostrym wietrze. Charlie wyjaśnił, że Bob jest właścicielem Bob’s Run – niewielkiej wytwórni, która leżała przy Shingle Road kawałek za Kalkari. Po drugiej stronie baru stał barista z dreadami z kawiarni Święte Ziarno. Rose podeszła, żeby się z nim przywitać. W trakcie rozmowy zauważyła dwie siwe staruszki przy małym stoliku koło rozpalonego kominka. Jedna była chuda jak śmierć, z długimi, kościstymi ramionami, a druga stanowiła jej przeciwieństwo – dobrze zbudowana, z lekką nadwagą. Zapytała o nie barmana Bevana.

– To siostry Trevelyn – odpowiedział. – Violet i Vera. Plotki mówią, że uprawiają winogrona dzięki magii.

Rose zamrugnęła. Nie była pewna, czy może wierzyć mu na słowo.

– Tak czy inaczej, mają jedne z najlepszych winogron w dolinie. Wszyscy się zabijają o owoce od nich. Uprawiają winorośl biodynamicznie, zakopują krowie łajno załadowane w krowie rogi przy świetle księżyca, robią wywary z kompostu, takie tam.

– Żartujesz sobie, prawda?

Bevan był jednak zupełnie poważny.

– Wcale nie. Mnóstwo ludzi tak robi.

– Ale same nie robią wina? – zapytała.

– Nie, one tylko uprawiają winorośl. Sporo winnic tutaj tak robi. Sprzedają swoje winogrona innym

producentom, którzy mieszają je z własnymi. Pewnie nie chce im się użerać z całym procesem produkcji i sprzedaży.

Zafascynowana Rose chłonęła toczone wokół rozmowy, mimo że nie rozumiała połowy z tego, co mówiono. Kiedy wraz z Bevanem dołączyli do pozostałych, rozmowa zeszła na coś, co nazywano Paleniem Pędów, a co miało się odbyć za parę tygodni.

– To ognisko, które rozpalamy z przyciętych w winnicach pędów – to taki rodzaj rytuału śmierci i odrodzenia, w sumie trochę pogański – wyjaśnił Thommo. – Świętujemy zakończenie zimowych przycięć, jest to spora impreza i, nie trzeba ci pewnie tego tłumaczyć, mnóstwo dobrych rzeczy do picia. Trochę tańczymy. Wszyscy się zjawiają, a nawet jakieś wielkie szchy z Melbourne i Sydney. W tym roku impreza będzie u nas.

– Astrid właśnie nam mówiła, że nieźle gotujesz – włączył się Charlie, podchodząc bliżej. – Dałoby się może ciebie wypożyczyć? Przydałaby nam się dodatkowa pomoc. Dwie dziewczyny, które zwykle nam pomagają, tym razem się na nas wypięły.

Uśmiechał się tak czarująco, a wszyscy wokół byli tak przyjaźnie nastawieni, że Rose po prostu nie mogła odmówić.

– Jasne – zgodziła się, nie mając w sumie pewności, w co się właśnie pakuje, ale cieszyła się, że chcą jej pomocy. – Ale będę to musiała uzgodnić z szefem.

– Och, nie przejmuj się Markiem. Nie będzie problemu – zapewnił ją Charlie.

– Serio? – zdziwiła się Rose. Ze słów Astrid wywnioskowała, że jej nowy szef bywa w najlepszym przypadku trudny.

– Jasne. On dużo szczeka, ale nie gryzie. Sama zobaczysz – powiedział Charlie z pewnością siebie. – To przyzwoity gość.



# Rozdział 4

Ze snu obudziło Rose ćwierkanie ptaków – tak głośne, że musiały chyba siedzieć na parapecie. Spojrzała na zegarek i zauważyła z paniką, że jest chwilę po ósmej rano. Nadal leżała na kanapie. Nie było śladu Astrid, a Rose była pewna, że usłyszałyby jej wejście do domu – w końcu salonik znajdował się tuż przy drzwiach wejściowych, których po prostu nie dało się cicho zamknąć. Mimo późnej pory nie było też słychać dzieci. Nadstawiła uszu. W całym domu było cicho.

Sięgnęła po telefon, ale nie miała żadnych nieodebranych wiadomości. Doprawdy, Astrid powinna być nieco bardziej odpowiedzialna... Z drugiej strony znała ją kilka dni, więc trudno było przewidzieć jej zachowanie.

Krzywiąc się, Rose spróbowała się przeciągnąć po całej nocy spędzonej z kolanami podciągniętymi do brody i usłyszała tupanie Luisy na schodach.

– Assie, Assie... – wołała dziewczynka. Rose odetchnęła z ulgą, że jednak nie wróciła na noc do szopy. Co by było, gdyby nikogo nie było w domu, kiedy dzieci się zbudziły?

– Dzień dobry, słoneczko! Zaspałaś? Astrid wyszła, ale ja jestem. – Rose uniosła dziewczynkę ze stopnia i przytuliła ją mocno. – Jak się masz, maleństwo? – zapytała, sadzając ją sobie na biodrze.

– Dobrze – odparła Luisa, kiwając głową z naciskiem.

– Może cię przebierzemy i damy ci mleka?

– Mjeeeekooooo – powtórzyła Luisa nazwę swojego ulubionego napoju. – Ciepłe – zażądała.

– Dobrze, moja panno, mogę podgrzać – odpowiedziała kobieta, całując ją w pulchne policzki.

W kuchni Rose zrobiła sobie kawy i ogrzała stopy przy kuchni, podczas gdy Luisa rozrzucała przesiąknięte mlekiem płatki śniadaniowe po stole. Rose wytarła pokruszone grudki tuszu do rzęs spod oczu, podwinęła rękawy cienkiej bluzki i związała włosy w koczek, ale marzyła o prysznicu i umyciu zębów. Nie miała jeszcze okazji zajrzeć do Leo, ale zakładała, że on także zasnął.

Usłyszała skrzypienie nienaoliwionych zawiasów, a potem huk. Drzwi frontowe.

*Uff. Astrid wróciła.*

Na kamiennych płytach w korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Coś z łomotem upadło na podłogę, a pęk kluczy wylądował z brzękiem na stoliku. To raczej nie była Astrid. Rose właśnie się podnosiła, aby sprawdzić źródło tego hałasu, kiedy Luisa wygrzebała się ze swojego wysokiego krzeselka i pognęła do holu.

– Tatuś, taaaatuuuuś! – krzyczała głośno.

*O cholera. Pan Cameron. Mark. A oto ja, w pomiętych ciuchach, z kołtunem na głowie i resztkami makijażu spływającymi po policzkach.*

Faktycznie, w drzwiach kuchni stanął Mark. Wyglądał na wykończonego. Twarz pokrywał mu

dwudniowy ciemny zarost. Kurtkę miał postrzępioną przy kołnierzu; brakowało w niej kilku guzików, a przy tym wisiała na nim, jakby uszyto ją na kogoś znacznie większego. Spokojnie można było go wziąć za włóczęgę.

– Witaj, Rose – powiedział, rozglądając się po kuchni. – Gdzie Astrid?

– Dzień dobry – odparła pogodnie, zupełnie ignorując fakt, że wygląda tak samo nieporządnie, jak on.

– Astrid, hmm, miała wczoraj wolny wieczór. Została chyba na noc w miasteczku – improwizowała ze wszystkich sił. – Jak się udała podróż? Spodziewaliśmy się ciebie znacznie później.

– Złapałem wcześniejszy samolot. Tęskniłem za tą kruszyną – pociągnął Luisę za nos. – I za jej bratem. Gdzie Leo? Mam dla niego niespodziankę. – Mark odwrócił się i wyszedł z kuchni. Wrócił chwilę później, niosąc w rękach wrywającą się kulkę czarno-białego futra. Położył ją ostrożnie na podłodze, a szczeniak zaczął obwąchiwać nowe otoczenie. Rose ścisnęło się serce. Uwielbiała psy, ale w Londynie nie miała warunków, aby trzymać zwierzaka.

– Oooo, cześć, futrzaku – powiedziała, głaszcząc go po miękkim brzuszku. – Jak masz na imię, co?

– Całą drogę do domu wył do wtóru z Jimmym Barnesem, więc pewnie Barnsie. – Mark uśmiechnął się przelotnie, a Rose zobaczyła, jak z twarzy znika mu ponury wyraz. *Wygląda zupełnie inaczej, kiedy się uśmiecha.* Coś w nim ją pociągało i rozumiała teraz, dlaczego ktoś tak wyrafinowany jak Isabella mógł się w nim zakochać.

Mark gwizdnął na szczeniaka, ale ten zupełnie go zignorował i domagał się uwagi od Rose.

– Hmm. Myślałem, że border collie są bardziej posłuszne – rzucił, podniósł Luisę i ruszył po schodach na górę, wołając Leo. Rose przeczesła włosy palcami i skrzywiła się. Nie do końca tak zamierzała powitać nowego szefa.

Zostawiwszy dzieci pod opieką ich ojca, ruszyła do szopy pod prysznic, ale po drodze usłyszała samochód zajeżdżający na podjazd. Zmieniła więc kierunek i ruszyła w jego stronę, zastanawiając się, kto tym razem przyjechał. Zobaczyła poobijaną dwumiejscową furgonetkę z paką z tyłu i tablicą rejestracyjną „CORK 1”<sup>3</sup>, a potem blond włosy Astrid.

– Rose, taaak mi przykro z powodu ostatniego wieczora. Rozładował mi się telefon. Powinam była do ciebie zadzwonić, ale kiedy się zorientowałam, było już strasznie późno i pomyślałam, że będę z powrotem wystarczająco wcześnie. Thommo zaproponował, że mnie odwiezie z samego rana, więc przenocowałam u niego. – Błada jak ściana Astrid wygrzebywała się z furgonetki.

Rose najpierw pomachała Thommo na powitanie.

– Trochę się martwiłam – odpowiedziała. – Ale przenocowałam w domu. Dzieciom nic się nie stało.

– Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Dzięki wielkie. – Niania uśmiechnęła się słodko, ale Rose nie miała zamiaru dać się na to nabrać. *Dziewczęta tak ładne i młode jak Astrid przyzwyczajone są, że wszystko uchodzi im na sucho.*

– A tak na marginesie, Mark wrócił.

– Rany boskie – jęknęła Astrid, z której nagle zeszło powietrze. – Pytał, gdzie jestem? Jasna cholera, będę miała kłopoty.

Rose kusilo przez chwilę, żeby dać jej się pomartwić, ale zrezygnowała z tego pomysłu.

– Nie martw się, kryłam cię. Powiedziałam, że miałas wolny wieczór i zostałas w miasteczku ze znajomymi.

– Nieźle – podusmowała dziewczyna, patrząc na Rose z podziwem. – Dzięki. Lepiej tam już pójdę. – Nachyliła się przez okno do furgonetki, pocałowała Thommo w usta i pognąła do domu.

– Siemka, Rose, muszę spadać – rzucił chłopak, zawrócił i zniknął na końcu podjazdu.



Przed południem Rose i Astrid udało się oderwać Leo od Barnsie’ego – dzieci z miejsca pokochały kudłatego szczeniaka – a Luisę od Marka, który miał w wytwórni sporo pracy do nadrobienia, i pojechali wspólnie do Eumeralli na comiesięczny targ. Astrid obiecywała im dobrą zabawę i miała rację. Wszystko było dla Rose zachwycające. Stoły na kozłach załadowane były jasnozieloną sałata, pokrytymi ziemią ziemniakami i kapustą w odcieniu khaki, której wielkie główki były większe niż jej własna głowa. Obok leżały świeże sery, lśniące jaskrawymi barwami słoje dżemów i galaretek i ręcznie robione mydła. Niedaleko stał stragan rzeźnika ze świeżym mięsem i kiosk piekarniczy, wypełniony po dach świeżym chlebem, rogalikami i ciasteczkami z ciasta francuskiego z nadzieniem jagodowym. Kupujący zapełniali wielkie kosze warzywami, mięsem i serami, a w trakcie robienia zakupów posilali się kawą na stoisku kawiarnianym, które robiło absolutną furorę.

Astrid usadowiła Luisę w wózku spacerowym, a Leo szybko znalazł kilku kolegów szkolnych z piłką nożną i ruszył z nimi na placyk. Rose kupiła porośnięta puszystą zieloną nacią marchew, z której dumny byłby królik Bugs, wielki pęk liści szpinaku związanych sznurkiem i dynię godną wystawienia jej na Halloween. Zauważyła siostry Trevelyn, które widziała poprzedniego wieczora w pubie, i pomachała do nich. Każda z nich dźwigała na ramieniu wielki kosz z zieleniną.

Na widok ślicznych ciastek z owocami i kremem, poczuła głód, ale Astrid popchnęła ją w kierunku straganu, na którym sprzedawano bułeczki z jajkiem i boczkiem. Kupiła dwie, posmarowała je pikantnym sosem pomidorowym i podała jedną Rose.

– Śniadanie mistrzów – zaśmiała się z pełnymi ustami. – Ale pycha.

– Mmmmm – zgodziła się siostra Henry’ego, odrywając kawałek smażonego ciasta z jajkiem i podając go głodnej Luisie. – Albo śniadanie nocnych imprezowiczek!

Dziewczyna przez chwilę wydawała się zbита z tropu, ale potem zrozumiała, że Rose się z nią drażni, i się roześmiała.

Obeszły pozostałą część targu i dokupiły jeszcze fasolę, cebulę, wielkie główki fioletowego czosnku i całą torbę jabłek, aż w końcu Rose nie była w stanie już nic więcej unieść i nawet kosz pod wózkiem uginał się od zakupów.

Leo dogonił je po skończonym meczu.

– Ostatni przy samochodzie przegrywa! – krzyknęła Astrid i popędziła w kierunku parkingu, pchając przed sobą wózek z Luisą. Leo pognął za nią, a na końcu truchtała Rose pod ciężarem toreb.

Wsiadając do samochodu, Rose zanotowała sobie w pamięci, aby zapytać Marka o budżet na zakupy – i przy okazji o swoje wynagrodzenie. Czuła się nie w porządku na myśl o przyjmowaniu od niego pieniędzy, skoro tak naprawdę była szpiegiem przemysłowym, ale, do diabła ciężkiego, w końcu cały tydzień ciężko pracowała. Jednak z każdym dniem czuła rosnącą sympatię do tego miejsca, dzieci, do Astrid i nawet do Marka. Prawdziwy cel jej przyjazdu do winiarni zaczynał jej ciążyć. Powinna wysłać

bratu e-maila, ale musiała poczekać do środy – miała wtedy mieć wolny dzień, więc będzie mogła pojechać do Eumeralli i skorzystać z darmowego wi-fi w Świętym Ziarnie.



Rose podała właśnie dzieciom kolację, kiedy do kuchni wszedł Cameron. Ukroił sobie grubą pajdę chleba, po czym posmarował ją grubo masłem. Jego obecność wprawiła ją w zakłopotanie. Coś w nim sprawiało, że czuła się niepewnie. Zwłaszcza w roli szpiega.

– Rose, jesteś Angielką, tak? – zapytał, w gryzając się w kromkę.

– Um, uch, tak, tak właśnie. – *Dobry Boże, to brzmiało, jakbym była nienormalna.* Ale z drugiej strony jego pytanie było głupie. – Wychowałam się w małej wiosce w północnej części Oxfordshire, ale od kilku lat mieszkam w Londynie.

– Jasne. No cóż, dolina Shingle wyda ci się pewnie nieco spokojniejsza niż Londyn. – Mark skupił uwagę na Luisie, łaskocząc ją pod bródką, podczas gdy ona chichotała radośnie i machała widelcem w powietrzu. Potem schylił się i podniósł kawałek makaronu, który upadł pod jej krzesłem, wrzucił go do kosza na śmieci i wyszedł z kuchni równie raptownie, jak się w niej pojawił.

*Mistrz konwersacji.* Trzeba się będzie nieźle natrudzić, żeby odkryć to, czego Henry chciał się dowiedzieć. Jak na razie nowy szef raczej nie miał zamiaru jej tego ułatwić.

# Rozdział 5

W ciągu kolejnego tygodnia Rose nie miała okazji spędzić więcej czasu z Markiem. Każdego ranka przychodził do kuchni na szybkie śniadanie razem z dziećmi, a potem znikał w wytwórni. Przychodził do domu, kiedy Leo wracał ze szkoły, odrabiał z nim lekcje, a potem bawił się z synem i Barnsie'em na podwórku, cierpliwie rzucając szczeniakowi patyki. Ku zachwytowi Leo, pies przynosił je za każdym razem. Potem Mark jadł z dziećmi wczesną kolację i wracał na parę godzin do wytwórni. Rose zwykle zostawiała mu jedzenie na piecu, aby nie wystygło.

Pewnego wieczora jej szef wrócił do domu, kiedy obie dziewczyny jadły kolację.

– Dlaczego to jest otwarte? – zapytał cicho, podnosząc do góry butelkę wina, która stała na kredensie.

– O, cholera – wymamrotała cicho Rose. Znalazła tę butelkę na samym dnie spiżarni. Była tak stara i zakurzona, że nie dało się przeczytać etykiety. Rose uznała, że to część zapasów „wina domowego”, które Astrid napoczęła pierwszego wieczora, i dołała sporo do posiłku, który właśnie jadły. – Eeee, potrzebowałam trochę wina do zapiekanki wołowej. Myślałam, że mogę tego użyć. Stało z samego tyłu spiżarni. Źle zrobiłam?

– To dwudziestoletni cabernet z pierwszej winnicy mojej rodziny. – Mark spiorunował ją wzrokiem. Rose wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć. Skąd miała wiedzieć, którego wina mają nie ruszać, a które wolno wziąć?

– Jak to się dostało do spiżarni? – wymamrotał, bardziej do siebie niż do niej. – Były tam jeszcze jakieś butelki? – To pytanie skierował do Rose.

– Nie widziałam. Przepraszam cię, nie miałam pojęcia...

– Lepiej, żeby ta zapiekanka była warta tego wina – powiedział z rezygnacją. – Nałóż mi, proszę.

Rozmowa zdecydowanie się nie kleiła. Mark był zamyślony, odpowiadał na uprzejme pytania Astrid i Rose półsłówkami i pożerał zapiekankę w błyskawicznym tempie.

– Mark, dzwoniли ze szkoły. Pytali, czy Leo będzie grał w szkolnej drużynie. Nie podpisałeś pozwolenia. Powiedzieli, że naprawdę chcą, aby grał, ale potrzebują twojej zgody. Już dawno mieli ją dostać. Powinieneś go zobaczyć, jak gra, jest świetnym napastnikiem – przerwała milczenie Astrid. Widelec Marka nieco zwolnił.

– Znajdź mi ten świstek, Astrid, to podpiszę. Oczekuję, że to wy będziecie dbały o wszystkie sprawy związane z dziećmi. Mam wystarczająco dużo problemów z wytwórnią.

– Naturalnie, przepraszam. Ale dałam ci go w zeszłym tygodniu. Poproszę, aby wystawili kolejny.

Mark w milczeniu kończył kolację. Astrid spojrzała na Rose z wymowną miną, ale uważała przy tym, żeby Mark tego nie zauważył. Dziewczęta jadły w milczeniu, podenerwowane jego zachowaniem. Nawet nie powiedział, czy kolacja mu smakowała, a przecież podano mu całkiem dobry boeuf bourguignon.



*Doprawdy, Mark Cameron ma osobowość i urok motyki, pomyślała złośliwie Rose.*

Trochę ugcieszył ją fakt, że Mark dokładnie wytarł talerz z sosu kawałkiem chleba. Przynajmniej doceniał to, jak gotuje.



W przerwach między karmieniem wszystkich i sprzątaniami kuchni Rose porządkowała cały dom, trzepiąc antyczne dywany, myjąc okna i polerując do połysku różnorodną zbieraninę mebli. Bardzo chciała znaleźć coś dla Henry'ego, a sprzątanie dawało jej doskonałą wymówkę, aby plątać się po domu bez wzbudzania podejrzeń.

Porządkując po kolei wszystkie pomieszczenia, stwierdziła, że ten wspaniały stary dom coraz mniej ją onieśmiela. Na parterze odkryła jasny, przestronny salon, który – w przeciwieństwie do podniszczonego wystroju pozostałej części domu – urządzony był ekstrawagancko. Stały tam wielkie, czerwono-fioletowe kanapy z wysokimi oparciami, a okna ozdobione były złoty-różowymi zasłonami. Widać tu było rękę Isabelli.

W dalszej kolejności Rose wtargnęła astmatyczny odkurzacz i wiadro ze środkami czystości po szerokich drewnianych schodach na piętro. Przeszła nad stosem porzuconych zabawek i otworzyła drzwi do pokoju Astrid. Nie ruszyła jednak góry ciuchów, butów i kosmetyków – uznała, że dziewczyna pewnie wolałaby zachować prywatność. Wzdłuż korytarza znajdowały się jeszcze trzy pokoje gościnne i łazienka. Wyglądały na prawie nieużywane, ale wszystko pokryte było cienką warstewką kurzu, więc Rose starła go, odkurzyła pomieszczenia i poprawiła pościel i zasłony.

Wracając na dół, trafiła na drzwi z drugiej strony korytarza, których wcześniej nie zauważyła. Musiała to być sypialnia Marka i Isabelli. Rose rzuciła okiem w kierunku schodów, upewniając się, czy w dalszym ciągu nikogo nie ma, po czym powoli otworzyła drzwi. Zasłony były zaciągnięte, łóżko niepościelone, a pościel wymięta. Z komód wystawały wyciągnięte do połowy szuflady, których zawartość wypadła się na podłogę. Powietrze przesycił mdły zapach zwietrzałych perfum.

Rose odsunęła zasłony i zamknęła szuflady, po czym zauważyła na stoliku nocnym leżącą zdjęciem do dołu srebrną ramkę. Ustawiła ją prosto – było to zdjęcie Marka i Isabelli, które zapewne zrobiono w dniu ich ślubu. Bardzo szykowna Isabella śmiała się do Marka – jej ciemne włosy otulał przejrzysty biały welon, a oczy lśniły. Mark patrzył na nią, a wokół unosiły się chmury confetti. Wyglądali młodo, beztrosko i byli w sobie z pewnością zakochani. „Koszmar”, mówiła jej Astrid o Isabelli. „Na zewnątrz wygląda absolutnie uroczo, ale nie ufam jej”.

Ani na toaletce, ani na konsolach nie było żadnych papierów ani dokumentów, a Rose nie chciała przeszukiwać szuflad. Ten pokój był zbyt osobisty, zbyt intymny. Westchnęła. Henry nie będzie miał z jej szpiegowania dużego pożytku.



Starając się ignorować chłodne powietrze, Rose postanowiła rozejrzeć się po Kalkari. Pewnego poranka zaskoczyła na polu grupę pasących się kangurów i od tego czasu trzymała się głównie wijących się

między winnicami ścieżek. W końcu znudziło ją spacerowanie i postanowiła zacząć truchtać. W szkole średniej trenowała bieganie i nawet zakwalifikowała się do mistrzostw hrabstwa – długie nogi wreszcie jej się na coś przydały – ale podwójne zmiany i jedzenie ciastek i naleśników w The Pine Box sprawiły, że już od dawna nie zakładała butów sportowych w celu innym niż wyjście do sklepu po mleko. Nie mogła uwierzyć, jak ociężała się czuła, a na podbiegach pod strome zbocza wzgórz Shingle trudno jej było zignorować własną masę. Musiała przyznać, że mocno się zapuściła.

Jako nastolatka Rose była chuda i patykowata – patrząc na nią teraz, nikt by się nie domyślił, że dzieciaki w szkole przezywały ją Szkieletor. Te czasy jednak dawno minęły. Jej brzuch żył własnym życiem i kołysał się jak doskonale zastygnięta panna cotta. Tyła jednak tak powoli i stopniowo, że prawie tego nie zauważyła, a ponieważ była wysoka, łatwo jej to było ukryć. Teraz jednak, patrząc na wałeczki kremowej skóry wylewające się z nad cisnącej gumki legginsów, zdała sobie sprawę, że sprawy wymknęły się spod kontroli. Dysząc ciężko, na co bardziej stromych stokach musiała zwalniać, ale nie poddawała się – jej uwagę od stromizny odwracały piękne widoki ze szczytu górującego nad Kalkari wzgórza.

Dolina rozpościerała się przed nią jak ilustracja z książki z obrazkami – rzędy winorośli rozciągały się w różnych kierunkach, tworząc patchworkowy wzór. Między nimi rozsiane były małe domki i wytwórnie wina, które przypominały domki dla lalek. Prawie codziennie widziała w winnicach wyglądające na przemarznięte figurki, ciepło ubrane w kurtki i czapki. Z koszami u boku i sekatorami w dłoniach przycinały nagie krzewy winorośli, rozpięte na rzędach drucianych trejaży. Przypuszczała, że musi to trochę przypominać przycinanie róż. Wielogodzinna robota na zimnie wydawała jej się upiornym zajęciem.

Zawsze wracała do szopy zaczerwieniona i zasapana, ale dzięki ćwiczeniom i ciężkiej fizycznej pracy w domu spodnie stawały się coraz luźniejsze. Sprawilo jej to większą satysfakcję, niż się spodziewała.



Zasięg sieci komórkowych w Kalkari był dramatycznie słaby, więc pewnego poranka Rose zabrała laptopa i pojechała do Świętego Ziarna. Wysłała bratu e-mail z wiadomościami – choć na tym etapie nie było w zasadzie jeszcze o czym informować. Nie udało jej się jeszcze wejść ani do winiarni, ani do wytwórni – zawsze był tam Mark – a to tam miała największe szanse znaleźć informacje, o które chodziło Henry’emu. Cameron jednak zawsze zamykał oba pomieszczenia za sobą, gdy kończył pracę. Widziała zajeżdżający i odjeżdżający samochód – pewnie jeździł nim kierownik albo ktoś w tym rodzaju – ale jej szef zawsze zostawał w wytwórni jeszcze długo po jego odjeździe. Nie miała też pojęcia, gdzie trzyma klucze.

W dalszej kolejności wysłała krótki e-mail do Philippe’a i Frostiego – znajomych, u których zatrzymała się w Bondi przed przyjazdem do Kalkari. Ponarzekła w nim trochę na zimno i brak przyzwoitej kawy gdziekolwiek indziej poza Świętym Ziarnem. Potem weszła na Facebooka, aby zobaczyć, co słychać. Londyn wydawał jej się teraz tak odległy. Sprawdziła wiadomości, a potem sprawdziła je ponownie, ale nie było nic od Gilesa. Nie oczekiwała w sumie niczego, ale w głębi serca nadal tliła się wątpliwa nadzieja – choć Rose robiła, co mogła, by ją zignorować – że może, może jednak się

rozmyślił, zdał sobie sprawę, że nie może bez niej żyć, i zaprosił ją do Brukseli... Serce ścisnęło jej się żałością i poczuła, że bez ostrzeżenia ogarnia ją fala tęsknoty za domem.

# Rozdział 6

Zbliżała się Noc Palenia Pędów. Do Rose zadzwonił Thommo z instrukcjami i jeszcze raz podziękował jej za pomoc. Udało jej się złapać Marka między odrabianiem lekcji z Leo a kąpielą dzieci, a on zgodził się, choć niechętnie, aby mogła pomóc przy organizacji ogniska. Rose nie była do końca pewna, dlaczego myśl o tym tak ją cieszy, choć – musiała przyznać sama przed sobą – ekscytowała ją wizja powrotu do porządnej komercyjnej kuchni.

W piątek z samego rana, po przejechaniu kilku kilometrów w poprzek doliny, zameldowała się w Windsong. Był piękny, słoneczny i chłodny dzień, a ona całą drogę śpiewała na całe gardło, choć niezbyt melodyjnie. Kiedy zajeżdżała pod budynek wytwórni, z pobliskiej kępy wysokich drzew eukaliptusowych poderwało się stadko białych kakadu, które zaczęły krążyć i wrzeszczeć. W drzwiach dużej szopy z drewna i cegły pojawił się Thommo – a może Charlie, trudno było stwierdzić.

– Rose, skarbie, świetnie, że cię widzę. Wchodź i poznaj się ze wszystkimi.

Rose podążyła za nim do ogromnej szopy, a jej wzrok przez chwilę dostosowywał się do przyćmionego światła. Wielkie drewniane beczki leżały jedne na drugich pod każdą ścianą, a przez całą długość pomieszczenia rozstawione były stoły na kozłach. Wciągnęła do płuc powietrze pachnące drożdżami.

– Tu zrobiliśmy miejsce na kolację. Główne miejsce akcji jest teraz tam, z tyłu. – Poprowadził ją przez drzwi w tylnej części pomieszczenia do przestronnej kuchni. Cztery kobiety znieruchomiały na moment i podniosły na nich wzrok.

– Moje drogie, oto Rose. Przyszła wam nieszczęśnicom pomóc.

Rose poczuła na sobie wścibski wzrok czterech par oczu. Pulchna kobieta z roześmianymi oczami, która przedstawiła się jako Betty, przywitała ją i podała fartuch i czepek.

– Dzięki, Charlie. Już ledwo powłóczymy nogami – powiedziała. Charlie puścił oko do Rose i wyszedł, rzucając przez ramię, że niedługo wróci zobaczyć, jak sobie radzą.

– No więc, kotku, słyszałam o tobie od Brendy – powiedziała Betty przyjaźnie. – Jesteś tą nową au pairką z Anglii, prawda?

– Od Brendy? – powtórzyła Rose niepewnie.

– Brendy Butters. Gospodyni z Kalkari. No, przynajmniej była gospodynią, póki jej plecy nie wysiadły.

– Och, pani B – zorientowała się Rose.

– Tak. To był prawdziwy skandal na początku roku, kiedy pani domu uciekła z tym Hiszpanem. Wszyscy byliśmy w szoku. Te biedne maluchy! Luisa nawet nie skończyła dwóch lat. Moim zdaniem to skandaliczne. Ale z drugiej strony Brenda mówi, że Marka prawie nigdy nie było w domu. Zbyt był zajęty

tymi swoimi winami, żeby zwracać na cokolwiek uwagę. Nie sądzę, żeby ona była kiedykolwiek szczęśliwa tu, w dolinie. – Betty cmoknęła z dezaprobatą, obierając zręcznie ziemniaki. Prawie nie zrobiła przerwy na wdech.

– Brenda mówiła mi, że całkiem dobrze sobie radzisz w kuchni. Dziś robimy wieprzowe rillettes, łososia marynowanego w cukrze, ogórki konserwowe i tapenade z oliwek. Potem żeberka wołowe i pieczone warzywa korzeniowe. Kończymy plackami z jabłkiem i rabarbarem i serami z mleczarni Shingle Dairy. Na kolacji spodziewamy się niemal stu osób, ale na ognisko przed kolacją przyjdzie jeszcze więcej – dostaną zupę i chleb.

W głębi serca Rose pogratulowała sobie decyzji, aby pomóc przy organizacji święta. Z taką gadułą w kuchni na pewno uda jej się pozyskać jakieś przydatne informacje dla Henry’ego.

– Brzmi smakowicie – powiedziała, przełykając ślinę. – Co mam robić?

– Zaczynj od owoców na placki, dobrze? Jabłka są tam, a rabarbar trzeba umyć i pokroić – powiedziała Betty, podając jej obierak i wiadro.

*Ach, te wyrefinowane zadania.* Rose przyciągnęła sobie stołek i zabrała się do jabłek.

Pracowała z pozostałymi kobietami przez cały dzień, robiąc tylko krótką przerwę na szybki lunch – kanapki i kubek herbaty z kotła. Betty przez cały czas zabawiała wszystkich niekończącym się potokiem nieszkodliwych plotek i złośliwych uwag, a jednocześnie udało jej się uporać z ogromnym stosem owoców i warzyw.

Kiedy słońce zachodziło na różowo nad horyzontem, bardzo zmęczona Rose ruszyła w drogę powrotną przez dolinę. Podczas jazdy jej myśli wróciły do Gilesa. Ból w sercu był porównywalny do obolałych dłoni po całodziennym obieraniu i siekaniu.

Szpecially dobrze pamiętała jeden dzień. Musiało to być zaledwie kilka miesięcy przed zerwaniem. Miała akurat wolną niedzielę – co było rzadkością, bo zwykle dostawała zmiany weekendowe – i pojechali do Hampstead na spacer. Był piękny, wiosenny dzień. Płatki kwiatów jabłoni leżały na ulicach jak confetti. Kiedy stali na szczycie Parliament Hill, wiatr cały czas ścigał jej szal z szyi, a ona śmiała się, odgarniając go z twarzy. Giles zatrzymał ją, złapał oba końce szalika i zawiązał je ściśle, po czym przygładził jej włosy, przyciągnął jej twarz i pocałował. Powiedział, że ją kocha.

Zakłamanym gnojek.



Mimo ciężkiej pracy poprzedniego dnia Rose ponownie zerwała się o świcie i dotarła do Windsong przed śniadaniem, dołączając do miejscowych kobiet przy robieniu ciast, mieleniu oliwek i ziół i krojeniu płatów łososia na cieniutkie plastry.

Kiedy późnym popołudniem wróciła do Kalkari, Leo opowiedział jej z ekscytacją, że nauczyła psa siadać, a Luisa zaganiała Maggie i Nigellę do ich wielkiego kurnika. W powietrzu unosiła się aura oczekiwania – dzieci bardzo cieszyły się na ognisko. Leo zapytał Rose, czy widziała ułożony z pędów stos.

– Czy jest wyższy ode mnie? – wypytywał.

– Jest tak wielki, jak londyńska twierdza Tower – odpowiedziała, a chłopiec jęknął z zachwytem.

– Fieldza! – wrzasnęła Luisa, podskakując.

– Ekstra! Czy będzie bardzo, bardzo gorąco? – zapytał Leo.

– Na pewno. Lepiej uważaj, żebyś się nie stopił jak świeca, dobra? – zakpiła Rose. Był naprawdę uroczym chłopcem.

Astrid miała zabrać dzieci na ognisko, a potem odwieźć je do domu. Mark zostawał w Windsong na kolację. Z kolei Rose po obejrzeniu ogniska miała pomóc w kuchni.

Na miejsce przyjechała o zachodzie słońca. Zaparkowała na wyznaczonym w tym celu wybiegu i poszła drogą w kierunku wytwórni wina. Przycięte pędy winorośli ułożono w bezpiecznej odległości od budynków w ogromny stos, który górował jej nad głową.

Zauważyła Astrid i dzieci. Leo wyciągał głowę do góry, żeby lepiej widzieć.

– Zupełnie jak ogniska z okazji Nocy Guya Fawkesa w Anglii – powiedziała, kiedy ich dogoniła. Astrid wyglądała na zbitą z tropu, ale Rose nie miała czasu jej tego wyjaśnić, bo właśnie pojawił się Mark z kubkiem zupy dla Leo i drugim, mniejszym, dla Luisy. Ostudził zupę, po czym podał je dzieciom i zniknął w tłumie ludzi otaczających stos.

Wrócił jednak do nich, kiedy nadszedł czas na rozpalenie ogniska. Wziął córkę na barana i patrzyli wspólnie, jak zapalony pęd winorośli leci w kierunku szczytu stosu.

*Szszszszszszszuuuuuu!*

Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie, pochłaniając suche pędy, głośno trzaskając i oświetlając twarze oglądających go osób. Od palących się gałęzi biło gorąco. Wszyscy patrzyli jak zaczarowani na blask ogniska.

Po pewnym czasie Rose wymknęła się do kuchni. Idąc przez ogromną szopę, teraz ogrzaną całą armią dużych grzejników, nie mogła uwierzyć w jej przemianę. Długie stoły, przykryte nakrochmalonymi białymi obrusami i udekorowane sznurami lampek oplątanych wokół pędów winorośli, wyglądały jak scenografia do filmu.

W kuchni znalazła kucharki i zespół posługaczy ogarniętych ledwo kontrolowaną paniką.

– Jeśli nie przyjdą niedługo, wołowina się rozpadnie – zawodziła Betty, zaglądając do ogromnego pieca.

– Nie martw się, Betty – odpowiedziała jedna z kucharek. – Wysłałam Thommo, żeby wszystkich przyprowadził. Lada chwila możemy podawać.

I faktycznie, niedługo sala z beczkami rozbrzmiała dźwiękiem kroków na kamiennej podłodze, odgłosami śmiechu i rozmów, kiedy goście zaczęli się zbierać.

Ustawiając na stole ciężkie półmiski z łososiem i rillettes, Rose zauważyła Marka, który siedział między ładną blondynką po lewej stronie a rudą po prawej. Nachylał się właśnie, żeby usłyszeć, co mówi blondynka, i w skupieniu patrzył jej w oczy.

– Będą się dziś wokół niego uwijały – powiedział Charlie, który zmaterializował się za jej plecami. – Teraz, kiedy Isabella się zabrała, Cameron jest dobrą partią. Ta blondynka to Amanda Davis, mieszka w mieście, ale do jej rodziny należy Bellbirds – hotel butikowy po drugiej stronie doliny. Żeby było zabawniej, bardzo często tu teraz przyjeżdża – mrugnął do Rose. – A ta druga laska to Sadie, wesoła wdówka po Benie Hamletcie. Mówią, że odziedziczyła fortunę i nie ma skrupułów, żeby ją szybko wydawać.

Rose zamrugnęła z zaskoczeniem, choć wiedziała, że mimo paskudnego charakteru Mark jest atrakcyjnym mężczyzną. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, co o nim myśleć – poza krótkimi chwilami, które spędzał każdego popołudnia z dziećmi, cały czas siedział w wytwórni.

– Może to właśnie to, czego Markowi potrzeba – dodał Charlie.

– Hmm?

– To nie moja sprawa, ale wszyscy wiedzą, że od jakiegoś czasu ledwo przedzie. Prowadzi swoją wytwórnię siłą woli. Mówi się, że bank mu ostatnio mocno utrudnia życie.

Charlie poszedł dalej, napełniając dziesiątki kieliszków na stole bladożółtym i czerwonym winem, które lśniły w świetle świec. Rose zapamiętała, co powiedział, aby w wolnej chwili przekazać to Henry'emu. Wróciła do kuchni, gdzie Betty wyciągała właśnie z pieców wielkie blachy pełne wołowiny. Pozostała część wieczora złała się w jedno. Rose pomagała serwować ogromne półmiski mięsa i warzyw, kroїła ciasta, zbierała talerze i kieliszki. Masy kieliszków. Dobrze, że w kuchni znajdowała się wielka zmywarka na samo szkło.

Po kolacji zaczęła grać tradycyjna australijska kapela folkowa, a na środku pomieszczenia zrobiono miejsce do tańca. Wkrótce większość uczujących była na nogach i tańczyła z entuzjazmem do dźwięków skrzypiec, banjo i harmonijki ustnej, niemal na siebie wpadając. Widać było, że szczerze uzupełniane kieliszki pozbawiły dużą część gości zahamowań. Wszyscy świetnie się bawili.

Rose zdała sobie sprawę, że już od dawna sama się tak dobrze nie bawiła i bardzo chciała być częścią wydarzenia, w którym brała udział cała dolina. Z drugiej jednak strony była wykończona. To było męczące parę dni i dosłownie padała z nóg. Właśnie przekradała się bokiem sali do wyjścia, żeby znaleźć samochód, kiedy wpadła na Marka.

– O, cześć, przepraszam, ja, eee... – Rose z trudem szukała słów. – Cześć. Właśnie się zbieram.

– Mogę się z tobą zabrać? Astrid wzięła samochód, a ja wypilem zbyt dużo, żeby pożyczyć od chłopaków furgonetkę – zaskoczył ją kompletnie.

– Jasne, nie ma sprawy. Daj mi tylko chwilę, zostawiłam chyba szalik w kuchni – powiedziała, próbując założyć kurtkę. Podniosła wzrok i zobaczyła blondynkę z kolacji, która zmierzała w ich stronę.

– Daj mi kluczyki, będę czekał przy samochodzie – odparł Cameron.

– Ale nie wiesz, gdzie stoi. – Rose zupełnie nie rozumiała, czemu mu się tak spieszy.

– Raczej go nie przeoczę. To ten żółty, prawda? – Drgały mu kąciki ust.

– Tak, to ten – nie wiedziała, że to zauważył. – Masz. – Podała mu kluczyki, a on wyszedł na zewnątrz, nim blondynka miała okazję go zatrzymać.

Rose znalazła szalik, pożegnała się z Brendą i Betty, które siedziały przy kieliszku wina, opierając nogi na stole. Przechodząc koło ogniska, zobaczyła, że zostały po nim tylko rozżarzone popioły. Doszła do samochodu i znalazła Camerona w fotelu pasażera – siedział wygodnie rozparty z zamkniętymi oczami. Uchylił jednak jedno oko, kiedy wsiadła, i spojrzał na nią z ukosa.

– Przepraszam cię za to. Musiałem się stamtąd szybko zabrać. Ta upiorna Amanda szła w naszą stronę.

– Jest aż tak upierdliwa?

– Pewnie nie – westchnął. – Ale nie mam ochoty na amory.

– Jasne. No dobrze, jedźmy – powiedziała zakłopotana. Nie chciała kontynuować tej rozmowy.

Kiedy przekręcała kluczyk w stacyjce, Mark zamknął z powrotem oczy i spał, albo przynajmniej

udawał, że śpi, przez całą drogę do domu. Rose co jakiś czas rzucała na niego okiem, patrząc na jego pogrążoną w ciemności twarz, i rozmyślała, że kiedy się trochę rozluźni, wydaje się znacznie łagodniejszy.



# Rozdział 7

Następnego poranka Rose zamiatała ganek frontowy, zmagając się z bólem głowy spowodowanym całonocnym hałasem i zabawą. Usłyszała zajeżdżający samochód, uniosła wzrok i zobaczyła furgonetkę z biało-brązowym psem pasterskim na pace. Barnsie wybiegł na dwór i zaczął radośnie obszcze kiwać przybyszów.

– Cicho, durny kundlu – pogroziła mu żartobliwie, podnosząc i przytulając szczeniaka. Z furgonetki wynurzył się Charlie z ogromnym bukietem lilii i różowych róż.

– To dla ciebie, słonko – podziękowanie za pomoc przy kolacji. Te placki były niezemskie, a Betty mówi, że zrobiłaś je całkiem sama. Nie miałem okazji podziękować ci wczoraj – zniknęłaś z placu boju szybciej niż bielizna panny młodej.

Rose zarumieniła się i odstawiła wrywającego się Barnsie'ego na ziemię, żeby przyjąć kwiaty. Była wzruszona – Giles nawet w najlepszym okresie ich związku nigdy nie przyniósł jej tak wspaniałego bukietu.

– Nie ma za co, naprawdę. Cieszę się, że mogłam pomóc. Wszystko wyglądało po prostu magicznie.

Bynajmniej nie była po prostu zdawkowo uprzejma. Świetnie się bawiła i cieszył ją fakt, że wszystko przebiegło zgodnie z planem.

Barnsie podskakiwał przy furgonetce i oszcze kiwał psa Charliego, mimo że był od niego cztery razy mniejszy.

– Cicho, Barnsie. Siad! – ponownie przywołała go do porządku.

W tej właśnie chwili na ścieżce od strony wytwórni pojawił się Mark.

– Rose, czyżbyś miała nie do końca tajemniczego wielbiciela? – zapytał, unosząc brew na widok kwiatów. Podszedł do Charliego i uściskał mu rękę. – Doskonała robota wczoraj. Robiło wrażenie. I bardzo smakował mi wasz nowy shiraz.

– Dzięki, chłopie. Faktycznie, fajnie nam wyszedł. Zobaczymy, jak sobie poradzi w Melbourne.

– W Melbourne? – zapytała Rose.

– Na targach winnych w Melbourne. Przyznają na nich nagrodę Jimmy'ego Watsona dla najlepszego jedno- lub dwuletniego czerwonego wina. To najważniejsza nagroda dla wina w Australii – wyjaśnił Mark.

– Aha. – Rose weszła do domu po wazon. Kiedy kilka minut później wróciła przed dom, zobaczyła, że Charlie już odjechał – za jego furgonetką ciągnęła się chmura kurzu.

– Masz teraz chwilę, Rose? Nikt ci chyba niczego tu porządnie nie pokazał i nie wyjaśnił, czym się zajmujemy, prawda? – Cameron wyglądał zaskakująco rześko w porównaniu z ostatnią nocą, a przy tym, co już zupełnie zakrawało na cud, po raz pierwszy od momentu, gdy go poznała, wydawał się w dobrym

humorze.

*Doskonale.* Może wreszcie dowie się czegoś, co będzie mogła przekazać Henry'emu.

– Jasne, czemu nie? – odpowiedziała, starając się nie okazywać entuzjazmu. Mark poprowadził ją ścieżką do drzwi do winiarni – nadal były zamknięte, tak samo jak w dniu jej przyjazdu.

– Winiarnię zamykamy na zimę – jest trochę ruchu w weekendy, ale nie na tyle, aby zatrudniać pracowników na cały rok – wyjaśnił, wyciągając z kieszeni wielki żelazny klucz i wkładając go do zamka.

Po wejściu do chłodnego i ciemnego pomieszczenia Rose dostrzegła, że na szeregach miniaturowych kieliszków nad barem zalega gruba warstwa kurzu. Na kilku starych beczkach spoczywał ogromny blat z lakierowanego drewna, na którym – jak przypuszczała – nalewano wino do degustacji. Na stojakach w obu końcach pomieszczenia ustawiono srebrne pojemniki. Spojrzała na Marka pytająco.

– Spluwaczki.

– Aha.

– To ma sens, jeśli degustujesz ponad dwanaście win. Ale nie wszyscy wypluwają. – Przez twarz przebiegł mu uśmiech. – Mamy kilka różnych win, które otwieramy do degustacji. Produkuje chardonnay, kupaż caberneta z shirazem, shiraza z jednej winnicy – Assignment – która leży na samym obrzeżu Kalkari, a dodatkowo eksperymentuję z dwoma hiszpańskimi odmianami – tempranillo i albarino. Większość naszych win robimy z własnych winogron, ale trochę owoców dokupujemy od innych producentów w dolinie. Dzięki temu mam większą kontrolę nad całym procesem.

Po obejrzeniu piwnicy wyszli na zewnątrz i ruszyli ścieżką biegnącą w kierunku samej wytwórni wina, wielkiej szopy z blachy falistej. Po wejściu do ogromnego pomieszczenia z surową betonową podłogą i górującymi stalowymi zbiornikami Rose zauważyła ten sam aromat drożdży, jaki wyczuła w szopie w Windsong. Wciągnęła go głęboko do płuc – był ciepły, niemal żywy.

– Boże, ależ mi się ten zapach podoba. Przypomina mi piekarnię.

– Przebywając tu codziennie, szybko byś się na niego uodporniła – uśmiechnął się do niej szeroko Mark. – Ale gdy wchodzę tu po powrocie z dłuższego wyjazdu, to jest właśnie dla mnie zapach domu.

Cameron zaczął ją oprowadzać, wyjaśniając, co jest czym.

– Fermentujemy każdą partię z osobna, wyłącznie z użyciem dzikich drożdży, a potem w beczkach poddajemy je fermentacji malolaktycznej. Dopiero wtedy je mieszamy, aby uzyskać efekt końcowy. – Rose nie rozumiała wszystkiego, co do niej mówił, ale zafascynowana kiwała głową. Mark poprowadził ją do niewielkiej kanciapy i przedstawił Danowi – asystentowi winiarskiemu. To właśnie jego samochód Dana widziała na podjeździe, ale teraz po raz pierwszy stanęła z nim oko w oko. Dan był starszym facetem z pasmami siwizny w gęstych brązowych włosach, mocno posiwiałą brodą i koszulą w kratę. Na nogach miał robocze buty. Spojrzał na nią znad laptopa i pomachał wesoło na powitanie.

– Właśnie sprawdzam pogodę, szefie. Wydaje się, że przez kolejny tydzień czy coś koło tego będziemy mieli deszcz.

W głowie Rose coś zaskoczyło.

– Macie tu internet?

– Tak, ale bardzo wolny i często przerywa – odpowiedział Dan. – To jeden z uroków pracy na wsi.

– Jasne – odparła z rezygnacją. – Będę chyba musiała nadal polegać na Świętym Ziarnie. Miło cię było

spotkać, Dan.

Wyszła za Markiem z biura na metalowe schody prowadzące na galeryjkę. Była strasznie wąska i przerażająco wysoko zawieszona. Rose nigdy nie lubiła wysokości, ale wdrapała się po schodach, usiłując opanować drżące kolana. Z góry popatrzyli na stalowe zbiorniki, kilka dużych kwadratowych betonowych zbiorników w tylnej części szopy oraz piramidę małych dębowych beczek w odległym kącie pomieszczenia.

– Dąb francuski – wskazał na nie Mark. – Z Limousin i Wogezów. Drogi jak cholera, ale najlepszy.

Zeszli na dół, gdzie Cameron podszedł do beczek i wyciągnął długą, zakrzywioną szklaną rurkę. Przypominała Rose nieco wydłużoną gruszkę do odciągania tłuszczu z pieczonego mięsa. Patrzyła zaskoczona, jak jej szef wyciąga gumowy korek z beczki i zasysa do szklanej rurki wino.

– To próbnik – wyjaśnił.

– Mówisz o tym urządzeniu czy o sobie? – zapytała z uśmiechem. W odpowiedzi uniósł tylko brew. Przyłożył do końca próbnika kciuk, żeby wino nie wypłynęło, po czym nalał je do dwóch niewielkich kieliszków, które trzymał w drugiej ręce.

– Skosztuj tego. To nasz shiraz z 2014 roku, Assignation – powiedział, podając jej kieliszek. – Pokażę ci, jak degustować – dodał. Zaprezentował, jak należy trzymać kieliszek za nóżkę i zakręcić winem, wsunąć nos do kieliszka i wciągnąć głęboko jego aromat, a następnie zassać do ust nieco wina i siorbać je wzdłuż języka aż do gardła przed połknięciem. Dzięki długim godzinom spędzonym z Henrym Rose wiedziała, jak to robić, ale pozwoliła Markowi na całą prezentację i stosowała się do jego wskazówek. Nie chciała, żeby zauważył, że wie o winie więcej, niż powinna.

– I co myślisz?

Wyczuwała bogate nuty owocowe i korzenne – niemal jak w bożonarodzeniowym cieście, które piekła jej babcia. Wino było jedwabiste i miękkie na języku, a ogon wydawał się nie mieć końca. Był ranek, ale nie miała najmniejszego zamiaru nic wypluwać.

– Rany boskie, ależ to jest dobre. Widzę to w połączeniu z befsztykiem Chateaubriand albo filetem mignon.

– Albo dobrym soczystym stekiem australijskim? – podpowiedział kpiąco. – Tak, jestem z niego zadowolony. Zobaczmy, jak sobie poradzi w Melbourne. Jest już prawie gotowe do butelkowania.

– Czy to ta nagroda Johnny’ego Watsona, o której mówiliście z Charliem?

– Jimmy’ego Watsona – poprawił Mark. – W każdym razie lepiej już chodźmy. Przeszkodziłem ci w pracy, a sam też mam masę roboty jeszcze dzisiaj.

Rose zrozumiała, że wizyta dobiegła końca.

– Jasne. Dzięki za pokazanie wszystkiego, Mark. To fascynujące, naprawdę – powiedziała zupełnie szczerze. Naprawdę bardzo ciekawie było zobaczyć choć część tych tajemniczych zabiegów, które miały miejsce w wytwórni. Wprawdzie w ramach *Diplôme de Cuisine* uczyła się trochę o francuskich winach, a Henry zajmował się winami od bardzo dawna, ale nigdy wcześniej nie była w prawdziwej wytwórni. Dodatkowo wiedziała już, gdzie jest biuro. Najpewniej tam znajdzie to, czego potrzebował Henry – miała już wystarczająco dużo czasu, aby upewnić się, że jej szef niemal na pewno nie przechowuje żadnej dokumentacji w domu. Teraz musiała tylko wybrać odpowiednią porę.

Ach, pozostawała jeszcze sprawa zdobycia kluczy, które wisiły w małym pomieszczeniu roboczym

w winiarni. Będzie musiała czekać na okazję – Mark będzie przecież kiedyś musiał zostawić je gdzieś po zamknięciu budynku na noc.

pączkowanie

rzeczownik

pojawienie się nowych liści na roślinach,  
takich jak winorośl, na początku  
nowego sezonu wegetacyjnego

# Rozdział 8

Biegając w znikającej już porannej mgle wzdłuż głównej drogi, Rose zauważyła, że w brązowej dotychczas dolinie pojawiają się plamy jasnej zieleni, a uspięne wzgórza pokryte są roślinnością. Z powykręcanych krzewów winorośli wystrzeliły zielone pędy, a ciągnące się wzdłuż drogi krzaki pokryte były złotą siatką pąków. Powietrze nie było już tak lodowate, jak jeszcze parę tygodni temu, więc kiedy słońce pojawiło się nad odległymi wzgórzami, ściągnęła pożyczone od Astrid rękawiczki i czapkę, aby się nim napawać.

Zatrzymała się, chcąc rozejrzeć się po okolicy, i wezbrało w niej dziwne uczucie. Przez chwilę go nie rozpoznawała, ale potem zrozumiała – była szczęśliwa. Naprawdę, autentycznie szczęśliwa. Dolina Shingle zakorzeniła się w jej sercu na dobre.

*Chryste, tego mi tylko było trzeba.*



Słońce wyszło jednak tylko na krótko – przez kolejne kilka dni nad doliną wisiły grube, szare chmury. Zanosilo się na deszcz, ale w końcu z nieba nie spadła ani kropla.

Pewnego poranka Astrid zabrała Leo do szkoły, a Luisę na zabawę z koleżankami. Dom wydawał się nienaturalnie cichy. Mark pojechał do plantatora na drugi koniec doliny, Rose miała więc wreszcie okazję, aby zbadać wytwórnię. Wiedziała, że znajdzie tam Dana, ale zamierzała wziąć ze sobą świeżo upieczone ciasto marchewkowe jako wymówkę, dlaczego się tam kręci. Nadal nie dowiedziała się o sytuacji finansowej Kalkari niczego konkretnego. Dotarły do niej same pogłoski, a wiedziała, że jej brat będzie niedługo od niej oczekiwał rzetelnych informacji.

Weszła do wytwórni i zajrzała do biura, trzymając ciasto przed sobą. Dan uniósł wzrok i uśmiechnął się do niej.

– Cześć, Rose, jak leci? To dla mnie? Pewnie, że chcę, dzięki. – Jak na tak dużego mężczyznę Dan poruszał się zaskakująco zwinnie. Wstał z krzesła i przeszedł do niewielkiego blatu, w który wmontowany był zlew. – Nastawię czajnik. Napijesz się ze mną herbaty?

– Jasne, bardzo chętnie.

– Jak ci idzie tam w domu?

– Całkiem nieźle, ale teraz, kiedy już wszystko doprowadziłam do porządku, mam trochę wolnego czasu.

– Ależ fantastyczne – powiedział Dan, przeżuwając nadal ciepłe ciasto, smakując jego słodycz i oblizując pokryte lukrem wargi. – Skąd wiedziałaś, że uwielbiam słodycze?

– Zgadywałam – uśmiechnęła się ciepło Rose.

– Jeśli się nudzisz, zawsze możesz zrobić więcej takich genialnych ciast, jak to... W sumie, wiesz co, potrzebujemy tu kogoś, kto by ogarnął winiarnię. Sprzątnął ją i zaczął znowu oferować degustacje. Sądząc po tym, co jem, twoje ciasta też przyciągnęłyby ludzi. Hej, w przyszłym tygodniu będzie konkurs CWA. Moja żona zawsze zajmuje w nim wysokie miejsce, ale wydaje mi się, że mogłabyś spokojnie stawić jej czoło.

Rose spojrzała na niego z zaskoczeniem. Nie była pewna, co Mark powiedziałby na pomysł, aby to ona zajęła się winiarnią, ale im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większe widziała możliwości, jakie dałaby jej taka sytuacja. Zaangażowałaby się we wszystko w nieco większym stopniu, zamiast siedzieć cały czas w domu. Poza tym zyskałaby dostęp do kluczy.

– Ale ja się w ogóle nie znam na winie – poza tym, jak je podawać, oczywiście – powiedziała z powątpiewaniem. Nie chciała zdradzić się ze swoją wiedzą. – Nie mam pojęcia, jak opowiadać o nim, tłumaczyć, jak je zrobiono, i tak dalej.

To przynajmniej było prawdą.

– A co to w ogóle jest konkurs CWA?

– Jeśli chodzi o degustacje, mógłbym ci zrobić notatki, podszkolić w języku winiarskim, z tym nie byłoby problemu – powiedział Dan, podając jej kubek herbaty. – Doskonale byś sobie poradziła. A CWA to stowarzyszenie kobiece, Country Women’s Association. Co roku organizują konkurs ciast w Eumeralli. Dobrze byłoby, gdybyś trochę namieszała w lokalnym kotle. Część tych starych wiedźm uważa, że to one tu rządzą. – Dan zaczął się śmiać z własnego dowcipu.

– A tak, pani B coś o tym wspominała – zauważyła Rose niezobowiązująco. – Wydaje mi się jednak, że powinnam to skonsultować z Markiem. To znaczy kwestię winiarni.

– Pewnie masz rację. Nie lubi, jak ludzie mu się wtrącają do działalności albo robią coś za jego plecami. Tak naprawdę nie mieliśmy tu nikogo, kto by się zajął winiarnią – a przynajmniej nie od czasu, kiedy pani tego domu wyjechała. Przy czym ona nie miała zamiaru zniżyć się do poziomu obsługiwanie klientów. Po prostu przechadzała się tu i tam, wydając wszystkim polecenia. Była bezużyteczna jak wymiona u byka.

Kobieta zachłysnęła się herbatą. Nigdy wcześniej nie słyszała takiego porównania, ale bez wątpienia było bardzo obrazowe.

– Strasznie była nabzdyczona, wywyższała się. Jak to mówią? Snobka. Tak, właśnie. Straszna snobka. Illssabella. – Dan przeciągnął sylaby jej imienia, udając hiszpański akcent. Nagle spojrzął na Rose z poczuciem winy. – Nie powinienem tak po niej jechać, ale ona uważała, że jest od nas wszystkich lepsza. O winie wiedziała wszystko, okej, i niezła z niej była laska. Na początku wszystko było dobrze, ale wydaje mi się, że codzienność ją dobiła. Tu się nigdy nie przelewało, a wszystkie pieniądze, które zarabiamy, Mark wydaje na beczki z francuskiego dębu czy nowe sadzonki. Moim zdaniem nie byliśmy dla niej wystarczająco wyrafinowani. Co chwilę jeździła do Sydney, zostawiała maluchy same z Brendą na całe dni. – Dan potrząsnął głową ze smutkiem i pociągnął kolejny łyk herbaty.

Rose zafascynowały te nowe informacje o Isabelli, a szczególnie zaciekało ją potwierdzenie pogłosek o stanie finansowym Kalkari. Wiedziała, że Henry interesuje się tylko przedsięwzięciami na krawędzi bankructwa – mógł je wówczas wykupywać właściwie za bezcen.

– Czyli nadal nie opływacie w luksusy? – zapytała.

– No. Ten rocznik albo przyniesie nam sukces, albo nas dobije. Mark jest genialnym winiarzem, ma ogromną wiedzę i niesamowity smak, ale to, co go naprawdę wyróżnia spośród innych, to przeczucie.

– Przeczucie?

– Tak, taki instynkt do robienia wyjątkowego wina. To rzadkość. Można mieć wielką wiedzę, ale wino trzeba też mieć we krwi. Ale i to wszystko nic nie da bez dobrego rocznika – doskonałego rocznika, prawdę mówiąc – i banku, który rozumie specyfikę tego biznesu... – Dan przerwał, a potem roześmiał się głucho. – Wcale nie wymagamy dużo, nie?

Rose była zaskoczona tym, co usłyszała od Dana. Dzięki uwagom Charliego podczas Palenia Pędów domyśliła się, że nie wszystko w Kalkari idzie idealnie, ale nie spodziewała się, że jej szef ma nóż na gardle. To pewnie dlatego Henry się nim zainteresował. Nadal nie była jednak pewna, dlaczego zajmuje go wytwórnia wina na drugim końcu świata – to jednak kawał drogi od Anglii. Musiało w tym wszystkim być jeszcze coś – po co w przeciwnym razie by ją tu przysyłał? Postanowiła, że musi się tego szybko dowiedzieć.

Mimo szczerego wysiłku i początkowego nie najlepszego wrażenia od jakiegoś już czasu czuła niewielką, ale rosnącą lojalność i przywiązanie do Kalkari i doliny Shingle, a w szczególności do dzieci – były naprawdę kochane. Nawet Mark troszkę się rozchmurzył i nie denerwował się już tak bardzo, jak tuż po jej przyjeździe. Widziała też, jak ciężko pracuje i z jaką pasją podchodzi do swojej wytwórni. Rose była rozdarta między lojalnością wobec brata a coraz większą sympatią do Kalkari. Postanowiła później powiedzieć Henry’emu o swoich uczuciach wobec tego miejsca. Wiedziała jednak, że najbardziej zależy mu na suchych danych – zawsze wolał fakty i liczby od niekonkretnych emocji.



# Rozdział 9

Kilka dni później do kuchni w Kalkari wpadła pani B, zupełnie zaskakując Rose.

– Witaj, kotku. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłam. Cały czas zapominam, że już tu nie pracuję. Przyzwyczaiałam się, że sama sobie otwieram drzwi. Tak sobie pomyślałam, że wpadnę i zobaczę co u dzieciaczków. Tęsknię za nimi. A jak ty sobie radzisz? Dobrze cię traktują?

– Tak, wszystko jest w porządku, dziękuję. A jak pani się miewa? – Rose uśmiechnęła się do ciekawskiej gospodyni.

– Doskonale, kotku, doskonale. Myślisz, że mogłabym się napić herbatki? – Nie czekając na odpowiedź, staruszka zdjęła z pieca wielki czajnik i napełniła go nad zlewem. – Jak ci się podoba pomysł uczestnictwa w konkursie CWA? Bóg wie, że przydałoby się nam trochę świeżej krwi. Żona Dana mówiła, że jesteś zainteresowana.

– Nie mam pojęcia, skąd może to wiedzieć, bo nigdy jej nie poznałam, ale w porządku. O co w tym konkursie chodzi?

– Jeżeli jesteś zainteresowana, mam ze sobą kilka podstawowych przepisów i formularz zgłoszeniowy – powiedziała pani B, grzebiąc w torebce. W końcu wyciągnęła kilka pomiętych arkuszy. – O, tu są. Przepis na ciasto owocowe i ciasto drwala, jeżeli będziesz ich potrzebować, albo możesz użyć własnego przepisu. Te ciasta są niezawodne. Podrzuć je po prostu do ratusza we wtorek.

Pani B nie była osobą, której łatwo się odmawia. A Rose i tak zawsze najlepiej radziła sobie z pieczeniem. Jak trudny mógłby być wiejski konkurs? W końcu ukończyła szkołę Le Cordon Bleu! Może nauczy kobiety z doliny paru sztuczek kulinarnych.

– Och, i trzeba zapłacić wpisowe. Dolar od ciasta.

– Chyba dam radę – roześmiała się Rose. Kto wie? Może to być ciekawe doświadczenie.



Kiedy jednak w niedzielne popołudnie zabrała się do pierwszego ciasta, nie bawiła się dobrze. Zdecydowała się na przepis, który dostała od pani B. Wydawał się dość prosty, ale w rzeczywistości był tak prosty, że pomijał sporo szczegółów – np. temperaturę i czas pieczenia. Wczytując się w przepis, Rose zdała sobie sprawę, że szczegóły te bardzo by się jej przydały. Trzeba będzie improwizować.

– Oj, nie, kochanie, nie dodawaj więcej cukru, już wszystko dokładnie odmierzyłam! – Luisa wpadła do kuchni akurat w momencie, gdy Rose wazyła składniki na ciasto drwala.

*Niby dlaczego się tak nazywa? Czy jeśli je upiekę, pojawi się drwal, porwie mnie do drewni i pokaże mi swój topór?*

Wyrzała za okno, zatopiona w fantazji, w której występował silny, milczący mężczyzna w koszuli w kratkę, który miał takie sprawne dłonie...

– Luiso! – Rzeczywistość przywołała ją do porządku. – Proszę cię, kochanie, nie dotykaj. Potrzebuję tego do następnego placka – dodała z rozpaczą. Dziewczynka przyciągnęła sobie mały stołeczek do blatu i złapała paczkę z cukrem. Machała nią energicznie, rozsypując wszystko na podłogę.

*Rany boskie... gdzie jest Astrid, kiedy akurat jej potrzebuję?*

Pech chciał, że w tym właśnie momencie do kuchni wszedł Mark. Zmarszczył brwi, zaskoczony, kiedy pod stopami zazgrzytał mu rozsypany po całej podłodze cukier.

– Wszystko w porządku?

Rose odgarnęła pasmo włosów za ucho.

– Super, dzięki – odpowiedziała energicznie. – Po prostu zabieramy się do pieczenia.

– Serio? – Cameron uniósł brew.

– Tata, pieczemy! – poinformowała go Luisa z promiennym uśmiechem.

– Właśnie widzę. – Mężczyzna podszedł do Rose i musnął dłonią jej policzek. Zaskoczyła ją nieoczekiwana intymność tego gestu.

– Co...?

– Mąka – odpowiedział, pokazując jej palec wskazujący.

– A, jasne. Dzięki. – Zarumieniła się i nachyliła nad miską ze składnikami, aby ukryć twarz. W duchu przeklinała swoje czerwone policzki. Nadal czuła jego dotyk. Zaskoczyła ją własna reakcja – czy naprawdę była już tak zdesperowana, że dotyk każdego mężczyzny – był w stanie sprowadzić ją do poziomu bełkoczącej idiotki? W myślach przywołała się do porządku – to za Gilesem w końcu tęskniła. Tęskniła za opowiadaniem mu o dniu w pracy, za przytuleniem się do niego w nocy, nawet za wkurzającym sposobem, w jaki gwizdał *Moves Like Jagger*, kiedy był z czegoś zadowolony...

Potrząsnęła głową i z pewnym trudem wróciła myślami do rzeczywistości. Chociaż tyle, że Mark zostawił ją z Luisą, aby mogły dokończyć pieczenie bez dalszych przeszkód. Zanim jednak zamiotła podłogę i wytarła do czysta lepiącą się jak nieszczęście Luisę, było już późno i nie miała wystarczająco dużo składników na ciasto owocowe. Pani B będzie się musiała zadowolić ciastem drwała. Mimo dzielnych wysiłków dziewczynki i braku odpowiednio szczegółowego przepisu nie wyglądało wcale źle. Postanowiła zrobić dwie jego wersje, za drugim razem piekąc je nieco dłużej, a następnie podać to mniej udane na podwieczorek. Może i dobrze – Luisa rozpaczliwie domagała się degustacji i nawet Leo zajrzał do kuchni, skuszony wypływającym przez okno maślanym zapachem.



– Postaw je tutaj, kochana – poinstruował ją łagodny głos. – Daj mi formularz zgłoszeniowy. Pieniądze wrzuć do skarbonki. Tu masz numerek do oznaczenia patery.

Rose przyjechała do Eumeralli z ciastem balansującym niebezpiecznie na fotelu pasażera. Zajechała pod ratusz akurat w chwili, gdy kilka kobiet niosło swoje wypieki do stołu sędziowskiego. Cały ratusz pachniał smakowicie masłem, cytrynami, brandy, czekoladą i przyprawami – i z trudem ukrywanymi ambicjami.

*Chryste Panie! Konkurs Great British Bake Off nie ma do tego w ogóle startu!* Pomyślała Rose z zaskoczeniem, patrząc na równe rzędy niemal identycznych, doskonale wyrośniętych placków i wyrafinowanych ciast ozdobionych fantazyjnymi kaskadami lukru. Położyła swoje dzieło obok szeregu innych na stole z kartonowym oznaczeniem „Drwal”, przyczepiła numerki do talerza i wrzuciła dolara do skarbonki. Wychodząc, wpadła na panią B.

– Witaj, kotku, jak ci poszło?

– Całkiem nieźle, ale Luisa chciała się przyłączyć, więc efekt jest dziełem zbiorowym, jeśli pani wie, co mam na myśli – odpowiedziała Rose. Gospodyni wybuchnęła tak głośnym śmiechem, że aż brzuch jej zaczął podskakiwać.

– Macie z Astrid pełne ręce roboty, co?

– Święta prawda. Kiedy ciasta będą oceniane? – zapytała Rose z ciekawością.

– Sędzia przyjeździe z New Bridgeton – to największe miasto w regionie – i tylko prezeska CWA doliny Shingle wie, kto nim będzie. Dzięki temu nie ma potem gadania o faworyzowaniu i nikt nie może próbować przekupić sędziego.

– Naprawdę? Ktoś by tego próbował? – Rose nie wierzyła własnym uszom.

– Lepiej w to nie wątp – odpowiedziała pani B, rozglądając się podejrzliwie po sali. – Nie ufaj nikomu.

Rose nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Staruszka wyglądała jak postać z opowieści spod znaku płaszcza i szpady.

– W każdym razie ocena odbędzie się jutro. Pod koniec tygodnia jest przyjęcie ze zbieraniem funduszy na działalność stowarzyszenia – tam można skosztować wszystkich ciast i to tam będą ogłoszone wyniki.



Kiedy pod koniec tygodnia Astrid, Rose i Luisa wdrapywały się po schodach ratusza Eumeralli, usłyszały gwar pięćdziesięciu kilku kobiet, które ewidentnie wszystkie mówiły naraz. Ich głosy odbijały się echem od wysokiego sklepienia dali, co tylko potęgowało hałas.

Mimo wcześniejszej nonszalancji Rose nie mogła się doczekać informacji, jak sobie poradziła. Tego poranka zobaczyła dwie sroki skaczące przed domem i odebrała to jako dobry znak.

– Chodźcie. Luiso, znajdziemy coś do picia, dobrze? – zaproponowała Astrid, kierując dziewczynkę w stronę stołu na drugim końcu sali, za którym kilka potężnych kobiet podnosiło właśnie trzy olbrzymie emaliowane imbryki.

Rose z trudem wypatrzyła ciasta, wyłożone na stołach biegnących przez całą długość pomieszczenia. Przepchnęła się do sekcji z ciastami drwala – było ich jedenaście – i z zaskoczeniem zauważyła, że ciasto numer pięć oznaczone było niebieską rozetką. To było jej ciasto!

– Dobra robota, kotku! – Rose obróciła się i zobaczyła Betty, jedną z kucharek z Palenia Pędów. – Wygrała Merle Stubbins. Od dziewięciu lat co rok dostaje złotą rozetkę za najlepsze ciasto drwala. Ale ty zdobyłaś trzecie miejsce. Powinnaś być z siebie dumna. Niektóre z tych kobiet pieką od ponad czterdziestu lat.

Rose mogła się czuć pokonana, ale z drugiej strony musiała przyznać, że ciasta, które zajęły pierwsze

i drugie miejsce, wyglądały naprawdę imponująco.

– Całkiem nieźle, prawda? – powiedziała.

– Rose! – rozległ się głos pani B. – Tutaj jesteś, kotku! – Starsza pani przepchnęła się w jej kierunku. – I co ty na to? Trzecie miejsce w twoim pierwszym konkursie. To doskonały wynik. Pokonałaś nawet Maggie, a ona nie będzie z tego zadowolona.

– Maggie?

– Żonę Dana.

– Oj... – Rose nie była do końca przekonana, czy to dobrze, ale w głębi duszy cieszyła się na wygraną w konkursie. Jednak było coś, co jej wychodziło w życiu.



Po południu, kiedy Rose na życzenie Leo przygotowywała zapiekankę pasterską na obiad, rozkładając tłuczone ziemniaki na warstwie mielonego mięsa, w kuchni pojawił się Mark.

– O, cześć – powiedziała, nieco zbita z tropu jego nagłym wejściem. *Do diabła ciężkiego, przestań się zachowywać jak pensjonarka*, przywołała się do porządku. Cameron nadal ją nieco onieśmiał i nie mogła go do końca rozgryźć. Raz był chłodny i zamyślony, innym razem przyjazny. Nigdy nie wiedziała, czego się spodziewać. – Wiesz co?

– Co? – Ton Marka był tak szorstki, że Rose z trudem zmusiła się, aby kontynuować.

– To ciasto, które zrobiliśmy z Luisą, zdobyło trzecie miejsce na konkursie CWA w Eumeralli. Zobacz – wskazała palcem na rozetkę, którą przyczepiła do lodówki. – I dostałyśmy 20 dolarów nagrody! – dodała, nie mogąc ukryć dumy w głosie.

– Nooo, to nasze kochane staruszki będą miały o czym rozmawiać – odpowiedział jej szef sucho.

Jego reakcja trochę ją rozczarowała. Mógł jej przynajmniej pogratulować.

– Rose, zastanawiałem się, czy mogłabyś przygotować jakieś jedzenie dla kilku gości, którzy przyjadą w środę. Będzie paru dużych dystrybutorów krajowych i z Wielkiej Brytanii, a dodatkowo kupiec z sekcji wina Channings, to jedna z największych sieci supermarketów – słyszałaś o niej, prawda? W każdym razie przyjeżdżają, żeby zapoznać się z naszym chardonnayem i cab shiraz. Moglibyśmy im też podać lunch. – Mark starał się brzmieć nonszalancko, ale Rose dowiedziała się już wystarczająco dużo od czasu przyjazdu do Kalkari, aby zdać sobie sprawę, że ta wizyta jest dla niego bardzo ważna. Jej pierwszą reakcją było przekonanie, że nie da sobie rady. Już od bardzo dawna nie gotowała nic poza podstawowymi daniami.

– Nie ma sprawy – usłyszała własny głos. – Czy myślałeś o czymś konkretnym?

– Nie. Musi to być coś prostego. Pożywnego. Nic wydumanego, po prostu dobre wiejskie jedzenie. Biorąc pod uwagę twoje umiejętności kulinarne, jestem przekonany, że doskonale dasz sobie radę. Będzie nas ośmioro. Powiem Danowi, żeby podrzucił ci wino, żebyś mogła go skosztować i stwierdzić, co będzie do niego pasowało.

Rose poczuła ogromną radość. Mark pokładał w niej duże zaufanie i nie chciała go zawieść. Kiedy wyszedł z kuchni, sięgnęła po pomięty egzemplarz magazynu kulinarnego „Gourmet Traveller”, który leżał na kredensie, ale było to wydanie letnie, a więc mało pomocne. *Hmmmm*. W myśli przebiegła

przepisy klasycznych francuskich dań, które nauczyła się robić w Le Cordon Bleu. Nic wydumanego. Coś pożywnego. W takim razie większość z nich odpadała. Trzeba będzie pojechać do Eumeralli po zakupy. Powiedział, że to będzie w środę. Aktualnie był czwartek, co dawało jej mniej niż tydzień.

Tego wieczora zasypiała z wirującymi w głowie pomysłami, ale także z uczuciem frustracji, że dostępne zasoby przepisów ograniczone są do kilku wytłuszczonych tomiszczy, które wykopała w odmętach kuchennych szafek, a które wydano przynajmniej w poprzednim stuleciu. Co też, do diabła, miała ugotować?

# Rozdział 10

– Jasna cholera! – mruknęła Rose pod nosem, po raz setny tego dnia podciągając spodnie.

Właśnie skończyła ścielić łóżka dzieciaków i wyciągnęła antyczny odkurzacz na przejażdżkę, chociaż miała poważne podejrzenia, że po prostu przemieszcza on kurz z miejsca na miejsce, zamiast go zasysać. Co chwilę jednak musiała stawać i podciągać dzinsy. Strasznie ją to denerwowało. Cały czas zsuwały jej się do połowy bioder, pięknie podkreślając nagie pośladki. Dieta Rose składała się teraz głównie z owoców i świeżych warzyw, a w znacznie mniejszym stopniu z jedzonych o północy drożdżówek i surowego ciasta. Dodatkowo wychodziła pobiegać niemal każdego ranka, przez co jedyne spodnie, jakie miała, były dla niej za duże. Pasek zapinała na najdalsza już dziurkę i postanowiła wybić w nim kilka dodatkowych otworów. Z tą myślą ruszyła na poszukiwanie Astrid. Może miałyby ochotę wybrać się na zakupy?

Astrid i Luisę znalazła w małym saloniku. Dziewczynka wysypała właśnie zawartość pudła z zabawkami na podłogę – siedziała teraz jak mały, ciemnowłosy cherubinek, grzebiąc w stosie i podśpiewując sobie cicho pod nosem.

– Co tam, dziewczęta? – zapytała Rose.

Astrid nie wyglądała dobrze. Była blada i wyglądała zaskakująco wątko.

– Porządkujemy zabawki. Albo przynajmniej to właśnie próbowałam zrobić. – Niania wywróciła oczami i uśmiechnęła się blado do Rose.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz jakoś niewyraźnie.

– Tak, tylko trochę mi niedobrze. Musiałam coś zjeść.

– Mam nadzieję, że to nie coś, co ja zrobiłam? – zaniepokoiła się Rose.

– Nie, nie, wszyscy pozostali czują się dobrze. Może to coś, co zjadłam wczoraj na lunch w mieście, albo może infekcja – zapewniła ją Astrid.

– To nie brzmi dobrze. Biedactwo. Chciałam cię zapytać, czy miałabyś ochotę wybrać się na terapię zakupową, ale jeśli nie czujesz się dobrze, to pójdziemy innym razem. Ja w każdym razie muszę kupić sobie nowe spodnie – powiedziała Rose, odciągając pasek dzinsów od niemal zupełnie już płaskiego brzucha.

– Faktycznie wyglądasz nieco inaczej niż w dniu przyjazdu – zauważyła dziewczyna. – Mniej galaretki – roześmiała się.

– Dzięki – odpowiedziała Rose, nawet niespecjalnie urażona. – W każdym razie te spodnie ciągle mi spadają.

– Dobrze ci. Twoje gotowanie ma na mnie dokładnie przeciwny skutek. Z trudem dopinam spodnie. – Astrid skrzywiła się i zbladła jeszcze bardziej.

– Jeśli źle się czujesz, może pójdziesz na górę i się położysz? Już i tak niemal pora na drzemkę Luisy, prawda?

– Byłoby super, gdybyś ją mogła położyć. Tu masz dla niej mleko. Lubi, żeby jej pośpiewać.

Dziewczyna ostrożnie ruszyła w górę schodów. Rose wzięła mleko, po czym schyliła się i podniosła Luisę.

– Chodź, koteczku, pójdziemy do łóżeczka, żebyś się wyspała, dobrze?

Dwulatka przytuliła się do Rose i wtuliła nos w jej ramię. Kobieta wciągnęła do płuc słodki zapach dziecka, zachwycając się jej gładką skórą, miękkimi pyzatymi policzkami i jedwabistymi włosami. Nie mogła sobie przypomnieć żadnych piosenek z dzieciństwa i z trudem udało jej się wydusić z siebie bardzo niemelodyjną wersję *Aaa, kotki dwa*. Zdecydowanie nie potrafiła śpiewać, ale Luisa wydawała się zadowolona – wypila mleko, po czym przymknęła oczy. Rose pocałowała ją delikatnie w policzek, zamknęła cicho drzwi i na palcach poszła wzdłuż korytarza, żeby zobaczyć, jak się ma Astrid.

– Wszystko w porządku? Przynieść ci coś? – zapytała, pukając do drzwi. Wydawało jej się, że usłyszała szloch, więc niepewnie nacisnęła klamkę. Na podłodze leżała chyba jeszcze większa sterta ubrań, gazet i kosmetyków, niż za pierwszym razem. Dziewczyna leżała na łóżku, zwinięta w kulkę.

– Co się dzieje?

– Och, Rose, co ja zrobiłam? – jęknęła zrozpaczona Astrid. – Nie możesz nikomu powiedzieć. Przysięgnij, że nie powiesz.

– Przysięgam – powiedziała Rose poważnie, zastanawiając się, co też mogło się wydarzyć.

– Chyba jestem w ciąży – wyszeptła Astrid.

– O. – Rose nie była w stanie powiedzieć niczego innego. – Naprawdę? Jesteś pewna?

– Okres mi się spóźnia już tydzień, cały czas jest mi niedobrze, a te tu są twarde jak skała. – Astrid wskazała na swoje piersi.

– Powiedziałaś Thommo?

– Niiieeee – załkała Astrid. – Nie mogę! – rozplakała się jeszcze bardziej.

– Dlaczego nie? Myślałam, że ty i Thommo...

– Nie, to był tylko taki szalony moment, tamten wieczór po pubie... To nic nie znaczyło. Takie romansidło... tak się mówi? I co ja teraz zrobię? *Gott im Himmel*, ależ ze mnie idiotka!

Rose przysiadła koło niej na łóżku. Nie wiedziała, co powiedzieć, do głowy nie przychodziły jej żadne dobre rady, więc tylko głaskała dziewczynę po ręce, bezskutecznie próbując ją pocieszyć. Czy ona nigdy nie słyszała o antykoncepcji?

– Może przede wszystkim powinnaś zrobić test ciążowy, żeby się upewnić? – zasugerowała łagodnie.

– Jadę jutro do New Bridgeton po spodnie. Może ci kupię test?

– Ja – odpowiedziała Astrid przez łzy. – Dziękuję. To pewnie dobry pomysł. Ale nie mów o tym nikomu, dobrze?

– Oczywiście.

Astrid popatrzyła na nią niepewnie.

– Przysięgam na grób babci, dobra? Nikomu nie powiem.

– Dzięki, Rose. Ponownie.

## Rozdział II

Następnego ranka Rose zostawiła źle wyglądającą Astrid, aby przygotowała Leo do szkoły, a Luisę na cotygodniowe spotkanie z innymi dziećmi na placu zabaw, i wyruszyła do centrum handlowego w New Bridgeton. Według Astrid znajdował się tam przynajmniej jeden sklep z dżinsami, a także kilka sieciówek i butików. Jadąc wzdłuż zielonych już krzewów winorośli, pokrywających karnymi rzędami niemal każdy metr kwadratowy doliny, nie mogła powstrzymać się od porównywania tego widoku z ponurym krajobrazem, który zobaczyła w dniu przyjazdu. Teraz było tu naprawdę niesamowicie pięknie. Niepostrzeżenie, jak pędy winorośli owijające się wokół podtrzymujących je drutów, dolina Shingle zaczęła wkradać się do jej serca.

Nie mogła też przestać zastanawiać się nad trudną sytuacją, w jakiej znalazła się Astrid. Życie uczuciowe Rose było dalekie od ideału – a w zasadzie nie istniało – ale aż tak źle nie było. Jeżeli Astrid faktycznie spodziewała się dziecka, to jaką podejmie decyzję? Czy zdecyduje się donosić ciążę? W każdym razie czekała ją trudna przeprawa, co do tego nie było wątpliwości.



Rose dotarła na przedmieście New Bridgeton i zaczęła się kierować drogowskazami na centrum miasta. Zaparkowała samochód przy centrum handlowym, wyskoczyła i zaczęła obchodzić sklepy. Pierwszy zauważyła sklep Jean Jeanious, na samym środku galerii. Nie była pewna, jak australijska rozmiarówka ma się do brytyjskiej, więc wzięła do przymierzalni po kilka rozmiarów z każdego modelu. W szopie w Kalkari nie było lustra, w którym mogłaby się przejrzeć, więc już od ładnych paru miesięcy nie widziała się w całej okazałości.

Pierwsza para była szokiem. Spodnie odstawały jej w talii, a na pośladkach wisały jak worek. Ściągnęła je i założyła inne, znacznie mniejsze. Te przylegały idealnie do każdego centymetra jej ud i pośladków. Odwróciła się, żeby zobaczyć, jak leżą z tyłu.

*Kurczę blade! Czy to naprawdę ja?*

Był to jeden z niewielu momentów w życiu, kiedy Rose była zachwycona tym, co zobaczyła w lustrze. Zwykle, kiedy miała dobry dzień, mogła sobie wyobrazić, że przypomina Anne Hathaway. Kiedy miała zły dzień – a tych nie brakowało, zwłaszcza ostatnio – czuła się raczej jak Kirstie Alley przed przejściem na dietę Jenny Craig. Dziś, jak się wydawało, miała bardzo dobry dzień. Po zaokrąglonym brzuchu i wałeczkach na bokach nie było ani śladu, a nogi miała szczupłe i umięśnione.

Mniejszy zachwyty wzbudził w niej widok potarganej szopy ciemnych włosów, które aż prosiły się o fryzjera. Z drugiej jednak strony błyszczące oczy i świetlista skóra były najlepszym dowodem jej stanu



ducha. Nie mogła oderwać oczu od swojego odbicia. Gdyby tylko Giles mógł ją teraz zobaczyć – mogła się założyć o sto funtów, że by jej nie rozpoznał. Jasna cholera, sama siebie ledwo poznawała.

Moment samozachwyty przerwała jej dziewczyna z obsługi, która wsadziła głowę do przebieralni z pytaniem, czy nie potrzeba jej pomocy. Rose oddała jej dzinsy w zdecydowanie za dużych rozmiarach i naciągnęła swoje stare, workowate spodnie. Zmierzyła przy okazji kilka koszulek przylegających do ciała tam, gdzie należało, i krótkie spodenki. One też jej się przydadzą. Poranki i wieczory były jeszcze chłodne, ale w ciągu dnia na zewnątrz zaczęło się robić cudownie ciepło.

Ponieważ prawie cały czas spędzała w Kalkari, nie miała do tej pory na co wydawać pieniędzy. Stąd też zupełnie bezboleśnie podała kasjerce kilka banknotów pięćdziesięciodolarowych. Z torbami w ręce wyszła ze sklepu sprężystym krokiem i rozejrzała się za kolejnymi sklepami.

Niecałą godzinę później mogła pochwalić się jeszcze szalem, nowymi spodniami do biegania i parą delikatnych srebrnych kolczyków z turkusami. Usiadła w przy stoliku z filiżanką kawy i przeglądała swoje zakupowe zdobycze. Cieszyła się z udanych łowów. Gdzie podziała się smutna, zapuszczona kucharka? Koniec końców była wdzięczna Henry’emu, że zmusił ją do wylotu do Australii. Powinna mu się odwdziżyć, przekazując wszystkie informacje na temat Kalkari, jakie udało jej się zdobyć, ale to oznaczało zdradę Marka i dzieciaków. Była zupełnie rozdarta. Wiedziała, że nie może zostać w Kalkari na zawsze, ale jak na razie cieszyła się życiem w tym miejscu i wiedziała, że Kalkari ma na nią zbawienny wpływ.

*Dość ciężłego zamartwiania się.*



Po powrocie do Kalkari Rose porzuciła torby z nowymi ubraniami na łóżku w szopie i z kupionymi w mieście testami ciężowymi popędziła do domu w poszukiwaniu Astrid. Na zakręcie ścieżki wpadła całym rozpędem na Marka, a on musiał ją podtrzymać, żeby się nie przewróciła. Z tego wszystkiego upuściła testy i próbowała je szybko podnieść, nim on je zobaczy, ale Cameron okazał się od niej szybszy i schylił się pierwszy.

– Uważaj, Rose. Proszę. – Podał jej pakunek. Bogu dzięki, że testy były zawinięte w torebkę papierową. Zdenerwowana wymamrotała podziękowanie i pobiegła dalej, szukając Astrid.

– Uff, tu jesteście – powiedziała, kiedy znalazła dziewczynę na tylnej werandzie, gdzie bawiła się z Luisą i Leo. Dzieci próbowały nauczyć Barnsie’ego nowej sztuczki, a kury utrzymywały bezpieczny dystans od szczekającego szczeniaka. – Nie byłam pewna, który będzie najlepszy, więc kupiłam ci trzy różne. Właśnie wpadłam na szefa, więc dobrze, że w aptecce mi je zapakowali – podała Astrid torbę.

– Bardzo ci dziękuję. Czuję się trochę lepiej. Myślę, że co by to nie było, to już przechodzi – odpowiedziała Astrid, spojrzała na dzieci i rzuciła Rose ostrzegawcze spojrzenie, żeby nic więcej przy nich nie mówić.

– Dobra, to kto pomoże mi zdjąć pranie? – zapytała Rose, patrząc na ciemne chmury na horyzoncie. Przeniosła znacząco wzrok na Leo i Luisę, po czym pomaszerowała do uginającego się pod ciężarem ubrań sznura.

– Nie ja – odpowiedział Leo. – Ja trenuję Barnsie’ego.

– I doskonale ci idzie, dziś rano oszczeniwał dom tylko dziesięć minut – powiedziała. – A ty, Luiso?

– Ja ci pomagam, Losie – odpowiedziała dziewczynka.

– Dziękuję, kochanie.

Zacząła ściągać ze sznura sztywne, suche ubrania. Strzepywała je i składała szybko, po czym wkładała je do kosza, skąd następnie wyjmowała je Luisa i próbowała złożyć ponownie. Rose nadal miała na sobie swoje stare dżinsy i kiedy sięgnęła do najdalszego sznura, żeby zdjąć wielkie prześcieradło, poczuła, jak spodnie zsuwają jej się z pośladków.

*Szlag by trafił!*

Spojrzała w dół i zobaczyła spodnie zwinięte wokół kolan. Leo zanosił się ze śmiechu.

– Rose, twoje spodnie! – wykrzyknął, zginając się w pół.

– Losie ma łózowe majty! – dodała Luisa, chichocząc radośnie.

– Ha ha ha, bardzo zabawne, co? – Rose podciągnęła workowate dżinsy do góry. – Dobra, koniec przedstawienia. Nic więcej nie zobaczycie.

– Wracajmy do domu – poparła ją Astrid, choć wcześniej śmiała się z nieszczęścia Rose razem z dziećmi. Obie spojrzały na ciemniejące szybko niebo.

– Tak, lada chwila lunie jak z cebra – zauważyła Rose.

I faktycznie, padało przez resztę dnia i przez cały kolejny dzień. Łało straszliwie, jakby ktoś nad doliną odwrócił do góry nogami wiadro z wodą. Kury siedziały ponuro w kurniku, hulajnoga Leo i rowerek Luisy leżały porzucone na tylnej werandzie, a na podjeździe tworzyły się wielkie kałuże, które z czasem połączyły się w jezioro.

We wtorek Leo miał dzień wolny w szkole, a dodatkowo był to dzień wolny Astrid. Rose musiała więc nie tylko zaplanować menu na nadchodzący lunch dla VIP-ów, lecz także zająć się dwójką rozbrykanych dzieci i jednym nadaktywnym szczeniakiem. Zacząła od zabawy w chowanego, ale chichot Luisy błyskawicznie zdradzał jej pozycję, a z drugiej strony Leo chował się tak dobrze, że znalezienie go zajmowało mnóstwo czasu. Cierpliwość Rose była na wyczerpaniu. Po lunchu deszcz trochę osłabł. Znalazła dzieciom peleryny i kalosze – „gumiaki”, jak poprawił ją Leo – i ubrała je na spacer. Barnsie z radością wkładał nos do błotnistej wody, pił z kałuż i truchtał tu i tam, a w końcu wskoczył do kałuży tak wielkiej, że mógł w niej pływać. Kiedy wrócili do domu, był cały pokryty błotem.

– Chyba trzeba go wykąpać, nie sądzicie? – powiedziała Rose.

– Oooo, możemy ci pomóc? – zapytał Leo.

– Jasne!

Kobieta podniosła szczeniaka do góry, żeby nie zabłócił całego korytarza, po czym wraz z dziećmi ruszyła na górę do łazienki. Tam napuściła do wanny dużo ciepłej wody i wsadziła do niej Barnsie'ego. Cała trójka nie mogła się powstrzymać od śmiechu, gdy szczeniak szczekał i warczał na wodę, próbując pływać. Następnie starą szczotką do włosów wyczesali go do czysta, sami brudząc się przy tym od stóp do głów. Po opłukaniu i szybkim wytarciu Barnsie był czysty i stosunkowo suchy, ale dzieci były bardziej mokre, niż podczas spaceru, i im także przydałaby się kąpiel. *To też dobry sposób, żeby zabić czas*, pomyślała Rose.

Skończyła kąpać dzieci, przebrała je w piżamki i właśnie posadziła całą trójkę przed telewizorem, i włączyła im „Krainę lodu”, kiedy do pokoju wszedł Mark.

– Tatuś, a wiesz co! Losie ma łóżkowe majty – oznajmiła Luisa. Leo spojrział na nią i się roześmiał, nie przejmując się wcale surowym spojrzeniem, jakie rzuciła mu Rose.

– Naprawdę? – odpowiedział Cameron, patrząc na Rose pytająco. Nie miała zamiaru nawet próbować tego wyjaśnić, więc wycofała się do kuchni, żeby przygotować obiad.

Grzebała akurat w spizarni, kiedy usłyszała, jak woła ją Luisa. Odłożyła trzymaną w ręku paczkę z ryżem i ruszyła do saloniku. Leo i Barnsie leżeli przytuleni na kanapie, a szczeniak opierał mordkę na nogach chłopca. Na podłodze koło nich siedziała na poduszce Luisa, opierając się o tatę. Rose pomyślała, że wzruszająco tak razem wyglądają.

– Losie! Losieeee! – wołała Luisa.

– Co tam, Lulu?

– Kocham cię, Losie – powiedziała Luisa, podnosząc na nią oczy. – Nie idź sobie.

Patrząc na ciemne oczy i poważny wyraz twarzy dziewczynki, Rose poczuła, jak wyrzuty sumienia skręcają jej żołądek. Przełknęła ślinę.

– Och, słoneczko. Ja też cię kocham. Nic się nie martw, nigdzie sobie nie idę. Jestem cały czas w kuchni.

Uspokojona Luisa odwróciła się z powrotem do ekranu. Elsa właśnie zaczęła śpiewać *Let it Go*, a Barnsie radośnie przyłączył się do niej, wyjąc wniebogłosy.

## Rozdział 12

W dniu lunchu dla VIP-ów poranek był jasny i chłodny, a wiosenny wiatr szumiał w eukaliptusach, potrząsając ich oliwkowozielonymi liśćmi jak sałatą. Szybka przebieżka po winnicach pomogła Rose się zbudzić. Zauważyła, że na krzewach zaczynają rozwijać się blade i lśniące liście, a także wijące się pędy.

W ciągu minionych dni przeglądała lśniące magazyny kulinarne w Świętym Ziarnie, a Bevan pożyczył jej książkę autorstwa Maggie Beer. To dzięki rozmowie z Bevanem Rose w końcu zrozumiała imiona nadane kurom – oczywiście wiedziała, skąd się wzięła Nigella, ale nigdy wcześniej nie słyszała o Stephanie Alexander czy Maggie Beer. W nadawaniu kurom imion musiała mieć swój udział pani B. Bevan zapewnił Rose, że Maggie i Stephanie to członkinie australijskiej elity kucharskiej, a przy tym mistrzynie dobrego, prostego jedzenia. Dokładnie tak, jak zażyczył sobie Mark. Na targu w miniony weekend Rose dostała młody bób i planowała podać go w sałatce z podpieczonymi plastrami prosciutto i świeżym twarogiem – ich słony, kremowy smak będzie doskonale kontrastował z albarino i chardonnay. Następnie chciała podać domowe ravioli faszerowane pieczonym mięsem z policzków wołowych i grzybami w sosie winnym, do których podane zostaną czerwone wina z Kalkari. Na deser miała być tarta z kremem i pomarańczami.

Nadzienie do ravioli przygotowała już poprzedniego dnia, a tarta stygła na kuchennym blacie. Do zrobienia zostały tylko ravioli (Rose w duchu pobłogosławiła panią B, która podrzuciła jej maszynę do robienia domowych ravioli, teraz już mocno przykręconą do blatu) i sałatka. Księżyc był w sekstylu do Wenus, Rose obróciła się siedem razy w lewą stronę przed rozpoczęciem gotowania, a dodatkowo założyła dziś szczęśliwą bieliznę. Nie miała zamiaru zostawiać niczego losowi.

Astrid zabrała Luisę z domu, a Leo był w szkole, nic więc jej nie rozpraszało. Prawdę mówiąc, była przekonana, że Astrid unika jej od momentu przekazania testów ciążowych, a Rose nie miała okazji zapytać jej o wynik – zawsze gdzieś w pobliżu były dzieci. Przypuszczała, że mógł to być fałszywy alarm – dziewczyna wyglądała nieco lepiej niż ostatnio. W każdym razie nie miała teraz czasu się tym przejmować – czekało na nią sporo pracy.

Kilka dni wcześniej Rose namówiła Marka, aby dał jej klucz do winiarni, po czym odkurzyła i wypolerowała wszystko w środku do połysku. Kieliszki lśniły we wpadających przez okna promieniach słońca. Obok sali degustacyjnej odkryła w winiarni duże pomieszczenie jadalne, a w nim potężny stół i wyściełane krzesła. Przekopała się przez komodę z bielizną stołową i nakryła stół wykrochmalonym białym adamaszkowym obrusem, a na środku ustawiła małe szklane wazoniki z wiosennymi kwiatami. Dan podpowiedział jej, ile kieliszków będzie potrzebnych i w jakiej kolejności ustawić je przy każdym nakryciu. Właśnie sprawdzała, czy wszystko gra, kiedy do jadalni wszedł Mark.

– O, Rose, tu jesteś. Hej, to wygląda wspaniale! – Rozejrzał się po pokoju. Niósł w rękach karton z winami, które przyniósł z wytwórni, i zaczął ustawiać je na stoliku pod ścianą. Białe wina wkładał do dużego cynowego pojemnika, który Rose napełniła już lodem.

– Z mojej strony wszystko jest pod kontrolą – powiedziała, chcąc go uspokoić. Z rozmowy z Danem wywnioskowała, ile ta wizyta znaczyła dla jej szefa.. Dan brzmiał tak, jakby zależała od niej cała przyszłość Kalkari. – Może lepiej wrócisz do domu i zmienisz koszulę, hm? – Nie chciała nim komenderować, ale wydawał się zupełnie zdekoncentrowany.

Cameron rzucił okiem na swój znoszony sweter i zabłocone dżinsy, które zwykle nosił w wytwórni, a potem spojrzął na zegarek.

– Tak. Dobrze. Jasne. Dobry pomysł – powiedział, zupełnie rozkojarzony. – Mam coś dla ciebie. Poczekaj tu chwilę.

Zaskoczona Rose kiwnęła głową, a Mark pobiegł z powrotem do wytwórni.

– Wydaje mi się, że powinno na ciebie pasować – powiedział, wpadając z powrotem przez drzwi. W ręce niósł granatową koszulkę polo z logo Kalkari na kieszonce. – Należysz teraz do zespołu – dodał, wręczając ją Rose. Poczula straszne wyrzuty sumienia. Nie powiedziała by, że należy do zespołu, gdyby znał prawdziwą przyczynę, dla której tu była.



Wychodząc z winiarni, wpadła na Dana, który także wyglądał na bardzo niespokojnego.

– Wszystko sprząnięte – powiedział. – Straszna orka, ale nic więcej nie da się zrobić. Możemy przyjmować rodzinę królewską, mówię ci.

Rozglądając się, Rose zauważyła, że trawa jest świeżo ścięta, a zwykle nierówne krawędzie trawników zostały precyzyjnie przycięte. Żwirowy podjazd także był uporządkowany.

– Wygląda świetnie, Dan. Poza tym przyjeżdżają tu przecież po wino, a sam wiesz, że wino jest dobre.

– Trochę się martwię o albarino. Dopiero je zabutelkowaliśmy i jest trochę płaskie.

Kobieta spojrzała na niego zdziwiona.

– Szok butelkowy. Butelkowanie to dla winiarza jeden z najbardziej stresujących dni w ciągu roku.

Wino to temperamentny napój – wyjaśnił Dan. – Trzeba się z nim ostrożnie obchodzić, a ono nie zawsze lubi proces przelewania do butelek. Uspokojenie się zajmuje mu trochę czasu. Jak kobiecie – ryknął śmiechem z własnego dowcipu i poszedł do wytwórni.

Jakąś godzinę później ravioli były już napełnione, a sałatka czekała na połączenie wszystkich składników. Rose wyjrzała przez okno i zauważyła chmurę kurzu na drodze prowadzącej do Kalkari. Biały minivan zmierzał długą boczną drogą do winiarni. Żołądek ścisnął jej się ze zdenerwowania – nie z powodu lunchu, co do którego była pewna, że się uda, skoro miała wszystko pod kontrolą, ale raczej na myśl o tym, czy gościom spodoba się Kalkari. To był dla winnicy bardzo ważny dzień. Dlaczego jednak ona sama tak przejmowała się efektami wizyty? Musiała sobie cały czas przypominać, że jej pobyt tutaj jest tymczasowy i że nie powinna tak się angażować. W końcu przyjechała tu tylko dlatego, że Henry na to naciskał.

Zamyśliła się, wspominając ostatni raz, kiedy gotowała ravioli. Giles powiedział, że była to jedna

z najsmaczniejszych potraw, jakie kiedykolwiek jadł. Serce się jej ścisnęło. Mimo wszystko cały czas za nim tęskniła. Nadał łudziła się, że on jednak zmieni zdanie i zda sobie sprawę, że nie może bez niej żyć.

Z zamyślenia wyrwał ją charakterystyczny zapach spalenizny. *Szlag by trafił!* Z pieca wydobywał się gęsty dym. Nie zastanawiając się, złapała rękawice, wyciągnęła blachę z piekarnika i wybiegła z nią przez drzwi frontowe, trzymając ją wysoko i dmuchając bezskutecznie na migoczące płomyki.

Oczywiście Mark musiał wybrać sobie ten właśnie moment, aby nadejść od strony winiarni.

– Nic się nie dzieje – wydukała purpurowa ze wstydu. – Naprawdę. Wszystko. Jest. Pod. Kontrolą. – Rozpaczliwie próbowała schować tacę za plecami.

– Rose, dlaczego zza twoich pleców wydobywa się dym?

– To element procesu kulinarnego – powiedziała pogodnie. – Wędzę, hmmm, prosciutto.

– Naprawdę? – zapytał Mark z powątpiewaniem.

– O tak, wszystko w porządku. Serio. – Przynajmniej płomienie już zgasły. – Lepiej będę działać dalej. Do zobaczenia. – Uciekła do kuchni, trzymając tacę jak trofeum. Chociaż tyle, że w lodówce było jeszcze trochę prosciutto.

– Skup się na robocie, Rose – przywołała się do porządku, układając ostrożnie pozostałe plasterki na czystej blasze.



Cameron poprosił, aby podała lunch dokładnie o pierwszej, więc za dziesięć pierwsza zaniosiła sałatkę do winiarni, zamierzając nałożyć ją na talerze przy jednym z bocznych stolików. Goście byli już w jadalni – stali w jednym końcu pomieszczenia, trzymając kieliszki za nóżki. Nie zwrócili uwagi na Rose, ale Mark ją zauważył i zaproponował, aby usiąść do stołu, podczas gdy ona układała sałatę na talerzach.

Jadalnia rozbrzmiewała gwarem rozmów, a atmosfera wydawała się przyjazna – przynajmniej na tyle, na ile Rose mogła to ocenić. Wśród gości było pięciu mężczyzn. Dwóch z nich przyszło w garniturach, a pozostali trzej mieli na sobie dżinsy, marynarki i koszule bez krawata. Oprócz nich była jeszcze kobieta w tweedowej garsonce w wyrazistą kratę, jedwabnej bluzce koszulowej z wyłożonym na zewnątrz kołnierzykiem i z ciężkim sznurem pereł na szyi. Z jej akcentu Rose wywnioskowała, że to właśnie ona jest kupcem z ramienia Channings.

Popędziła z powrotem do kuchni, aby podgrzać ravioli i sos. Uznała, że winiarnia jest na tyle blisko, że uda jej się nałożyć wszystko na talerze w kuchni, a potem je szybko przenieść. Po drodze jednak potknęła się, wyróciła i upuściła dwa z trzech niesionych talerzy na ziemię.

*Cholera jasna.* Jak, do diabła ciężkiego, mogła być tak niezdarna? Była na siebie wściekła. Czy uda jej się schrzanić coś jeszcze?

Wstała, pozbierała brudne ravioli z powrotem na talerze i pokuśtykała do kuchni. Jedno było jasne – absolutnie nie nadawała się na kelnerkę.

Na blacie w kuchni było jeszcze mnóstwo ravioli, ale sos się już skończył, a ona nałożyła już wszystkie pozostałe porcje na talerze. Próbuąc nie wpaść w panikę, usłyszała głos swojego nauczyciela z Le Cordon Bleu, Guillaume'a Chapeau (którego przezywali Durnym Kapelusznikiem), kiedy ją rugał.

„Rose, *c'est incroyable*, naprawdę potrafisz zrobić to lepiej”, mówił, wyginając z obrzydzeniem kąciuki ust w dół. „Użyj wyobraźni, eh?”.

Wyobraźnia... pognała do spiżarni i wyciągnęła puszkę pomidorów, otworzyła ją, wyrzuciła zawartość do miski i wstawiła ją do mikrofalówki. Kiedy pomidory się zagrzały, wyłożyła je na dwa świeże talerze z ravioli i poszła – tym razem bardzo ostrożnie – z powrotem do winiarni.

– Macie alergię – wymamrotała cicho, stawiając talerze z pokrytymi pomidorami ravioli przed Markiem i Danem. Cameron uniósł brew, wpatrując się w swój talerz, ale niczego nie skomentował. Rose odetchnęła z ulgą. Może jednak wszystko się uda. Uciekła z jadalni, nim ktokolwiek zdążył ją o cokolwiek zapytać.



Kiedy później wróciła do winiarni z tartą pomarańczową z kremem, z zadowoleniem stwierdziła, że wszystko zniknęło z talerzy. Poziom hałas w pomieszczeniu także wzrósł, a na bocznym barku stały rzędem puste butelki po winie. Kilku mężczyzn pogratulowało Rose doskonałego lunchu, a jeden z nich mrugnął do niej z uznaniem. Mark uśmiechnął się nieznacznie, niczego nie zdradzając. Sprzątnęła ze stołu, podała tartę, po czym wróciła do kuchni i zmywania, pamiętając, aby zostawić paczki ładnie zapakowanych domowych pierniczków dla każdego z gości wraz z broszurami degustacyjnymi, które przygotował Dan, na ławce przy wejściu do winiarni.

Godzinę później zobaczyła, że samochód z gośćmi wreszcie oddala się w kierunku doliny. Poszła do winiarni, aby sprzątnąć kieliszki i uporządkować jadalnię. Nie było ani śladu Marka, ani Dana. Jak się udała wizyta? Rose wbrew sobie miała nadzieję, że wszystko poszło dobrze.

# Rozdział 13

Po nakarmieniu dzieci pozostałymi z lunchu ravioli z sosem pomidorowym i sprzątnięciu kuchni Rose uciekła do szopy i opadła na kanapę z dwiema grzankami z serem. Była zmęczona po całym dniu pracy i czuła się zupełnie wykończona. Miło by było omówić efekty dzisiejszej wizyty chociaż z Danem. Miała nadzieję, że nikt nie zauważył cudem unikniętej katastrofy z daniem głównym. Astrid wprawdzie pytała, jak poszło, ale była zbyt zajęta pilnowaniem, aby Luisa zjadła obiad i nie rozrzuciła jedzenia po podłodze, aby móc wysłuchać pełnej relacji.

Rose nie miała apetytu, ale ciepły roztopiony ser ma zawsze kojący wpływ na stan ducha. Właśnie miała ugryźć grzankę, kiedy usłyszała stukanie do drzwi. Na zewnątrz Mark opierał się o framugę z butelką i dwoma kieliszkami w ręku.

– Nie miałem okazji podziękować ci za lunch – powiedział, chwiejąc się lekko.

– Nie ma sprawy, wchodź. – Rose czuła się nieco nieswojo, zapraszając szefa do jego własnej szopy, ale zrobiła krok w tył i kiwnęła zachęcająco.

– Pomyślałem sobie, że przyda ci się kieliszczyk. – Podniósł do góry butelkę czerwonego wina. – Tak na marginesie, lunch był doskonały, naprawdę doskonały. Nie mógłbym wymarzyć sobie nic lepszego. Wszystkim smakowały ravioli – ich smak fenomenalnie podkreślił czerwone wina. Nawet smak tych z pomidorami. I miałaś rację co do wędzonego zapachu w sałatce – dodał z żartobliwym błyskiem w oku.

– Przepraszam – skrzywiła się Rose. – Mało brakowało, a wszystko bym popsuła. A potem się przewróciłam... i, no cóż, dwa talerze wylądowały na ziemi. Boże, czasem jestem tak niezdarna. Tylko czekałam, aż jeszcze coś pójdzie nie tak.

– Jeszcze coś?

– No wiesz, nieszczęścia chodzą parami.

– To bezsensowne przesady, sama wiesz – odparł łagodnie. Zachwiał się znowu, a słowo „przesady” było ledwo zrozumiałe.

– Mam w każdym razie nadzieję, że nikt nic nie zauważył.

– Wszyscy mieli już na tym etapie dobrze w czubie, więc to nie miało znaczenia – uspokoił ją Mark. – I tak dobrze, że to były tylko dwa talerze, prawda?

– O tak, dzięki Bogu. Wolałabym, żebyś nie myślał, że jestem niekompetentna.

– Po takim lunchu nie mógłbym tak myśleć, Rose, i sama wiesz to najlepiej. Nie umniejszaj swoich zasług tylko dlatego, że nie potrafisz nosić talerzy. W każdym razie, wydaje mi się, że ty, ja, wino i jedzenie wspólnie zrobiliśmy na nich wrażenie. – Mark uśmiechał się do niej szeroko.

*Kiedy się uśmiecha, jest taki cudowny.* Rose nagle zrobiło się ciepło. *Opanuj się!* wrzasnęła na siebie w duchu.



Nagle zorientowała się, że on nadal stoi.

– Usiądź, proszę.

Mark klapnął ciężko na kanapę, a Rose przysiadła na jej drugim końcu, założyła nogę na nogę i zwróciła się twarzą do niego.

– Czy to znaczy, że złożą zamówienie?

– Trudno powiedzieć, ale wydaje mi się, że Alicia była naprawdę pod wrażeniem albarino i tempranillo, a z całą pewnością wypłała całkiem sporo chardonnay.

– To dobrze, prawda?

– Powiedziała, że smakują jej znacznie bardziej, niż niektóre hiszpańskie wina, których próbowała – skinął głową Mark. – Musimy tylko zapewnić odpowiednio dużą partię w odpowiedniej cenie. Siostry Trevelyn mają trochę krzewów tempranillo i nie jestem pewny, czy już podpisały kontrakty na winogrona z nich, ale z drugiej strony nie mogę ich zamówić, jeżeli sam nie dostanę zamówienia.

– A kiedy będziesz wiedział?

– Alicia powiedziała, że za kilka tygodni wraca do Anglii i że przeanalizuje sprawę nieco później.

– A co z dystrybutorami?

– Wspierają Kalkari od samego początku. Mamy szczęście. Ich zdaniem hiszpańskie odmiany dobrze się przyjmą na rynkach miejskich, zarówno na miejscu, jak i na wynos.

– Na miejscu?

– Czyli w restauracjach, klubach i barach. Na wynos oznacza sklepy z alkoholami. – Mark nalał im po wielkim kieliszku i odwrócił się do niej. – Masz ogromny talent, Rose. To był fantastyczny obiad.

Patrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Przygryzła wargę, próbując siłą woli powstrzymać narastające ciepło, które pełzło w górę mostka. Nic z tego. Poczwała, jak pod jego wzrokiem rumienią jej się policzki.

– Mam nadzieję, że zostaniesz z nami na trochę. Doskonale sobie radzisz z Luisą. Ona cię uwielbia. Powiedziała mi to dziś wieczorem.

– Och, twoja córka jest cudowna. Kochana Lulu. Jest taka słodka.

– Nie było jej łatwo. Nikomu z nas nie było łatwo. Pewnie ktoś ci już powiedział, co tu zaszło. – Mężczyzna zamilkł na chwilę, jakby podejmując decyzję, ile jej powiedzieć. – Pewnie ja sam ponoszę za to częściowo winę. Za bardzo się zaangażowałem w wino, żeby dostrzec, że w domu nie dzieje się dobrze. Nie miałem pojęcia, że Isabella jest aż tak nieszczęśliwa. Wiesz, wydaje mi się, że ona się tu tak naprawdę nigdy nie zadomowiła... Ale i tak nie rozumiem, jak mogła porzucić dzieci. Mnie – jasne, ale nie Luisę i Leo. Luisa była za mała, żeby dużo pamiętać, ale Leo bardzo za nią tęskni. Ciągłe pyta, kiedy wróci mama. Z drugiej strony cieszę się, że ich ze sobą nie zabrała. Nie wiem, co bym bez nich zrobił. – Cameron westchnął i pociągnął łyk wina.

Rose jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie – kiedy przestawał się kontrolować, stawał się zupełnie innym człowiekiem.

– Dość już o mnie i moim nieszczęściu. Opowiedz coś o sobie. Mogę się poczęstować? – Mark wskazał na grzankę z serem.

– Jasne, proszę. I tak nie jestem głodna – dodała. Jej szef zaczął pożerać obie grzanki, krusząc na kanapę, a ona kontynuowała:

– Nie ma tu dużo do opowiadania. Tego samego dnia straciłam pracę i chłopaka. Niezbyt rozważnie, co? – Popatrzyła na niego ostrożnie. – Nic mnie nie trzymało w Londynie, a zawsze chciałam zobaczyć Australię. Mój starszy brat powiedział mi o Kalkari i w zasadzie wepchnął mnie do samolotu. Spędziłam kilka dni w Sydney, i oto jestem. – Rose miała nadzieję, że nie brzmiało to zbyt wymijająco i że Mark nie będzie drążył tematu.

Nachylił się w jej stronę. Wyczuła zapach cytrusów, skóry i korzennych przypraw. Bardzo starała się nie wciągnąć go głęboko do płuc, ale bezskutecznie.

*Boski.*

Skarciła się w duchu. Co też sobie wyobraża, na miłość boską? Pożąda własnego szefa?

– Opowiedz, co ci się podoba w gotowaniu – poprosił.

– Gotuję, od kiedy pamiętam. Kiedy byłam mała, przygotowywałam upiorne mieszanki z tabasco i przypraw, i wszystkiego, co znalazłam w kuchennych szafkach. – Rose roześmiała się na to wspomnienie. – Moja mama nigdy specjalnie nie przepadała za gotowaniem, więc kiedy dorosłam, stopniowo przejęłam obowiązki kuchenne, szczególnie przy okazji świąt i różnych uroczystości. Ale moja babcia była dobrą kucharką, bardzo dużo mnie nauczyła. Przede wszystkim uwielbiam to, że jedzenie zbliża ludzi, że przepisy łączą pokolenia dzięki wspomnieniom, że jedzeniem mogę komuś pokazać, że mi na nim zależy... – Rose ucichła. – Pewnie brzmi to głupio.

– Wcale nie – zaprzeczył Cameron. – To filozofia godna podziwu.

Zrzucił buty i kontynuowali rozmowę – o jego planach względem winnicy i powodach, dla których kupił Kalkari. W miarę jak wino zaczęło działać, Rose poczuła, że się rozluźnia i – co zaskakujące – dobrze się bawi w jego towarzystwie. Ewidentnie wypił tego dnia dość sporo, ale kiedy opowiadał o swojej miłości do doliny, jej ziemi i mieszkańców, słyszała w jego słowach echo własnego rosnącego przywiązania do tej okolicy. Po pewnym czasie jednak głowa zaczęła jej opadać na oparcie. To był długi dzień.

– O rany, ty jesteś wykończona, a ja cię zanudzam na śmierć – zreflektował się Mark. – Dam ci odpocząć.

Wstał niepewnie z kanapy i spojrział na nią. Rose spróbowała wstać.

– Nie kłopotz się tym, zamknę za sobą.

– To dobranoc – powiedziała sennie.

– Dobranoc, Rose – powiedział cicho od drzwi i zamknął je bez szmeru.

Kiedy wyszedł, atmosfera w pokoju stała się mniej napięta. Mimo zmęczenia nie mogła uwolnić się od poczucia, że chciałaby, aby został trochę dłużej.



Kiedy zbudziła się wczesnym rankiem, jej pierwsza myśl dotyczyła poprzedniego wieczora. Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Poznała Marka od zupełnie innej strony. Ten mężczyzna był wrażliwy i łagodny, a nie pochmurny i lekceważący. Zarumieniła się na wspomnienie jego smukłych, umięśnionych ud i szerokich ramion. Musiała przyznać, że jest dość atrakcyjny – to znaczy, jak na starszego faceta. Rozmarzyła się, wyobrażając sobie, jak spogląda jej głęboko w oczy, obejmuje w talii, przyciąga do

siebie i zaczyna całować... mówi, że czekał na nią od tak dawna... że to właśnie ona była kobietą jego marzeń...

*Rany boskie, Rose. Za każdym razem, gdy jakiś facet jest dla ciebie choć trochę miły, zaczynasz się zachowywać jak bezdomny szczeniak.*

Skarciła się w duchu i surowo zabroniła sobie być romantyczną idiotką. *Mark jest twoim pracodawcą, a ty dostałaś polecenie, żeby go szpiegować. I na tym koniec.*

Jej szef zdecydowanie nie był pożądanym celem. Rose była w Kalkari tylko po to, aby zdobyć informacje, czy wytwórnia będzie łatwym celem przejęcia dla jej brata. Nie było tu miejsca na nic innego. Dokładnie tak.

Zdecydowała, że na te bezsensowne myśli najlepiej pomoże jej bieg, więc wstała z łóżka i założyła legginsy, top, buty i czapkę i ruszyła ścieżką między winnicami, która prowadziła do gospodarstwa sióstr Trevelyn. Poranne powietrze było chłodne i pachnące wiosennymi kwiatami i świeżo zaoraną ziemią, a rosa niemal natychmiast przemoczyła jej buty na wylot. Słońce powoli wspinało się na nieboskłon, zabarwiając wszystko na bladoczysty kolor.

Kiedy zatrzymała się na krótki odpoczynek na szczycie wzniesienia, zapatrzyła się na dolinę, napawając się widokiem idealnych rzędów winorośli, kilku lśniących trójkątnych stawów i miodowymi murami Kalkari.

Zaskoczył ją widok postaci biegnącej w jej kierunku w wypłowiałych niebieskich szortach i koszulce, w której więcej było dziur niż materiału. Kiedy biegnący zbliżył się nieco, rozpoznała w nim Marka. Dobiegł do niej, dysząc ciężko.

– Trochę wczoraj przesadziłem. Doszedłem do wniosku, że muszę doprowadzić się do porządku – wysapał. Zgiął się w pół, opierając dłonie na kolanach, i powoli dochodził do siebie. Nie patrzył jej w oczy. – Mogę się dołączyć?

– Pewnie – odpowiedziała Rose, próbując nie zdradzić zaskoczenia, jakie poczuła z powodu jego nagłego przybycia i nieoczekiwanego stroju. – Zwykle biegnę przez to wzgórze aż do granicy winnic sióstr Trevelyn, a potem robię pętlę z powrotem do domu. Zajmuje mi to około czterdziestu minut. Dasz radę?

– Prowadź – odpowiedział, dopiero co odzyskawszy dech.

Droga w dół była łatwiejsza i u podnóża wzgórza biegli już koło siebie, chociaż Mark nie był w stanie rozmawiać, a Rose widziała, że tylko duma i determinacja pozwalają mu dotrzymać jej kroku. Rzuciła na niego okiem, dyskretnie go analizując. *Nieźle*, pomyślała, wędrując wzrokiem do góry. Mocne, umięśnione nogi, na które zwróciła uwagę już poprzedniej nocy – tak. Smukły tułów – tak. Szerokie barki i bicepsy – tak. Nieprzenikniony wyraz twarzy – *uuuups*. Mężczyzna zauważył, że Rose się mu przygląda, więc szybko odwróciła wzrok.

– Fantastyczny, nie?

– Mmm – odpowiedziała wymijająco. Prawdopodobnie Mark miał na myśli krajobraz, ale w tej akurat chwili głowę zaprzętały jej inne rzeczy.

– Przepraszam za wczorajszy wieczór, Rose. Mam wrażenie, że trochę mnie poniosło. Przepraszam, jeśli cię zanudziłem. – Usta mężczyzny zacisnęły się w wąską linię.

– Wcale nie zanudziłeś.

– To dobrze.

Biegli dalej, po czym Rose nagle podskoczyła z zaskoczenia, kiedy jej szef zawołał:

– Ścigamy się do bramy!

Pognał przodem, zostawiając ją daleko z tyłu – nie miała szans dogonić go na ostatnich stu metrach do bramy Kalkari. Nie była zadowolona, że przechytrzył i przegonił ją w ostatnim momencie. Obiecała sobie, że następnym razem będzie bardziej skoncentrowana i to ona wygra.

# Rozdział 14

– Patrz – powiedziała Astrid, podając Rose białe plastikowe testy ciążowe, kiedy dzieci poszły już spać. Faktycznie, na każdym z nich widać było dwie niebieskie albo różowe kreski.

– Co ja teraz zrobię? – jęknęła dziewczyna. – Rodzice nigdy mi nie wybaczą. Tata na pewno dostanie ataku na sercu. Już i tak źle zniósł to, że wyjechałam tak daleko, ale wnuczek to nie na jego nerwy.

Rose próbowała ją uspokoić, ale nie miała pomysłu, co jej poradzić.

– Posłuchaj, może nie będzie tak źle. Musisz porozmawiać z Thommo.

– Wiem – wychlipała niania. – Ale on akurat jest we Francji na winobraniu. Pewnie mogłabym mu wysłać esemesa, ale nie chcę mu tego mówić, kiedy on jest tak daleko, a już na pewno nie przez telefon. Wraca chyba pod koniec miesiąca.

– Tak, może lepiej poczekać do jego powrotu i powiedz mu to osobiście – przyznała Rose, patrząc na Astrid niespokojnie. Coraz bardziej czuła się jak jej starsza siostra, w jakiś sposób za nią odpowiedzialna. Biedna dziewczyna była jeszcze bardzo młoda, a w ciągu kolejnych kilku tygodni miała jeszcze szybciej dojrzeć.



Nie tylko Thommo wyjechał na jakiś czas z doliny. W kolejnym tygodniu, ciężko dysząc po porannym biegu, Mark powiedział Rose, że wyjeżdża w piątek.

– Tak się składa, że jadę w twoje strony – powiedział. – Przez San Francisco do Londynu.

Była zaskoczona, ale nic nie powiedziała.

– Muszę pogadać z kilkoma amerykańskimi dystrybutorami, a potem z ludźmi z Channings. Już dłuższy czas staramy się wejść na rynek amerykański, a poza tym naprawdę muszę spotkać się z naszymi brytyjskimi dystrybutorami i trochę ich dopieścić.

– Rozumiem. Jak długo cię nie będzie?

– Jakies trzy tygodnie. Pod koniec będę wykończony – skrzywił się Cameron. – Chciałabym cię prosić o kilka rad co do Londynu. Planuję jeden dzień wolny i bardzo chciałbym wiedzieć, co, twoim zdaniem, powinienem zobaczyć.

Na ułamek sekundy Rose wyobraziła sobie Marka wpadającego na Henry'ego w Londynie... ale szybko powiedziała sobie, że to absurdalny pomysł. Będą wprawdzie w jednym mieście, ale to duże miasto. *Jakie byłyby na to szanse?*, zastanawiała się. *No cóż, to niewielka branża* – usłyszała cichy głosik w głowie.

– Jasne – odpowiedziała na głos. – Zrobię ci listę.

– Brakuje ci tu czegoś z domu, co mógłbym ci przywieźć?

Rose pomyślała o domu i stwierdziła z zaskoczeniem, że już od ładnych paru dni nie myślała o Gilesie.

To coś nowego.

– Nie, wszystko mam, dzięki.



Nieco później Rose śpiewała w kuchni razem z radiem – przy czym trzeba przyznać, że czystość jej śpiewu zupełnie nie dorównywała entuzjazmowi – kiedy nagle przez drzwi wpadł Leo.

– Rose, ktoś jedzie! – zawołał podekscytowany, przeskakując z nogi na nogę. – Z deskami surfingowymi!

Kobieta nie słyszała podjeżdżającego samochodu, ale z drugiej strony radio nastawione było na pełny regulator.

*Deski surfingowe? Po co komu deski surfingowe w samym środku doliny?* Wytarła ręce w ścierkę, ściszyła radio i wyszła przed dom. Na podjeździe widać było charakterystyczny podłużny volkswagen ogórek z jaskrawopomarańczową karoserią pokrytą kurzem i – nie dało się zaprzeczyć – deskami surfingowymi na dachu. Kiedy podjechał pod dom, dało się słyszeć łomoczące, basowe nuty, a Rose dostrzegła w środku dwie blond czupryny.

Serce jej załomotało. Już wiedziała, kto przyjechał. Zachwycona, rzuciła się w objęcia wyższego z blondynów, który właśnie gramolił się z samochodu.

Barnsie także bardzo się podekscytował przyjazdem gości. Plątał im się pod nogami, szczekał, piszczał i gonił własny ogon.

– *Alors!* – zawołał Philippe. – Cóż za powitanie! – Zrobił krok do tyłu i z uznaniem obejrzał Rose od góry do dołu. – Co się z tobą działo, eh? *Oh la la!* Wyglądasz *incroyable*, kochanie!

Philippe i Rose poznali się na organizowanej przez Le Cordon Bleu wymianie w Londynie i od tamtego czasu pozostawali w kontakcie. Zachwyciła ją informacja, że pół roku przed jej przyjazdem Philippe przeniósł się do Sydney, a on, jak prawdziwy dżentelmen, odebrał ją z lotniska i przenocował w swoim domu w Bondi.

Tymczasem z vana wyszedł pasażer i złapał Rose w niedźwiedzi uścisk. Frostie, kumpel Philippe’a, trochę się w niej zadurzył podczas jej pobytu w Bondie, a ona nie czuła się wówczas na siłach podjąć jakiegokolwiek działania w tym zakresie. Frostie ewidentnie nadal uważał, że ma duże szanse – kiedy na ścieżce prowadzącej do wytwórni pojawił się Mark, chłopak właśnie składał na jej ustach entuzjastyczny pocałunek. Odsuwając się od niego, Rose dostrzegła, że koszulka Frostiego ozdobiona jest dość dwuznacznym napisem „Chcesz wypróbować mój longboard?”. Usta jej zadrżały.

– Cześć, Mark. To moi przyjaciele z Sydney, a w sumie to z Paryża i Sydney – powiedziała, wymykając się z objęć Frostiego i próbując złapać oddech.

– Właśnie widzę – odpowiedział, przyglądając się uważnie chłopakom. Ich potargane, wypłowiałe od słońca czupryny, podkoszulki na ramiączkach, tenisówki i znoszone spodenki nie pasowały do otoczenia winnicy.

– Jedziemy na wybrzeże trochę posurfować. Trza się cieszyć życiem, chłopie. I sobie pomyśleliśmy, że

wpadniemy zobaczyć, jak sobie radzi Rosie – powiedział Frostie, wyciągając rękę do Marka.

– Zastanawialiśmy się też, czy znajdziesz dla nas miejsce do spania na noc. – Philippe uśmiechnął się bezczelnie do Rose. – Jak nie, możemy spać w wozie.

– Przepraszam, nie wiedziałam, że przyjeżdżają – powiedziała siostra Henry’ego, patrząc na swojego szefa. Martwiła się jego reakcją, choć zupełnie nie wiedziała dlaczego. – To kompletna niespodzianka.

– Cieszyć się życiem, co? – powtórzył Mark opryskliwie, ściskając rękę Frostiego. – W szopie jest dużo miejsca, a Rose się wami na pewno zajmie. Przepraszam, muszę się spakować – dodał i wszedł do domu.

– Kochanie, musisz nam wszystko opowiedzieć. Kto to był? – zapytał Philippe, ignorując chłodne powitanie. Schylił się, żeby przywitać się z Barnsie’em i Leo.

Kiedy już nowi goście rozprostowali nogi i pobawili się z psem, Rose zaprowadziła ich do szopy, gdzie natychmiast ulokowali się na podniszczonych kanapach, wlewając w siebie z entuzjazmem zimne piwo, które przyniosła im z domu.

– Lepiej pójdę robić obiad, ale zajrzyjcie do domu za jakąś godzinę, to poznacie Astrid i Luisę.

– Jeszcze więcej lasek? – zapytał Frostie z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Luisa ma dwa latka, a Astrid to jej niania – odpowiedziała Rose cierpko.

– Uuuuu, uwielbiam nianie! – odpalił Frostie.

– Zachowuj się! Ja tu w końcu pracuję – przywołała go żartobliwie do porządku Rose, wychodząc na zewnątrz.

Koło domu ponownie wpadła na Marka. W rękach niósł walizki, a skórzaną torbę na laptopa miał przewieszoną przez ramię.

– Ojej, już wyjeżdżasz – zauważyła nieco zawiedziona.

– Jadę dziś do Sydney i zanocuję u znajomego. Lot mam wcześniej rano.

– Uważaj na siebie i szczęśliwej podróży. Będziemy tęsknić.

*Ja będę tęsknić*, dodała w duchu, zdając sobie nagłe sprawę, że to prawda.

– Pożegnałem się z maluchami, ale nie wiedzą, dokąd lecę, więc lepiej mnie nie zdradz – gdyby Leo wiedział, że będę gdzieś w pobliżu stadionu Tottenhamu i go ze sobą nie zabieram, nigdy by mi tego nie wybaczył – powiedział Mark z krzywym uśmiechem.

Stali zakłopotani naprzeciw siebie. Nagle, zupełnie niespodziewanie, Cameron nachylił się i pocałował Rose lekko w policzek. Poczła delikatny aromat korzennych przypraw i mydła. Zanim zdążyła zareagować, chwila minęła, ale wspomnienie dotyku jego warg na skórze szalało w jej myślach. Z trudem powstrzymała się, aby nie dotknąć palcami miejsca, którego dotknęły jego usta.

Cameron wrzucił walizki do bagażnika samochodu zaparkowanego obok auta chłopaków. Odjeżdżając, wystawił rękę przez okno i pomachał jej na do widzenia. Rose odmachala mu z entuzjazmem, którego jednak nie czuła. Nagle poczuła się samotna.

*Jasna cholera, dziewczyno, opanuj się. Jest twoim szefem i przez większą część czasu grubiańskim draniem, a przede wszystkim jest żonaty. To znaczy w pewnym sensie. Nie wspominając już o tym, że masz złamane serce z powodu Gilesa.*

Luisa przytupała do niej, machając za samochodem.

– Tatuś leci siamolotem? – zapytała.

– Tak, kochanie, ale niedługo wróci i na pewno przywiezie ci prezent.

Zmieszana swoimi uczuciami Rose podniosła Luisę, posadziła ją sobie na biodrze i odwróciła się tyłem do niknącego w oddali samochodu, po czym poszła do kuchni, aby przygotować wystarczająco dużo jedzenia dla grupy głodnych dorosłych (Astrid doszła już do siebie po wcześniejszych mdłościach i wpychała w siebie jedzenie, jakby miały od tego zależeć losy Austrii) i dwójki maluchów.



# Rozdział 15

Wieczorem, siedząc nad resztkami pieczonego kurczaka i dokańczając drugą butelkę wina, Frostie i Philippe zabawiali Astrid opowieściami o wyczynach Rose podczas jej pobytu w Bondi. Rose nie mogła się powstrzymać od śmiechu – ich historie stawały się stopniowo coraz bardziej absurdalne.

– To nie fair! – zaprotestowała, kiedy opowiadali, jak poprosiła o filiżankę herbaty na plaży. – Ja wtedy dopiero przyjechałam – nie moja wina, że nie wiedziałam, że na plażę nie zabiera się herbaty!

Astrid była zarumieniona, a jej włosy lśniły w świetle świec. Dobrze było zobaczyć ją w lepszym stanie niż w ciągu kilku ostatnich tygodni. Widać było, że dobrze się bawi w towarzystwie chłopaków; być może dzięki nim przestała się zamartwiać swoją sytuacją chociaż na krótką chwilę.

– Nie wiem, jak wy, ale ja już chyba idę spać – powiedziała Rose, ziewając teatralnie i wstając od stołu. Starła się nie patrzeć na Frostiego, choć czuła, że on się w nią wpatruje. Philippe został w kuchni, aby jeszcze pogadać z Astrid, a Frostie powiedział, że pójdzie z Rose do szopy.

Na czystym nocnym niebie lśniły tysiące gwiazd. Kobieta spojrzała na nie, zastanawiając się, czy Mark dotarł bezpiecznie do Sydney. Frostie ujął jej rękę w swoją ciepłą dłoń.

– Co tam, kotku? – powiedział.

– Frostie, ja myślę, że powinniśmy zostać po prostu przyjaciółmi...

Po krótkiej ciszy mężczyzna puścił jej dłoń i odpowiedział:

– Hej, nie ma sprawy. Naprawdę. Bez dramatu, kotku, jeśli tak właśnie uważasz. Ale nie możesz mnie winić za to, że próbowałem.

Rose była wdzięczna za jego reakcję. Wydawało się, że jedyne wzburzone fale, jakie Frostie za sobą zostawia, to te na powierzchni oceanu.

– Cieszę się, że rozumiesz. Nie jestem w tej chwili gotowa na nic więcej, a tak bardzo cieszę się, że ty i Philippe jesteście moimi przyjaciółmi. Nie mam ich w Australii zbyt wielu.

– Żaden problem, kotku. – Jego niebieskie oczy zatrzymały się na jej twarzy. – Ale jeśli tak jest, to usadź też tego swojego szefa. Jak się na niego patrzy, to każdy głupi widzi, że on na ciebie leci.

– To absurd – zaprotestowała Rose. – On ma żonę, nawet jeśli akurat jej tu nie ma, a poza tym przez większość czasu jest po prostu gburowatym starym dziadem.

*Czy Frostie naprawdę uważa, że podobam się Markowi? Jak to możliwe?*

– Mówię tylko to, co widzę – wzruszył ramionami.

W szopie Frostie poszedł prosto do pokoju, który dzielił z Philippe'em.

– Dobranoc, pchły na noc – powiedziała Rose. Naprawdę bardzo ich obu lubiła i strasznie się cieszyła, że przyjechali się z nią zobaczyć, ale ich obecność nie wypełniała pustki, jaką czuła po wyjeździe Marka. A wyjechał na tak długo...



Rose spała niespokojnie. Śniło jej się, że Mark wyjechał i nigdy już nie wróci. Zbudziła się wcześniej i ruszyła pobiegać, aby uspokoić wzburzone emocje. Wysokie wzgórze na tyłach Kalkari zdobyła w rekordowym czasie. To najlepszy sposób, by się dobrze zbudzić. Była już niemal tak sprawna, jak kiedyś, nim nadeszły lata pełne smażeniny i lenistwa – teraz codziennie rano sama chciała pobiegać. Mimo chłodnego poranka, po powrocie do Kalkari skórę pokrywały jej kropelki potu, ale czuła się spokojniejsza i w dużym stopniu opanowała swoje zmartwienia.

Zapukała do drzwi pokoju chłopaków.

– Śniadanie za pół godziny! – zawołała. Ze środka dobiegł ją jęk protestu. Pognała do domu i zaczęła robić ciasto na placuszki śniadaniowe.

Leo był w siódmym niebie. Rose zwykle robiła placuszki w weekendy, a przecież był zwykły dzień. W nagrodę dostał pierwszą porcję i radośnie zlizywał syrop z noża, podczas gdy Astrid próbowała przypomnieć mu o odpowiednich manierach przy stole.

– Dobrze się bawiłaś w nocy? – Niania puściła oko do Rose.

– Nic się nie działo. Potem ci opowiem – odpowiedziała w tej samej chwili, gdy Philippe i Frostie weszli do kuchni.

– Chłooooo! – Frostie przeciągnął samogłoskę w pełnej zachwyty emfazie. – Zapach czuć daleko od domu. Zapomniałem już, jak dobrze gotujesz, Rosie. Nie powinniśmy cię byli wypuścić z Bondi – powiedział z udawaną rozpaczą.

Mężczyźni nałożyli sobie kopiaste talerze placków, polewając je syropem i dekorując smażonym bekonem. Byli tym tak zaabsorbowani, że prawie się nie odzywali. Leo patrzył na nich szeroko otwartymi oczami, zbyt onieśmielony, aby zadawać zbyt wiele pytań. Z kolei Luisa trajkotała jak najęta, waląc widelcem w stół i domagając się więcej jedzenia.

– Dobrze by to było przepłukać filiżanką przyzwoitej kawy. – Frostie uniósł głowę znad talerza.

– Przykro mi – powiedziała Rose. – Tu nigdzie nie dostaniesz latte. Największe szanse masz w Eumeralli. Kawiarnia Święte Ziarno. Powiedz Bevanowi, że to ja cię przysłałam.

– W sumie może coś na to poradzimy – skontrował Philippe z tajemniczym wyrazem twarzy. – Chodź, sama zobaczysz.

Zaskoczona Rose poszła za nim do vana. Leo i Barnsie podążyli za nią.

– Co to będzie, Rosie? – zapytał podekscytowany Leo.

– Nie mam pojęcia, kochanie, ale chodźmy zobaczyć.

Philippe odsunął tylne drzwi vana, sięgnął do środka i machnął na Rosie, aby podeszła bliżej. W gnieździe uwitym z wytartych ręczników, zawinięty w śpiwór spoczywał ekspres do kawy La Marzocco w kolorze chabrowym.

– Ale śliczny! – wykrzyknęła z zachwytem. – Skąd go wzięłeś?

– Kupiliśmy lepszy – odpowiedział Philippe, który w przerwach między pływaniami na desce był managerem kawiarni plażowej w Bondi. – Tego już nie potrzebujemy. Jest twój, jeśli chcesz.

– Jaja sobie robisz, tak?

– *Non*, ja nie robię jaj, Rose – odparł Philippe poważnie.

– Ale one są drogie jak cholera. A ty mi go po prostu oddajesz?

– W szlachetnym celu – mrugnął do niej. – Właściciele i tak mieli go wyrzucić – wiem, to szaleństwo – i po prostu nie mogłem na to pozwolić. Trochę się psuł, ale Frostie rzucił na niego okiem i przeczyścił. Teraz jest jak nowy, działa jak ta lala. Trzeba o niego dbać, ale jestem pewien, że będziesz to robić – to wcale nie jest skomplikowane.

Rose była w szoku, że ktokolwiek mógłby chcieć wyrzucić tak piękny ekspres do kawy, ale z drugiej strony od razu wiedziała, co z nim zrobi.

– Będziesz musiał mi pokazać, jak go obsługiwać – powiedziała, przesuając dłońmi po lśniąącym metalu. – Nie mogę uwierzyć, że ot tak, sobie pomyślałeś, że mi się przyda. Skąd wiedziałeś?

– W e-mailach wspominałaś tylko z milion razy o tym, że zabiłabyś za dobrą kawę częściej niż raz czy dwa w tygodniu – odpowiedział sarkastycznie. – Twoje życzenie jest dla nas rozkazem.

– Dziękuję! Już mam plan, co z nim zrobię – uśmiechnęła się promiennie.

Philippe błyskawicznie podłączył ekspres w winiarni, a Rose ubłagała Dana, by ponownie pożyczył jej klucz.

– Nie wiem, po co chcesz go postawić tutaj zamiast w kuchni.

– Zamierzam otworzyć winiarnię dla gości i oferować degustacje, ale także kawę, ciasto i babeczki. Tu nigdzie w okolicy nie można dostać dobrej kawy i wydaje mi się, że będzie na nią zbyt, szczególnie w lecie.

– Podoba mi się twój sposób myślenia, panno Starbucks – zakpił z niej.

– Wynoś się stąd! – Rose profesjonalnie zakręciła w powietrzu ścierką. – Starbucks, jasne!

Philippe przywiózł jej także pięciokilowy worek świeżo uprażonej kawy i młynek, a ponadto obiecał przesyłać jej uzupełnienie zapasów po powrocie do Bondi. Rose przeszła przyspieszony kurs robienia różnych najpopularniejszych rodzajów kawy, od macchiato i ristretto po bardziej powszechne latte i cappuccino, a także dowiedziała się, jak czyścić ekspres i dbać o niego. Spienianie mleka bez poparzeń drugiego stopnia zajęło jej trochę czasu, ale do południa Rose przekonała Philippe'a, że jest w stanie przygotować przyzwoitą kawę.

– Jesteś gotowa – powiedział, patrząc na nią z dumą i poklepując ekspres. – Jestem bardzo zadowolony, że ta laleczka znalazła dobry dom.

Jej przyjaciele chcieli bez dalszej zwłoki ruszać w drogę, a Rose zapakowała im po kilka kanapek, aby nie zgłodnieli za bardzo w trasie.

– To bardzo małe podziękowanie za ekspres. Nie mogę uwierzyć, że przyciągnęliście go taki kawał drogi specjalnie dla mnie.

Bardzo ich obu lubiła i w głębi duszy nie chciała, aby odjeżdżali. Uściskała ich mocno i obiecała, że pozostaną w kontakcie. zaproponowała też, aby wpadli z wizytą w drodze powrotnej za kilka tygodni.

Patrząc, jak ich van kolebie się na podjeździe, nagle poczuła się bardzo samotnie. Kalkari ponownie wydawało się całkiem puste.

# Rozdział 16

Nieoczekiwane pojawienie się ekspresu do kawy i nieobecność Marka dały Rose impuls do działania. Budżet domowy bardzo się już skurczył, a przed wyjazdem do Londynu Cameron nie zapłacił ani jej, ani Astrid. Nadchodził właśnie długi weekend i Rose uznała, że to doskonała okazja, aby zasilić nieco kurczące się zasoby gotówkowe gospodarstwa. Przeszukała szafki kuchenne i znalazła nieco zdekompletowanych filiżanek i spodków, ale nie wystarczały na jej potrzeby. Przypadkowa rozmowa z panią B, która wpadła w odwiedziny do dzieci, zachęciła Rose do pojechania do Eumeralli – w sklepie (pod dziwną nazwą Oszczędna Pomarańcza) znalazła cały karton nieużywanej porcelany kawiarnianej, która doskonale się nadawała do jej planów. Kupiła też trochę starych łyżeczek i ściemniałych srebrnych widelczyków do tortów, które zamierzała odczyścić. Nie chciała zadłużyć jeszcze bardziej Marka, więc zapłaciła za to wszystko z własnej kieszeni. Kupiła też sporo mąki, cukru, masła i mleka, skrupulatnie zapisując wydatki.

Przy okazji wpadła też do Świętego Ziarna i wspomniała mimochodem Bevanowi, że zamierza otworzyć winiarnię w Kalkari i podawać w niej kawę, herbatę, ciasta i ciasteczka.

– Będę miał konkurencję – skwitował. Jego ton wskazywał jednak, że niezbyt się tym przejmuje.

Korzystając z pobytu w kawiarni, Rose wysłała krótkiego e-maila do brata, informując go, że Mark leci do Londynu. Podała mu też nazwę hotelu, w którym jej szef miał się zatrzymać, na wypadek, gdyby Henry chciał doprowadzić do spotkania. Przy okazji przejrzała ulubione przepisy i zdecydowała się przygotować muffinki owocowe, biszkopty czekoladowo-orzechowe i ciągnące się batoniki daktylowe. Po latach spędzonych w The Pine Box ciasta potrafiłaby piec przez sen.

Na ten weekend przypadał też comiesięczny targ. Rose przytargała do domu wielkie torby jabłek, cytryn i pomarańcz. Bevan zasugerował jej, aby wpadła do centrum informacji turystycznej w miasteczku i opowiedziała o swoich planach – Rose dodała ten punkt do swojej coraz dłuższej listy rzeczy do zrobienia.

Nazwę dla nowego przedsięwzięcia wymyślił Dan. Rose odwiedziła go w wytwórni, żeby pogadać o swoich planach i poczęstować go próbną porcją tartaletek z kremem cytrynowym. Mężczyzna entuzjastycznie odniósł się do pomysłu otwarcia winiarni i obiecał nauczyć ją podstawowych zasad degustacji.

– Nazwa powinna się jakoś wiązać z winem – powiedział, gładząc w zamyśleniu brodę dłonią. – Co powiesz na Ferment?

– Doskonały pomysł! Dzięki, Dan! – Siostra Henry’ego była zachwycona

– Uciekaj już stąd – wymamrotał, zawstydzony tym wybuchem uczuć. Rose mogłaby przysiąc, że pod tą krzaczastą brodą zaczerwienił się jak burak.



Mimo absurdalnie krótkiego terminu Rose zaplanowała wielkie otwarcie na sobotę – pierwszy dzień długiego weekendu, ponieważ pani B powiedziała, że dolina jest wówczas pełna turystów przyjeżdżających na degustacje. W ciągu tygodnia Astrid pomogła jej przygotować ulotki, a także znak do ustawienia przy zjeździe z drogi – skopiowała przy tym wykręczone logo z butelek wina z Kalkari i wykazała się talentem do projektowania, o który Rose jej nie podejrzewała. Następnie dziewczęta zabrały ze sobą Luisę i zawiozły ulotki do centrum informacji turystycznej, a kilka sklepów w Eumeralli przykleiło je także na wystawach. W centrum informacyjnym wszyscy byli zachwyceni perspektywą nowej atrakcji w dolinie i obiecali wspomnieć o Fermencie na samym początku cotygodniowego newslettera, który miał ukazać się następnego dnia. Rose miała nadzieję, że to wystarczy, aby ściągnąć gości.

W sobotę rano wstała jeszcze wcześniej niż zwykle, a oczom jej ukazał się piękny słoneczny dzień. Na intensywnie niebieskim niebie widać było tylko kilka chmurek. Nadal jeszcze nie przyzwyczaiła się do jaskrawości australijskiego słońca i musiała osłonić oczy ręką, kiedy spojrzała na podjazd, zastanawiając się, co przyniesie dzień. Usilnie próbowała zignorować skręcający się z nerwów żołądek.

Jadalnia w winiarni była przygotowana na przyjęcie gości. Poprzedniego dnia, trzymając kciuki za pogodę, Rose poprosiła Dana o pomoc w przeniesieniu dwóch starych beczek i szerokiej deski, z których ułożyła zaimprovizowany stół pod wielkim pnem kazuaryny przy wejściu do winiarni. Dzięki temu będzie można napić się kawy i zjeść ciastko na słońcu. Astrid i Leo przygotowali wielokolorowe chorągiewki i zawiesili je na froncie budynku, nadając mu odświeżony wygląd.

– Wygląda na to, że jesteś gotowa – zauważył Dan, podchodząc do niej, kiedy wykladała świeżo upieczony placek z rabarbarem na ladę obok lśniącego ekspresu do kawy. – Możesz obsłużyć pierwszego gościa? Chętnie napiłbym się macchiato. I zjadłbym jedną z tych muffinek, jeżeli ci to nie przeszkadza.

– Już podaję! – Rose uśmiechnęła się do niego szeroko.

Dan miał wprawdzie akurat dzień wolny, ale zgłosił się na ochotnika do pomocy przy degustacji, a dodatkowo Rose udało się namówić panią B, aby także wpadła nieco później do pomocy. Dan poinstruował Rose co do cech charakterystycznych win, a także pokazał jej, jak się kosztuje i wypłuka, radząc, żeby poćwiczyła z wodą podczas prysznica. Rose miała zamiar pilnie obserwować go podczas degustacji z gośćmi.

Od strony domu ukazali się Astrid, Leo i Luisa w towarzystwie jazgoczącego straszliwie Barnsie'ego.

– Wygląda wspaniale! – wykrzyknęła Astrid. – Jeśli na koniec dnia zostaną ci jakieś bananowe muffinki, to zostaw mi jedną!

– Czy możemy się poczęstować już teraz, Rose? – błagał Leo.

– Żeby dla klientów nic nie zostało? – drażniła się z nim kobieta. – Jasne, ale tylko po jednej na głowę. Bananowa z karmelem i orzechami włoskimi? Czy malinowa z białą czekoladą?

Dzieci wybrały sobie po muffince i wyszły na zewnątrz, aby pochłonąć pięknie pachnące smakołyki. Barnsie leżał obok nich, dysząc i czujnie wyszukując spadające okruchy.

Pierwszy samochód na podjeździe pokazał się raptem parę minut po dziesiątej, a później przez Kalkari przewijał się ciągły strumień gości wpadających na kawę, ciasto i degustację. Do piętnastej został tylko

jeden niewielki kawałek placka, a wszystkie muffinki i ciasteczka się wyprzedały. Rose była zmęczona, ale zadowolona. Wydawało się, że jej plan działa. Uważnie policzyła utarg i z radością zaniosiła go Danowi.

– Może to nie fortuna, ale dobre na początek – powiedziała.

– Jeśli chodzi o sprzedaż wina, też mieliśmy najlepszy dzień, od kiedy pamiętam – zauważył Dan, polerując kieliszek. – Chyba udało ci się nas rozreklamować!

– Na pewno udało się to informacji turystycznej! – roześmiała się Rose. Była bardzo zadowolona, że czujnie upiekła ciasto z wyprzedzeniem i miała go w zamrażarce na tyle dużo, aby starczyło na cały długi weekend. Sądząc po dzisiejszych wynikach, będą potrzebowali wszystkiego, co napiekła, a i tak może tego zabraknąć. Rzuciła okiem na swoje ramiona, mocno zaróżowione po uwijaniu się w palącym słońcu.

– Twarz też masz trochę różową – zauważył Dan. – Lepiej posmaruj się jutro kremem z filtrem.

– Lepiej też odpocznę trochę przed jutrzejszym dniem – odpowiedziała, układając w stertę brudne filiżanki po kawie i ścierając stół.



W niedzielę było jeszcze gwarniej niż w sobotę – wiosenne słońce wygoniło z miasta całe tłumy, a w poniedziałek, pod koniec dnia, Rose miała całe stopy w pęcherzach. Musiała też pojechać awaryjnie do Świętego Ziarna w Eumeralli, bo skończyła się kawa. Bevan żartował, że odebrała mu połowę klientów, ale kawiarnia była bardzo zatłoczona, więc chyba nie mówił poważnie.

Rose odkładała właśnie na miejsce ostatnie kieliszki, kiedy jej wzrok spoczął na kluczach do winiarni, które wisały na kołku za drzwiami. Dan zostawił je u niej i poprosił, aby pod koniec dnia odniosła je do wytwórni. Mogła się założyć, że na kołku był też klucz do biura.

Mimo poczucia, że zdradza pokładane w niej zaufanie, w ostatnim e-mailu do Henry’ego napisała co nieco o tym, co udało jej się wykryć. „Mark robi bokami, i nie mam tu na myśli ostrych treningów” – napisała. „Jasne, siostrzyczko, ale potrzebuję argumentów przetargowych. Znajdź mi dowody. Coś, czego będę mógł użyć, żeby docisnąć śrubę, jak dojdzie co do czego. A informacja, że on jest w Londynie, w niczym mi nie pomaga” – odpisał Henry.

Dlaczego Kalkari? Ta myśl dziwiła Rose już od jakiegoś czasu. Kiedy Henry po raz pierwszy przedstawił jej swój plan, nie była w stanie się nad nim zastanawiać i nie zapytała, dlaczego obrał sobie za cel tę właśnie winnicę, zwłaszcza że znajdowała się po drugiej stronie świata. To się wydawało mało uzasadnione, nawet biorąc pod uwagę ambicje biznesowe Henry’ego.

Rose nie była w stanie wymyślić przyczyny, więc wróciła myślami do teraźniejszości. Wzięła klucze do ręki. Wiedziała, że to najlepsza okazja, żeby trochę poszperać, tak jak jej nakazał Henry. Było jej niedobrze. Czy naprawdę musi to robić? Z drugiej strony, krew nie woda...

W biurze znajdowała się cała dokumentacja wytwórni, a kiedy ostatnio rozmawiała z Danem, zauważyła dane do logowania zapisane na skrawku papieru koło monitora. Nie przypuszczała, aby włamanie do komputera mogło sprawić jej trudność. Poszła do wytwórni, rozglądając się, czy na pewno jest sama. Wszyscy goście już dawno odjechali, a Astrid była w domu z dziećmi. Ani śladu Dana. To był odpowiedni moment. Wchodząc do biura, poczuła, że serce wali jej jak młot.

*Pamiętaj, co obiecałaś Henry’emu. Po prostu sprawdź, co uda ci się znaleźć. Może to być całkiem niewiele.*

Kilka przyciśnieć klawiszy i już udało jej się znaleźć rozliczenia wytwórni na pulpicie. W The Pine Box pomagała czasem w biurze, więc potrafiła rozeznąć się w arkuszach kalkulacyjnych. Przeglądając comiesięczne wyniki, od razu zauważyła, że wszystko, co słyszała do tej pory, było prawdą. Sytuacja była jeszcze gorsza, niż mogła to sobie wyobrazić. Kalkari było przerażająco na minusie. Obok komputera na tacy leżał gruby stos niezapłaconych rachunków, przyciśnięty końską podkową. Przeglądając je, Rose natrafiła na wniosek kredytowy o zaciągnięcie drugiej hipoteki na Kalkari House. Datowany był na poprzedni miesiąc. Nic dziwnego, że Mark był tak zestresowany.

Co robić? Czy naprawdę powinna przekazać to wszystko Henry’emu? Nigdy nie mówił jasno o charakterze informacji, które miała dla niego znaleźć – „po prostu poszperaj i zobacz, co uda ci się wyszukać”, mówił – ale wiedziała, że z jego punktu widzenia te dokumenty warte są swojej wagi w złocie. Jej brat rzuci się na Kalkari szybciej niż stado wygłodniałych rekinów, kiedy uzna, że nadszedł odpowiedni moment – tego była pewna.

Właśnie wyłączała komputer, kiedy usłyszała kroki za plecami. Odwróciła się, a serce biło jej jak oszalałe.

– To ty, Rose? – To był Dan.

– Mmmm, eee, tak – improwizowała. – Właśnie odkładałam utarg w bezpieczne miejsce.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

– Szef nie lubi, gdy ktoś tu przychodzi, więc lepiej znajdź dla niego inne miejsce.

– O rany, przepraszam, nie wiedziałam. Zaniosę je do szopy.

Stała plecami do komputera i modliła się, żeby się już wyłączył. Nie mogła zaryzykować i odwrócić się, żeby sprawdzić.

– To dobry pomysł. Zmykaj już, ja tu pozamykam.

– Jasne, Dan – wyszła z biura, unikając jego wzroku.

# Rozdział 17

Kolejny weekend, choć mniej intensywny niż poprzedni, także przywiódł do winiarni Kalkari dużo gości – w tym mnóstwo miejscowych, którzy słyszeli już pogłoski o ciastach i plackach Rose. Sama Rose była wykończona uzupełnianiem zapasów, pieczeniem i sprzątaniami, nie wspominając już o utrzymywaniu domu w porządku i karmieniu siebie, Astrid i dzieci. Udało jej się złapać Astrid któregoś wieczora po kolacji i zadać jej kilka pytań.

– Zdecydowałaś już, co zrobisz? – zapytała Rose.

– W zeszłym tygodniu byłam u lekarza w Eumeralli – kiwnęła głową dziewczyna. – Zrobił kilka badań. Mówi, że to mniej więcej dwunasty tydzień.

– No dobrze, ale jeśli chcesz zdecydować się na aborcję, zacznasz trochę grać z czasem. Jak się czujesz?

– Już nie jest mi tak niedobrze, tylko czasem trochę rano. – Astrid wyglądała na przybitą. – Bardzo się boję. Chyba zatrzymam to dziecko, ale nie mam pojęcia, co powie Thommo.

– Och. To bardzo odważna decyzja. – Rose próbowała ukryć zaskoczenie. – Będę cię wspierać niezależnie od tego, co się stanie – dorzuciła, aby dodać Astrid otuchy. *Co ja robię? Przecież nie planuję zostać w Kalkari na długo.*

– Dziękuję. – Niania uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Będę pewnie potrzebować twojego wsparcia.



Mark zostawił w kuchni harmonogram swojego wyjazdu, a Leo odliczał dni do jego powrotu. Samolot, wracał jego tata, miał wylądować wczesnym rankiem następnego dnia, a Cameron obiecał, że po wizycie u dystrybutorów w Sydney przyjedzie prosto do doliny, aby zdążyć na obiad z dziećmi.

Rose poświęciła cały poranek na sprzątnięcie domu, zebranie porzuconych zabawek i pluszaków ze wszystkich zakątków i upieczenie udźca jagnięcego z rozmarynem, czosnkiem i czerwonym winem (tym razem dokładnie sprawdziła etykietę) na obiad powitalny na następny dzień. Astrid z Luisą wróciły koło południa.

– Rose, czy mogłabyś podać jej lunch? Chyba się muszę położyć.

Rose kiwnęła głową. Astrid faktycznie wyglądała na zmęczoną.

– Dziękuję ci. Muszę trochę odpocząć.

Może i Astrid była zmęczona, ale Luisę wprost roznosiło i Rose musiała zużyć całe pokłady własnej energii, żeby przekonać ją do położenia się spać po lunchu. Ostatecznie Rose położyła się obok dziewczynki, przeczytała jej kilka bajek i przytuliła, aż wreszcie zamknęły jej się oczy.





Rose obudził nagle głośny hałas dochodzący z dołu. Kolorowe słonie dekorujące ściany sypialni Luise przybrały wyraźne kształty i przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Luisa leżała koło niej, oddychając spokojnie, z zaróżowionymi policzkami i rozchylonymi ustami. Rose popatrzyła na powoli otwierające się drzwi. Stała w nich wysoka, ciemna postać. *Mark!* Serce mocniej jej zabiło na jego widok.

Cameron przyłożył palec do ust.

Kobieta popatrzyła na niego rozkojarzona. Zauważyła fioletowe cienie pod oczami i kilkudniowy zarost na twarzy. Jego wzrok złagodniał, gdy popatrzył najpierw na Luisę, a potem na nią. Potem zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Rozespana Rose wysunęła ostrożnie ramię spod głowy Luisy i poruszyła zdrętwiałymi palcami, po czym na palcach wyszła z pokoju i zeszła do kuchni.

– Wróciłeś wcześniej! – Przetarła ręką zaspane oczy i napawała się widokiem sylwetki Marka. Nawet zmęczony po podróży wyglądał atrakcyjnie. Dlaczego tego nie zauważyła podczas ich pierwszego spotkania? Szerokie barki, ciemne włosy opadające na kołnierzyk koszuli, głębokie zielone oczy.

Zabrała się do zupełnie niepotrzebnego porządkowania już i tak sprzątniętej kuchni, byle tylko na niego nie patrzeć – bała się, że zobaczy, jak się na niego gapi.

– Tak, udało mi się załatwić wszystkie spotkania, więc przebukowałem lot i przyleciałem dzień wcześniej. Nie mogłem się doczekać, aż was wszystkich zobaczę – uśmiechnął się do niej. – Co tam u ciebie?

– Och, wiesz... całkiem nieźle – powiedziała Rose, nagle zbита z tropu. – Jak było? Podobało ci się w mojej ojczyźnie?

– Tak, było intensywnie, ale wydaje mi się, że robimy postępy i jest tam trochę obiecujących perspektyw. Twój rodacy naprawdę wiedzą, jak rozkręcić imprezę – czerwone wino lało się strumieniami. Teraz jednak marzę o prysznicu.

Rose zarumieniła się na myśl o Marku stojącym nago pod prysznicem, a potem niechcący zwizualizowała siebie obok niego i odwróciła się tyłem, żeby nie zobaczył, jak ona się czerwieni. Co ją napadło? Zachowywała się jak zakochana nastolatka! Zupełny absurd. Powinna jednak częściej wychodzić do ludzi.

Usłyszała na schodach kroki Astrid.

– Lepiej się czujesz? – zapytała.

– Dużo lepiej, dzięki – odpowiedziała Astrid. – O, Mark, wróciłeś! Witaj w domu!

– Dzięki, Astrid. Jak dzieciaki? – Cameron pocałował ją po europejsku, w oba policzki. Rose wiedziała, że zachowuje się jak idiotka, ale poczuła zazdrość. Jej nie pocałował na powitanie. – Stęskniłem się za ich buźkami. Nie mogę się doczekać, aż je zobaczę.

– Właśnie jadę odebrać Leo ze szkoły. Rose, czy Luisa jeszcze śpi?

– Tak, ale już czas, żeby zaczęła się budzić. Może pójdziesz na górę i zrobisz jej niespodziankę, Mark? Będzie zachwycona.

Nie trzeba mu tego było dwa razy powtarzać – wyszedł szybko z kuchni i pobiegł schodami na górę. Po chwili usłyszała radosny śmiech Luisy rozbrzmiewający w całym domu.



Łup. Łup. Łup.

Rose z zaskoczeniem poderwała się z kanapy w szopie. Przeglądała kilka magazynów kulinarnych, szukając inspiracji dla dalszych wypieków do Fermentu. Wstała, otworzyła drzwi i zobaczyła bardzo zdenerwowanego Marka.

*O cholera. Musiał się dowiedzieć, że grzebałam w papierach. Dan mu pewnie coś powiedział.* Rose poczuła, jak serce przestaje jej bić. Po czymś takim miał pełne prawo ją zwolnić.

– Czy ja dobrze słyszę, że otworzyłaś kawiarnię? Właśnie rozmawiałem z Danem. Powiedział, że założyłaś własną działalność za moimi plecami – i to jeszcze w winiarni Kalkari. Ciekawe, ale wydawało mi się, że zatrudniłem cię, żebyś pomogła Astrid przy dzieciach i prowadziła dom. – Patrzył na nią gniewnie, z zaciśniętymi w pięści dłońmi i zmarszczonymi w furii brwiami. – Używasz mojego lokalu i handlujesz w imieniu mojej winiarni... i skąd wzięłaś ten ekspres do kawy? Myślałaś, że się nie dowiem? Masz mnie za idiotę? Jak długo zamierzałaś to ciągnąć? Czy w ogóle przyszło ci do głowy, żeby sprawdzić, czy to jest zgodne z prawem? Przecież to się może skończyć w sądzie, na litość boską!

Rose cichutko odetchnęła z ulgą. Nie wiedział, że zalogowała się do komputera w biurze. Ale z drugiej strony zupełnie się nie spodziewała, że wkurzy się o kawiarnię. Głupio założyła, że będzie zadowolony, że ona wykazała się inicjatywą.

– Ja... Ja tylko chciałam pomóc. Wydawało mi się, że to ściągnie ludzi do winiarni i da im jeszcze jeden powód, żeby tu przyjeżdżać. Przepraszam, że ci nie powiedziałam, ale ekspres do kawy dał mi Philippe i od tego w zasadzie wszystko się zaczęło. Jestem certyfikowanym kucharzem! Nie truję ludzi. Zapisywałam wszystko, co wydałam, i zobacz... – Podeszła do parapetu, na którym stał słoik z gotówką, którą zarobili w Fermencie. – Musieliśmy trochę z tego wydać na produkty spożywcze, ale cała reszta jest tutaj. Wydruki z transakcji kartami kredytowymi i debetowymi są w winiarni. To wszystko dla ciebie. – Rose podała mu słoik. Oczy jej błyszczały z gniewu. – Chciałam tylko pomóc. Wiem, jak trudna jest sytuacja.

– Nie potrzebuję ani twojej litości, ani twojej pomocy. – Mark zupełnie zignorował pieniądze, które mu podała. – Będę wdzięczny, jeśli nie będziesz nic robić w przyszłości za moimi plecami i nie będziesz się wtrącać tam, gdzie cię nie potrzebują.

Wyszedł z szopy, trzaskając drzwiami.

Rose opadła na kanapę, nieszczęśliwa i zaskoczona.

*Arogancki dupek.*

Do oczu napłynęły jej gorące łzy, ale wytarła je ze złością.

*A ja myślałam, że będzie wdzięczny za pomoc. Jak mogłam być tak głupia i myśleć, że mnie lubi, chociaż trochę?*

A jak głupio się czuła z powodu swojego pensjonarskiego zauroczenia! Zrozumiałaby, gdyby wściekł się na nią za przeglądanie dokumentacji finansowej, ale za coś takiego?

Skoro Cameron miał zamiar zachowywać się jak skończony dupek, to ona może jednak powiedzieć wszystko Henry'emu i czekać, aż on zrobi z tymi informacjami, co tylko zechce.



Powrót do domu i przygotowanie kolacji wymagało od Rose mnóstwa odwagi. Na szczęście Marka nie było, a dzieci nie zauważyły, że jest przybita. Tylko Astrid spojrzała na nią pytająco.

– Wszystko w porządku? – zapytała cicho nad głową Leo.

Rose kiwnęła głową i spróbowała się uśmiechnąć, ale wiedziała, że nie wypadło to zbyt przekonująco. Od razu po posiłku uciekła do szopy, padła na kanapę, podwinęła nogi i wtuliła się w poduszkę. Co też sobie myślała, wyobrażając sobie dalsze życie w dolinie Shingle? Idiotka. Dlaczego zawsze coś robi, nie myśląc? Impulsywność ponownie wpędziła ją w kłopoty. *Dziewczyno, kiedy ty się wreszcie nauczysz...?*

Usłyszała skrobanie do drzwi i cichy skowyt. Podniosła się z kanapy i podeszła do drzwi. Kiedy je otworzyła, Barnsie podskoczył jej w ramiona i zaczął zlizywać łzy z jej twarzy.

– Och, Barnsie – załkała. – Przynajmniej ty mnie lubisz.

Wróciła na kanapę, a pies usiadł obok niej i położył jej pysk na kolanach. Pogrążona w uczuciu nieszczęścia i dojmującej samotności Rose głaskała go po łbie, patrząc tępo w ścianę.

# Rozdział 18

Następnego ranka, kiedy Rose się ubierała do biegania, wróciło do niej wspomnienie gniewu Marka. Serce jej się ścisnęło, kiedy przypomniała sobie tę upokarzającą konfrontację. Zamknęła oczy, jakby to mogło ukryć ją przed wspomnieniami. Nie chciała wychodzić z szopy, ale zdawała sobie sprawę, że nie może chować się w nieskończoność. Zebrała się na odwagę i postanowiła stawić czoło wszystkiemu, co może przynieść dzień.

Biegając po łuku ścieżki prowadzącej przez wzgórze w kierunku gospodarstwa sióstr Trevelyn, Rose stwierdziła, że nie ma jeszcze ochoty na powrót do Kalkari. Pobiegła więc przez winnice obu kobiet, omijając suchą ziemię między rzędami winorośli i trzymając się trawiastego obrzeża drogi. Wkrótce dobiegła do małego, kamiennego domku i zobaczyła zgiętą wpół kobietę, która pracowała w przydomowym ogródku warzywnym.

– Dzień dobry! – zawołała staruszka.

*Szlag by to trafił.* Teraz niegrzecznie byłoby się nie zatrzymać.

Starsza pani podniosła rękę i pomachała. Rose podeszła do niej i rozpoznała Violet. Staruszka wrywała chwasty spomiędzy główek kapusty. Miała umięśnione, żyłaste ramiona pokryte plamami wątrobowymi.

– Dzień dobry. Pani Trevelyn, prawda? Jestem Rose – przedstawiła się Rose, robiąc przerwę na złapanie oddechu. – Pracuję w Kalkari, u Marka. Widziałam panią w pubie i na targu.

– Tak, kotku, wiem, kim jesteś. Mów mi, proszę, Violet. Miło mi cię poznać, kochanie. Jak sobie tam radzisz?

– Skoro pani pyta, to na chwilę obecną niespecjalnie. – Rose nieoczekiwanie poczuła, że pod powiekami wzbierają jej gorące łzy. Gniewnie przetarła oczy ręką. – Wszystko się zepsuło. Wydaje mi się, że tym razem naprawdę udało mi się dać ciała i nie mam pojęcia, jak to naprawić.

Rose poczuła gwałtowny przypływ emocji – smutku, złości i samotności. To było jak cios w splot słoneczny.

– Może wejdiesz do domu i opowiesz mi o wszystkim przy herbatce? – Staruszka spojrzała na nią współczująco. Było w niej coś, co sprawiło, że Rose miała ochotę się jej zwierzyć.

– Bardzo miło z pani strony, dziękuję – pociągnęła nosem.

Kiedy jej wzrok przyzwyczał się do panującego w domu półmroku, zauważyła, że kuchnia, do której weszła, jest idealnie czysta i przytulna. Na wykładanej kamiennymi płytami podłodze leżał chodnik, a okrągły kuchenny stół stał pod oknem. Violet zaprosiła Rose gestem do zajęcia miejsca, wyjęła z lodówki mleko i nasypała liści herbaty do imbryka.

– No. Kiedy się to wszystko zaczęło?

Troska staruszki sprawiła, że Rose poczuła się nieco lepiej.

– Hmm, nie wiem, czy pani słyszała, ale na długi weekend otworzyłam winiarnię w Kalkari i zorganizowałam taką jakby małą kafejkę z kawą i ciastem. Wydawało mi się, że Mark doceni nawet tę małą kwotę, którą udało nam się zarobić. Nie miałam pojęcia, że tak zareaguje. Kiedy się dowiedział, dostał szału. Wiem, że powinnam mu była o tym powiedzieć, zanim się do tego zabrałam, ale on wyjechał, a ja uznałam, że to będzie dla niego miła niespodzianka po powrocie. Teraz jednak wydaje mi się, że to kiepski pomysł.

– No już, już, kotku. Jestem pewna, że wcale nie jest tak źle. On zawsze był dumny. Znam go, od kiedy był dzieckiem, od kiedy jego rodzice prowadzili Lilybells – odpowiedziała Violet.

– Ależ to największa wytwórnia w dolinie! Nie wiedziałam, że on się tam wychowywał, nigdy o tym nie wspomniał. – Rose była zupełnie zaskoczona. – Dlaczego nie jest tam? Co się stało?

– Jego ojciec był genialnym winiarzem, ale mniej genialnym biznesmenem. Finanse go przerosły. Sprzedali Lilybells tuż po tym, jak Mark skończył szkołę średnią. Ale powiedzieli mu o tym dopiero, kiedy wrócił po roku spędzonym we Francji. Chyba nigdy im tego nie wybaczył.

Rose nagle zaczęła rozumieć pewne rzeczy. Nic dziwnego, że Mark nie znosił, gdy coś się działo za jego plecami, i że był tak wrażliwy na kwestie finansowe.

– To musiało być dla niego bardzo trudne. Teraz już rozumiem, dlaczego tak kocha to miejsce. Ma je w genach.

– Wyjechał z doliny i nie wracał przez całe lata. Jego rodzice też się wyprowadzili. Wydaje mi się, że wyjechali na wybrzeże i prowadzą tam hotel.

– To co go tu ściągnęło?

– Tak naprawdę to nie wiem. Kalkari było na sprzedaż już od dawna, ale nie było chętnych. Posiadłość była naprawdę podupadła – winnice w strasznym stanie, a i dom był mocno zniszczony. Mark wrócił tu po zaraz po ślubie z Isabellą, odbudował wytwórnię i posadził nowe krzewy w starych winnicach. One dopiero teraz pokażą swoją wartość. Wkrótce o Kalkari będzie głośno, zapamiętaj moje słowa. Szkoda jednak, że Isabella odeszła, i to w taki sposób. Od jej wyjazdu nie widziałam, żeby się uśmiechał. To też może wyjaśniać, dlaczego tak się rozłościł – pewnie wciąż to przeżywa.

– Hmm, może – odpowiedziała Rose. – Jak długo pani tu mieszka? – zapytała. Była ciekawa, jakim cudem Violet wie aż tyle o wydarzeniach w dolinie.

– Obie z Verą urodziłyśmy się i wychowałyśmy w dolinie. Tę ziemię uprawiali nasi rodzice, a potem przekazali ją nam. Winorośl uprawia się tu od ponad siedemdziesięciu lat. My dla winogron jesteśmy tylko położnymi. Tak naprawdę ta ziemia nie należy do Very i do mnie, ale my do niej. Wydaje mi się, że i ty możesz odkryć, że tu przynależysz, Rose. Widuję cię tu wczesnym rankiem, a z tego co mówi Brenda, dzieciaki też cię lubią – powiedziała Violet. Jej spojrzenie było bardzo przenikliwe.

Rose pociągnęła wielki łyk herbaty. Nie bardzo wiedziała, jak rozumieć uwagę Violet. Miło było wiedzieć, że pani B ją docenia, ale jak ta staruszka mogła wiedzieć, gdzie Rose tak naprawdę przynależy?

– Nigdy nie wyszła pani za męża? – zapytała siostra Henry'ego i natychmiast pożałowała tak bezpośredniego pytania, ale Violet nawet nie mrugnęła okiem.

– Był taki jeden, kiedyś... – Głos staruszki ucichł. – Ale nic z tego nie wyszło. I oto tu jesteśmy, dwie

stare kwoki, które ciągle jeszcze gdaczą – zachichotała sama do siebie. – Jeszcze herbaty, kotku? – Violet podniosła imbryk i wysunęła go w kierunku Rose, która rzuciła okiem na zegarek.

– Rany boskie, muszę wracać. Bardzo dziękuję za wszystko – za wysłuchanie i za, no, sama pani wie.

– Nie ma sprawy, kotku. Miło jest z kimś porozmawiać. Markiem się nie przejmuj. Wkrótce wróci mu rozsądek. Z tego, co widzę, nie zrobiłaś nic bardzo złego.

Wstając rano, Rose uzmysłowiła sobie, że jednak zrobiła coś bardzo złego – zgodziła się szpiegować dla swojego brata. Rozmowa z Violet przyniosła jej ulgę, ale z drugiej strony przypomniła też o konflikcie lojalności. Nie zwlekając dłużej, ruszyła ścieżką z powrotem do Kalkari.



Po powrocie Rose wpadła na Astrid.

– Jakież wieści?

– Thommo ma wrócić w przyszłym tygodniu. To wcześniej, niż się spodziewałam. – Dziewczyna przygryzła wargę i wyglądała na zmartwioną.

– Co zrobisz? Powiesz mu?

– Chyba tak. Boję się, Rose. – Astrid podświadomie osłoniła ledwie widoczny brzusek opiekuńczym gestem.

– Wiem, kochana, ale czasem sprawy nie kończą się tak źle, jak się tego obawiamy – próbowała ją pocieszyć. – Nigdy nie zgadniesz, kogo spotkałam dziś rano – zmieniła temat.

– Kogo?

– Violet Trevelyn.

– Tę wiedźmę z doliny?

– Hej, ona nie jest wiedźmą!

– Jest, jest. I ona, i jej siostra są dziwne, nie sądzisz? Przypominają mi trzy wiedźmy z „Makbeta”, tyle że ich jest dwie – parsknęła śmiechem Astrid.

– Może i tak, ale była dla mnie bardzo miła.

– Czy dała ci eliksir, który wprawi Marka w lepszy nastrój? Co się w ogóle dzieje? Słyszałam wczoraj wieczorem jego głos dobiegający z szopy, a kiedy wrócił do domu, wyglądał na wściekłego... A propos, zabrał dzieciaki gdzieś samochodem i powiedział, że nie wrócą aż do kolacji. To zupełnie do niego niepodobne, szczególnie że tak długo go nie było. Myślałam, że pobiegnie prosto do wytwórni, a nie robi sobie dzień wolny.

– Boże, Astrid, dowiedział się, że otworzyłam winiarnię, i dostał szału. Wiem, że powinnam to była z nim uzgodnić, ale nie sądziłam, że będzie aż tak zły.

– Ach, więc to o to chodzi. I co teraz zrobisz?

– Nie wiem. Chyba będę musiała sobie poszukać innej pracy.

– Nie wygłupiaj się! Dzieciaki cię uwielbiają, a Kalkari dzięki tobie nareszcie odżyło. Wszystko się rozejdzie po gnatach, zobaczysz.

– Chyba masz na myśli „po kościach” – odpowiedziała Rose. – I nie jestem pewna, czy się rozejdzie.



Nie minęło dużo czasu, a Rose znów wpadła na Marka. Późnym wieczorem usłyszała trzaśnięcie drzwi frontowych i kroki na kamiennych płytach w korytarzu. Kiedy wszedł do kuchni, podniosła wzrok. Mężczyzna wyglądał na zdruzgotanego. Ewidentnie w dalszym ciągu cierpiał z powodu jet lagu.

– Cześć, Rose – popatrzył na nią ze skrepowaniem.

– Cześć – odpowiedziała chłodno.

– Słuchaj, przepraszam, że tak na ciebie najechałem wczoraj wieczorem. Teraz rozumiem, że próbowałaś zrobić coś dobrego. Dan mi wszystko wyjaśnił. Przepraszam. Jestem zmęczony i, wiesz, dzieje się bardzo dużo rzeczy, które nie mają z tobą nic wspólnego.

– Mhm, jasne, rozumiem. Dobrze, że to się wyjaśniło. – Rose odwróciła się z powrotem do kuchenki. Wyładowywała frustrację i złość, próbując usunąć z płyty nagromadzony przez lata brud. – Chciałam tylko pomóc.

– Teraz to widzę i doceniam, naprawdę. Sytuacja jest obecnie nieco trudna – przerwał na moment. – Wczoraj wieczorem zadzwoniła Isabella. Nie spodziewałem się tego. Wróciła do Sydney i chciała zobaczyć się z dziećmi. To właśnie tam dziś pojechaliśmy. To było dla nich bardzo trudne, zwłaszcza dla Leo. Całą drogę do domu nie odezwał się ani słowem. Martwię się o niego.

Rose ukryła swoje zaskoczenie. Myślała, że Isabella jest w Hiszpanii.

– O rany, biedny Leo. A co z Luisą? Jak długo Isabella zostaje? Czy tu wraca? – Rose nie była pewna, czy chce poznać jego żonę. Jeśli prawdą było to, co mówiły Astrid i pani B, wołała omijać ją szerokim łukiem.

– Nie jestem pewien. – Mężczyzna nalał sobie kieliszek wina ze stojącej na kredensie butelki i usiadł na krześle. – Z Luisą wszystko w porządku. To straszne, ale wydaje mi się, że ona nie pamięta swojej mamy. Była w końcu zupełnie malutka, kiedy Isabella odeszła. Dziś moja żona strasznie się nad dziećmi rozpływała i to chyba ich przerosło. Oboje mają swoje powody, aby zachować wobec niej ostrożność; Luisa, bo tak naprawdę jej nie zna, a Leo, bo ją pamięta i ani nie rozumie, dlaczego odeszła, ani nie może jej tego wybaczyć. To go zupełnie złamało. Chciałbym wiedzieć, co mam zrobić. Chryste, ale bajzel.

Rose była zaskoczona zwierzeniami Marka, szczególnie po tym, jak dzień wcześniej na nią nawrzeszczał, ale uznała, że pewnie nie ma wielu osób, którym mógłby się zwierzyć. Nie udało jej się jednak porozmawiać z nim dłużej, bo do kuchni weszła Astrid ze zmęczonymi dziećmi, które chciały się czegoś napić przed snem.

Rose czuła mętlik w głowie. Sama przed sobą musiała przyznać się do absurdalnej zazdrości o to, że Isabella może wrócić do życia Marka. Absurd. Nie miała prawa czuć zazdrości. Ale już drugi raz w ciągu dwóch dni poczuła, że jej praca i radosne życie w Kalkari są zagrożone.

Kiedy jej szef wyjechał, pozwoliła sobie na małą i (jak przyznawała sama przed sobą) rozpaczliwie nielogiczną fantazyjkę, że on wróci i powie jej, jak bardzo za nią tęsknił. Miała wizję, jak Cameron porywa ją w ramiona, i to ta wizja napędzała ją podczas gotowania i sprzątanego, spieniania mleka do cappuccino i wycierania okruchów. Teraz czuła się jak kompletna kretyńka. Jej romantyczna fantazja nie miała żadnego uzasadnienia w rzeczywistości – szczególnie po tym, jak zachował się wobec niej po

powrocie.

*W jakim wieku człowiek przestaje się głupio zakochiwać, zastanawiała się ponuro. Przecież  
powinnam już z tego wyrosnąć.*



kwitnąć

czasownik

wypuszczać kwiaty (rośliny); rozkwitać

# Rozdział 19

Kilka dni później Mark dołączył do Rose podczas porannego biegu. Powietrze było chłodne, ale niosło ze sobą zapowiedź upalnych dni. Wszędzie wokół otwierały się skręcone zielone liście, ożywiając sękaty krzewy winorośli. Wśród takiego piękna trudno było być nieszczęśliwą.

– Pokonałeś w końcu jet lag? – wysapała.

– Tak, w nocy spałem jak zabity. Ale muszę wrócić do formy. Nie mogę pozwolić, żebyś miała nade mną przewagę.

– Tak jakby były na to szanse – odpaliła Rose, choć w duchu spodobała jej się myśl, że mogłaby go prześcignąć.

Kiedy biegli z powrotem do domu, Cameron ponownie ją zaskoczył.

– W przyszłym tygodniu muszę pojechać do miasta. Moi dystrybutorzy zorganizowali kilka spotkań, a w sobotę wieczorem będzie kolacja. Chciałabyś pojechać? Chyba przyda ci się przerwa. Pracowałaś tu bardzo ciężko, a poza tym chciałbym cię przeprosić za to, że wtedy tak źle cię potraktowałem.

– O – wzruszyła ramionami Rose. Nie była pewna, czy już mu w stu procentach przebaczyła. – Faktycznie zrobiłeś mi przykrość. Naprawdę tylko chciałam pomóc.

W duchu skrzyżowała palce za plecami. W tym akurat przypadku faktycznie próbowała mu pomóc.

– Wiem, Rose, i jest mi naprawdę przykro. – Mark spojrzał na nią tak żałośnie, że resztki gniewu stopniały w niej jak śnieg na wiosnę.

– Dobrze, bardzo chętnie. Bardzo miło z twojej strony. Cudownie będzie znów zobaczyć Sydney. – Rose uśmiechnęła się, ale potem coś ją tknęło. – Jak powinnam się ubrać na tę kolację?

– Pewnie w jakąś sukienkę – odpowiedział sucho Mark. – Jestem pewien, że będziesz dobrze wyglądała niezależnie od tego, co na siebie włożysz. Kolacja jest w Oceanii, na samym nabrzeżu. Powinno ci się spodobać.

Siostra Henry'ego uśmiechnęła się promiennie, zachwycona perspektywą wycieczki i eleganckiej kolacji. Ogromnie polubiła dolinę, ale niewielka odmiana nigdy nie zaszkodzi.

Szybko pobiegła do szopy, żeby się przebrać, po czym wróciła do domu, aby przygotować śniadanie. Leo był nadal milczący i jadł swoje grzanki, jakby na całym świecie nic innego nie istniało. Luisa z kolei gadała jak najęta, pytając co chwilę, kiedy wróci mamusia. Leo krzywił się za każdym razem, gdy jego siostra mówiła „mama”.

– Nie martw się, kochanie, wróci, zanim się obejrzysz – powiedział Mark pospiesznie, jedząc płatki. Po śniadaniu złapał swój kubek z herbatą i wyszedł sprawdzić krzewy winorośli, które były właśnie w kluczowym momencie kwitnienia. Po jego wyjściu Rose opowiedziała Astrid o zaproszeniu.

– Ależ masz szczęście! Też bym chciała wyjechać na kilka dni. W co się ubierzesz?

– Nie wiem. Nie spakowałam przecież do plecaka sukni balowej.

– Tym się nie przejmuj. Mam sukienkę, którą możesz pożyczyć. Jesteś teraz tak chuda, że będzie doskonale pasować. Ja raczej jej nie włożę przez jakiś czas. – Astrid spojrzała na swój lekko wypukły brzuch.

– Nie zalewaj, jestem wyższa od ciebie – zaprotestowała Rose.

– Czego mam nie zalewać? Żartujesz sobie, prawda? Patrzyłaś ostatnio w lustro? – zapytała niania.

Faktycznie, kiedy Rose przymierzyła sukienkę, pasowała idealnie. Musiała też przyznać, że pięknie w niej wygląda – nawet bez butów, bez makijażu i z odgarniętymi niedbale do tyłu włosami.



W kolejny piątek Mark i Rose wyruszyli z Kalkari bladym świtem. W Sydney Cameron zostawił ją w hotelu i obiecał zjawić się po nią wieczorem, po czym ruszył na spotkania z dystrybutorami. Rose zrzuciła buty i zrobiła piruet w nieskazitelnie czystym pokoju, po czym padła na łóżko i zagrzebała się w miękkie poduszki. Kiedy odsunęła przejrzyste zasłony, nie mogła oderwać wzroku od niesamowitego widoku, jaki roztaczał się z czterdziestego piątego piętra. Tuż pod nią znajdowały się białe żagle budynku Opery, a po lewej widziała stalowe łuki Harbour Bridge. Między nimi migotała w słońcu niebieska woda. Raj!

Powiesiła pożyczoną od Astrid sukienkę w szafie i spojrzała w lustro. Najwyższy czas zrobić coś z włosami – przez te kilka miesięcy w dolinie zrobiły się zupełnie nieposkromione, a teraz wisały jej na plecach wielką, zaniedbaną kaskadą. Szybki telefon do recepcji i już była umówiona na popołudnie w pobliskim salonie fryzjerskim.

Najpierw jednak musiała załatwić kilka innych rzeczy. Może i rozmiar ubrań miała teraz taki, jak Astrid, ale niestety rozmiarem buta mogła się poszczycić sporo większym. Postanowiła sprawić sobie nowe buty – nawet jeśli nie była pewna, kiedy je ponownie założy. Konsjerż skierował ją do galerii handlowej Pitt Street Mall. Nowe buty to gwarancja dobrego samopoczucia – co do tego nie było wątpliwości.

Relaksowała się właśnie u fryzjera, kiedy zadzwonił Mark. Będzie na nią czekał w lobby punktualnie o szóstej.

O wyznaczonej godzinie wyszła z pokoju, czując w żołądku trzepotanie, jakby połknęła motyla. Opanowała się, ale kiedy otworzyły się drzwi windy, zaparło jej dech. Niemal sama się nie poznała – w ogromnym lustrze w windzie odbijała się wysoka, smukła piękność. Sukienka Astrid spowijała jej ramiona jak pajęczyna, a niżej przylegała ściśle do bioder i wymodelowanych podczas porannych treningów pośladków. Odwróciła się, żeby zobaczyć, jak wygląda z tyłu.

*Pippo Middleton, nie masz szans!*

Astrid była sporo niższa od Rose, więc sukienka, która jej sięgała pewnie kolan, u Rose kończyła się ledwie w połowie uda. Nowe sandały na obcasach sprawiały, że jej nogi wydawały się nie mieć końca. Włosy, w końcu ułożone w lśniące fale, opadały jej miękko na ramiona. Rose była pewna, że gdyby Giles ją teraz zobaczył, dwa razy by się zastanowił przed wyjazdem do tej zakichanej Brukseli. Nie była pewna, czy nawet Henry by ją teraz poznał. Brat zresztą zawsze wytykał Rose, że nie dba o swój wygląd.

Tłumaczył jej, że spędza za dużo czasu w białym kucharskim kitlu i włosami upchniętymi pod czepkiem. Kiedy teraz widziała swoje odbicie – a zawsze wydawało jej się, że tak mogą wyglądać tylko dziewczyny, które już urodziły się eleganckie – z trudem powstrzymała się przed zrobieniem sobie selfie i wysłaniem go bratu.

Idąc przez lobby (próbowała nie zabić się na obcasach, do których nie była przyzwyczajona), zauważyła Marka. Był pogrążony w rozmowie z dość przysadzistym mężczyzną, którego łysą czaszkę bezskutecznie próbowały zasłonić zaczesane pasma rzadkich, siwych włosów. Obaj mieli na sobie smokingi.

– Hej, Mark – powiedziała nieśmiało, podchodząc do nich. Mężczyzna niemal przetarł oczy na jej widok, tak samo, jak ona w windzie. Przyglądał jej się z niedowierzaniem.

– Ależ ona ma nogi! – zahuczał przysadzisty mężczyzna i gwizdnął cicho. Mark odzyskał głos.

– Rose, poznaj Angusa McGilligota. Jest prawdopodobnie najważniejszym autorem tekstów o winie w Australii.

Ton Marka był jowialny, ale Rose wydawało się, że wyczuwa w nim sarkazm. Słyszała ten ton już wcześniej, w Kalkari, kiedy przekomarzał się z Luisą.

– Opuść to „prawdopodobnie”, chłopie! – huknął Angus. Z bliska Rose widziała siateczkę czerwonych żyłek, które pokrywały jego policzki, i przerażająco bulwiasty nos, który wyglądał, jakby ktoś na chybił trafił przykleił jego właścicielowi do twarzy kawałek plasteliny.

– Wybacz, Angus, ale nie mogę pozwolić, żebyś wbił się w dumę – roześmiał się Cameron i klepnął Angusa w plecy. – Angus pojedzie z nami taksówką do restauracji.

– Miło mi cię poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział pisarz i ponownie zlustrował jej nogi, po czym złożył na policzku Rose mokry pocałunek. – Ekstra kiecka.

Rose nie była pewna, czy taka bezpośredniość jej się podoba, ale z drugiej strony zirytowało ją, że Mark nawet nie skomentował jej wyglądu. Mógł przynajmniej powiedzieć jej coś miłego – w końcu naprawdę się postarała. Głównie dla niego. Przede wszystkim dla niego.

# Rozdział 20

Kiedy przybyli do restauracji, panował w niej już gwar, a kiedy szli do baru, w powietrzu dało się wyczuć atmosferę oczekiwania. Rose zauważyła, że kilku gości na widok Marka przerwało rozmowy. Cameron podał jej wysoki kieliszek szampana, objął ją lekko, nachylił się i szepnął:

– Nie chciałbym, żebyś czuła się porzucona, ale wiele osób będzie chciało ze mną dziś wieczorem porozmawiać. Poradzisz sobie, prawda?

Boleśnie świadoma ciepła jego dotyku kiwnęła głową, chociaż w morzu nieznajomych ludzi wcale nie czuła się tak pewna siebie, na jaką wyglądała. Ramię Marka zniknęło z jej pleców i zadrżała.

– Nie martw się, Mark, zajmę się nią – powiedział Angus. – Chodź ze mną, Rosie.

Kobieta wzięła głęboki wdech i pozwoliła, aby podprowadził ją do grona nieznanych osób.

– Ta ślicznotka jest gościem Marka – powiedział Angus porozumiewawczo, kładąc nacisk na słowo „gościem”. Rose nie podobał się podtekst w jego tonie, ale postanowiła go zignorować i być uprzejma. Angus zaczął przedstawiać jej stojących wokół niego ludzi.

Kilka kieliszków szampana później, wysłuchawszy przydługiej, ale mimo wszystko zabawnej anegdotki Angusa, w której główną rolę odgrywał traktor, pompa i wiele litrów soku winogronowego, Rose zauważyła, że goście zaczynają się przemieszczać w kierunku przykrytych śnieżnobiałymi obrusami stołów. Nie mogła się doczekać, aż skosztuje przygotowanych potraw. Strasznie dużo czasu minęło, od kiedy jadła posiłek w eleganckim lokalu, i bardzo ją ciekawiło, czy renomowane restauracje w Sydney są faktycznie tak dobre, za jakie uchodziły.

Usiadła przy długim stole niedaleko Marka i na szczęście w pewnej odległości od łypiącego na nią lubieżnie Angusa. Odchyliła się na oparcie krzesła, a kelner teatralnym gestem ułożył nakrochmaloną białą serwetkę na jej kolanach.

Pierwsze danie – małe kawałeczki ostrygi i kuleczki kawioru otoczone pianistym, zielonym sosem – nie zawiodło jej oczekiwań.

*Och, to będzie dobry wieczór.*

Podane do tego dania chardonnay z Kalkari doskonale pasowało do bogatego w smaku, ale delikatnego dania – lekkie nuty dębu i owoców pestkowych pięknie równoważyły smak owoców morza. Rose niemal jęknęła z przyjemności przy pierwszym kęsie, zupełnie ignorując toczony wokół rozmowy. Przymknęła na moment oczy, poddając się fali smaków. Kiedy rozchyliła powieki, zobaczyła, że przygląda jej się Mark, a kąciki ust drgają mu z rozbawienia. Odpowiedziała uśmiechem i przymknęła jedno oko w subtelnym mrugnięciu, świadoma, że jej satysfakcja z przystawki została zauważona.

Każde kolejne danie stanowiło feerię nowych wrażeń i smaków. Rose rozluźniła się i dobrze się bawiła, rozmawiając wesoło z sąsiadami i sącząc doskonałe wina. Nim się obejrzała, już podawano

kawę, a Marka poproszono o zabranie głosu. Wraz z pozostałymi gośćmi słuchała jak urzeczona, kiedy opisywał wina, poszczególne roczniki i obrane na ten rok cele dla produkowanych win. Rozpoznawała przebłęski pasji, z jaką rozmawiał z nią o winach w szopie w Kalkari, ale patrzeć na niego, kiedy w smokingu stał przed zgromadzonymi gośćmi, którzy chłonęli każde jego słowo, było zupełnie nowym przeżyciem. Kiedy skończył mówić, chciała wstać i wiwatować. A następnie zawlec go do pokoju, gdzie będzie tylko ona i duże łóżko... Wino pozbawiło ją zahamowań i nagle zdała sobie sprawę, że kompletnie zadurzyła się w swoim pracodawcy.

*Rany boskie, tylko tego mi potrzeba.*

Cameron zszedł z podium między bijących wciąż brawo ludzi. Przechodził między stołami, stając tu i tam, by zamienić kilka słów i podzielić się anegdotkami. Kiedy zbliżył się do Rose, musiała się powstrzymać, żeby go nie uściskać i nie pocałować prosto w usta, nie bacząc na konsekwencje.

– To było wspaniałe, Mark.

– Ale co? Jedzenie, wino czy ja? – zapytał beczelnie. Nie poznawała humorzastego szefa, do którego się przyzwyczaiła. Zarumieniła się.

– Tylko żartuję, Rose. Widać było, jak bardzo smakuje ci jedzenie. Możemy już iść, jeśli chcesz. Jestem wykończony.

Uskrzydłona tym cudownym wieczorem, jedzeniem, winem i zaskakująco dobrym towarzystwem – Angus wcale nie był tak lubieżny, jak się początkowo obawiała – Rose czuła się na siłach tańczyć na stole do białego rana. Z drugiej strony chciała wydostać się z tego tłumy, mieć Marka dla siebie, poluzować mu krawat, przesunąć palcami po koszuli, rozpiąć guziki, położyć mu rękę na sercu i poczuć, jak zaczyna ono bić szybciej...

– Jeśli się pospieszymy, to uda nam się uniknąć towarzystwa Angusa. – Mark wskazał ruchem głowy pisarza, który dzielnie dotrzymywał towarzystwa kilku butelkom Assignment. Rose opanowała rozszalałe myśli.

– Tak, oczywiście. Chodźmy.

Pożegnali się szybko z dystrybutorem Camerona i podziękowali szefowi sali, po czym wymknęli się do oczekującej taksówki. Na szczęście jazda do hotelu była krótka. Rose czuła narastające w taksówce napięcie, ale także bliskość, w której nie potrzeba było żadnych słów. W tym momencie wszystko wydawało się możliwe.

– Napijesz się jeszcze czegoś? – zapytał swobodnie jej szef, kiedy weszli do hotelowego lobby.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała Rose. Nie chciała, żeby ten wieczór się już skończył.

Po drodze do baru zajrzała do łazienki. W lustrze zobaczyła zarumienioną, radosną, nieznajomą osobę. Oczy lśniły jej od wypitego wina.

*Uważaj. To niebezpieczne. To wcale nie jest dobry pomysł. Nie rób nic głupiego, czego mogłabyś rano żałować.*

W oczach miała jednak błysk, który wskazywał na zupełnie inne zamiary. Nie chciała słuchać podszeptów rozumu, który nakazywał jej ostrożność, rozwagę i trzymanie się z dala od kłopotów. Woląла komunikat, który jej serce wybijało jak werbel.

Znalazła Marka na wygodnej kanapie przed rozpalonym kominkiem. Na stoliku przed kanapą stały dwie szklaneczki z whisky.

– Moja grzeszna przyjemność – powiedział bez cienia poczucia winy w głosie.

Rose zaczęła wyobrażać sobie inne grzeszne przyjemności. Ciepło, które czuła, nie pochodziło tylko od alkoholu. Usiadła obok Camerona i stuknęli się szklaneczkami.

– Dzięki za wspaniały wieczór. Doskonale się bawiłam.

– Mimo tego, że Angus McGilligot rozbierał cię wzrokiem?

– Uroczy misiek – roześmiała się Rose.

– Naprawdę? – Mark uniósł brew. – Mam nadzieję, że wiesz, że on może zapewnić każdemu winiarzowi sukces albo kompletną klępkę zaledwie kilkoma zdaniem. Nie należy go lekceważyć.

– Ciebie też nie – odpowiedziała bez namysłu.

Jak własny język mógł ją tak zdradzić? W głębi duszy Rose była jednocześnie przerażona i podekscytowana. Ewidentnie wino i doskonałe jedzenie nadmiernie ją rozluźniły.

– Cieszę się, że tak myślisz. – Cameron popatrzył jej w oczy z rozbawieniem. Rose stwierdziła, że nie może oderwać wzroku od jego oczu. Poczwała, jak rumienią jej się policzki, a w brzuchu czuje ciepło. W głowie usłyszała sygnał alarmowy. Wiedziała, że to, co bez wątpienia zaraz będzie miało miejsce, będzie pod każdym względem dużym błędem, ale kiedy Mark nachylił się w jej stronę i łagodnie musnął jej usta wargami, była zupełnie bezsilna. Czas się zatrzymał. Słyszała tylko dudnienie krwi w żyłach. Czuła jedynie jego usta na swoich. Przysunęła się do niego, obejmując go ręką za szyję, przesuwając dłonią po włosach. Były zaskakująco miękkie. Przyciągnęła go do siebie w długim, wygłodniałym pocałunku.

Odsunął się lekko, a Rose nabrała powietrza.

*Dobry Boże.* Ten człowiek całował jak mistrz świata.

– Wyglądasz dziś olśniewająco – powiedział cicho. Położył jej palec pod brodą i przechylił głowę do tyłu, ponownie nachylając się do jej ust. Poddała się pragnieniu jego warg...

*TRZASK!*

Odkoczyli od siebie jak oparzeni.

Barman upuścił na kontuar kieliszek, który rozprysnął się w setki drobnych kawałków. Ten dźwięk ich otrzeźwił, a Rose nagle poczuła, że nie może spojrzeć Markowi w oczy. Bała się tego, co się wydarzy, jeżeli ona na to pozwoli.

– Dzięki za drinka i za wszystko. Lepiej już pójdę – wyjąkała, złapała torebkę i ruszyła w kierunku lobby. Nie dała mu szansy, żeby ją zatrzymał.

W pokoju zsunęła lśniące szpilki i rozpięła sukienkę, która opadła na podłogę. Wciągnęła starą koszulkę, spięła włosy w koczek i padła na łóżko, patrząc w sufit. Rozważna część jej duszy argumentowała, że cudem udało jej się wyjść z tej sytuacji. Przynajmniej raz nie działała impulsywnie. Dlaczego więc czuła się taka nieszczęśliwa?

# Rozdział 21

Rose obserwowała, jak Astrid wierci się na łóżku, sapiąc z frustracji. Były w pokoju niania. Siostra Henry'ego zrobiła trochę miejsca na łóżku, żeby Astrid mogła się położyć, na próżno próbując dopiąć dzinsy.

– Nie da się tego ukryć. Zaczyna być widać, kochanie – powiedziała.

– Uuuuf – stęknęła Astrid, szarpiąc za oporny suwak. – Ależ się czuję nabrzmiała. Ale przynajmniej nie mam już porannych mdłości. Wręcz przeciwnie, cały czas jestem głodna.

– Za to po prostu promieniejesz. – Rose próbowała poprawić jej humor.

Astrid w końcu się poddała, ze stosu na toalecie wygrzebała gumkę recepturkę, po czym nałożyła jeden koniec na guzik od spodni, a drugi przewlokła przez dziurkę.

– Ha – powiedziała triumfalnie. – To musi wystarczyć, aż uda mi się wyskoczyć do New Bridgeton po większe spodnie.

– Jesteś pewna, że chcesz zatrzymać dziecko? – zapytała Rose, poruszając temat, który zaprzętał jej myśli.

– Nie wygłupiaj się. Oczywiście. – Dziewczyna pozostawała nieugięta. – Za późno już na aborcję, a nie oddam go do adopcji. Nie mogłabym.

– Dobrze przynajmniej, że wiesz, czego chcesz. Ale co z Thommo? Wrócił parę dni temu. Kiedy się z nim spotkasz?

– Zadzwoił od razu z lotniska, ale spanikowałam i nie odebrałam. Nie miałam pojęcia, co mu powiedzieć.

– Lepiej złapać byka za rogi – poradziła jej Rose. – Powiedz mu, zanim zrobi to ktoś inny – sama wiesz, jak w takich miejscach rozchodzą się plotki.

– Ale przecież nikt poza nami o niczym nie wie. – Astrid wyglądała na zaniepokojoną.

– Wiem, i obiecałam, że dochowam tajemnicę. Możesz mi ufać. Niemniej jednak na twoim miejscu pogadałabym z nim jak najszybciej – ostrzegła Rose.

– Tak, masz rację. Zadzwoię do niego później. – Dziewczyna spojrzała na zegarek. – Lepiej pójdę i zobaczę, czy Luisa się obudziła.

Od momentu wizyty u matki dzieci zachowywały się nieswojo. Luisa była niegrzeczna, nie dawała się opanować i awanturowała się częściej niż zwykle. Leo z kolei zupełnie się wycofał, zamykał się w swoim pokoju i spędzał całe godziny nad iPadem, ignorując cały świat. Nawet Barnsie czuł się porzucony, bo Leo przestał się z nim bawić; szczeniak spędzał więc dnie na werandzie, śpiąc na słońcu. Chłopiec ożywał się tylko w obecności ojca, ale Mark znowu był ostatnio nieobecny, bo spędzał całe dnie w winnicy, kontrolując swoje cenne winorośle.



– Szczerze mówiąc, już teraz czuję się jak matka, opiekując się Leo i Luisie. Ile więcej kłopotów mogłoby mi sprawić własne dziecko? – zauważyła Astrid.

– Może i masz rację, ale co z nocnym karmieniem?

– Uuuuu, lubię sobie pospać – skrzywiła się Astrid.

– Poradzisz sobie. Na pewno – powiedziała Rose. Wiedziała, że Astrid potrzebuje kogoś, kto by ją wspierał – i teraz, i w nadchodzących miesiącach.



Słońce już zachodziło, a ptaki wracały do gniazd, kiedy dziewczęta ruszyły wąską drogą do Eumeralli. Winorośle po obu stronach drogi pokryte były siatkami ochronnymi i wyglądały jak panny młode w dzień ślubu. Rose ściszyła radio.

– Co mu powiesz? Jak zaczniesz? Pokażesz mu malutkie buciki?

– Nie nabijaj się ze mnie – jęknęła Astrid. – Już wystarczająco się denerwuję.

– Wiem, kochanie. Po prostu staram się trochę cię rozchmurzyć. Nigdy nie wiadomo, może nie będzie tak źle, jak się spodziewasz.

– Hrumpf – powiedziała dziewczyna. Nie wyglądała na przekonaną.

Pub był pełen ludzi, ale Rose szybko wypatrzyła Thommo, Charliego, Deano, Micka i Angie przy stoliku w rogu. Pomachała do nich, po czym obie poszły najpierw zamówić coś do picia.

Thommo podniósł się i ruszył za Astrid. Podchodząc, objął ją w pasie.

– Astrid, ślicznotko! – pocałował ją w policzek, kiedy odwrócił się w jego stronę. – Stęskniłem się za tobą... O rany! A co ty tu masz, wpadłaś? – Dłoń Thommo natrafiła na brzuch Astrid sterczący nad paskiem dżinsów. Dziewczynie łzy nabiegły do oczu.

– Skąd możesz to wiedzieć? – spytała wstrząśnięta.

Rose zauważyła, jak Astrid wyrwała się z objęć Thommo i ruszyła w stronę drzwi. Chłopak popatrzył pytająco na Rose i pobiegł za nią. Thommo otworzył z rozmachem drzwi pubu i krzyknął za Astrid:

– Hej, ja tylko żartowałem! Nie gniewaj się! Znasz mnie, zawsze coś palnę. Nie chciałem cię obrazić, tylko żartowałem, serio.

Astrid była już w połowie drogi do samochodu, ale zawróciła i stanęła z Thommo twarzą w twarz.

– Wcale nie palnąłeś. Naprawdę jestem w ciąży. Zgadnij, kto jest ojcem?

Rose stała za nimi w milczeniu, niepewna, czy nie powinna interweniować. Mijały sekundy. W końcu na twarzy Thommo pojawił się wyraz olśnienia.

– Coooo? Co ty mówisz? Nie wierzę. Jak to możliwe? Od miesiący mnie tu nie było. A poza tym to był tylko raz – wybełkotał. – To po prostu niemożliwe.

– Obawiam się, że jednak możliwe. Ja również tego nie planowałam. Jeśli cię to w ogóle obchodzi, to mój świat również został wywrócony do góry nogami. – Astrid z widocznym gniewem ruszyła do samochodu. – Możemy jechać, Rose? Proszę!

– Jasne, jeśli tego chcesz. – Kobieta otworzyła drzwi samochodu. Odwróciła się do Thommo. – Sorry, chłopie. Daj jej chwilę, żeby ochłonęła, dobrze? Chyba planowała powiedzieć ci to w inny sposób.

Astrid wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi, a Rose szybko przekreśliła kluczyk w stacyjce.

Odjeżdżając, widziała Thommo w lusterku wstecznym – stał na parkingu z wyrazem kompletnego zaskoczenia.



– Pamiętam, że kiedy byłam młoda, to po prostu wychodziło się za pierwszego chłopca, który ci się spodobał lub był na tyle miły, żeby zaprosić się na spacer. Czyste buty, krótko ostrzyżone włosy. To były oznaki porządnego młodego człowieka. Teraz jest inaczej. Teraz za dużo w tym wszystkim szaleństw.

Rose i Violet siedziały w domku sióstr Trevelyn. Rose zaczęła wpadać do starszych pań późnym popołudniem, kiedy kończyły już całodzienną pracę. Wieści w niewielkiej społeczności doliny Shingle szybko się rozchodziły – Rose i Violet omawiały właśnie spotkanie Astrid i Thommo w pubie.

Siostra Henry’ego nie wspomniała o wyjeździe do miasta z Markiem. Nadal nie poukładała sobie tego w głowie, a od powrotu do Kalkari Mark zdecydowanie jej unikał. Gdyby miała być wobec siebie szczerą, musiałaby przyznać, że i ona go z premedytacją unikała. W drodze powrotnej z Sydney Mark usiłował ją przeprosić, a ona udała, że nic się nie stało. „To wina alkoholu, zapomnij o tym”.

Totalne kłamstwo.

Nie mogła zapomnieć jego ciepłych, stanowczych warg, jego silnych ramion, które ją obejmowały, ani wrażenia, że pod jego pocałunkiem nogi zmieniły jej się w drżącą galaretę. Kiedy nie mogła zasnąć, przypominała sobie ten moment jak cenny skarb, przeżywając go wciąż na nowo, aż zaczynały jej ciążyć powieki.

– Życie nie zawsze układa się tak, jak człowiek sobie planuje – powiedziała Violet tajemniczo.

– Wiem, co ma pani na myśli – zgodziła się Rose.

– Cóż, dziewczyno, zawsze mówię, że trzeba płynąć z prądem i mocno trzymać się burty – zachichotała Violet.

Trzasnęły drzwi. Z domu wyszła Vera.

– Gorąco tu jak cholera – wymamrotała. – Jest coś w imbryku?

– Troszeczkę, jeśli pani nie przeszkadza, że się zupełnie rozgotowała na słońcu – powiedziała Rose, nalewając do wyszczerbionego porcelanowego kubka resztki herbaty.

– Wezmę, co dają, kotku, pod warunkiem, że będzie ciepłe i mokre.

– Jak tam winogrona? – zapytała Rose z nieudawaną ciekawością.

– Jest goręcej, niż tu kiedykolwiek było o tej porze roku. – Vera zdjęła z kredensu gruby, oprawiony w skórę dziennik i przerzuciła kilka stron. Pokazała Rose pełne zawijasów zapiski sięgające trzydziestu lat wstecz. – Masz tu stronę na każdy dzień, wers na każdy rok. Wpisujemy warunki pogodowe, stan winorośli, liści, wygląd i smak winogron, co planujemy i tak dalej – wyjaśniła.

– To niesamowite. To dobrze, że jest ciepłej, prawda?

– Wcale nie. Winogrona, które się tu udają, potrzebują długiego i chłodnego okresu wegetacji. Jak jest ciepło, nasza robota jest jeszcze trudniejsza. Cholerne globalne ocieplenie. – Vera odeszła korytarzem w głąb domu, tupiąc głośno.

– Nie przejmuj się nią, Rose – powiedziała Violet. – Ona dużo gada, ale nie gryzie. Martwi się winogronami. To się zdarza co roku. Wracając do Astrid, myślisz, że uda jej się wbić Thommo trochę

rozumu do głowy, żeby zachował się tak, jak należy?

– Na pewno jest bardzo zdeterminowana. Myślę, że jest gotowa przejść przez to wszystko sama.

– Za moich czasów coś takiego by nie uszło. Wywoziło się dziewczynę do domu dla samotnych matek i zabierało dziecko zaraz po urodzeniu, zanim je nawet zobaczyła – powiedziała Violet ze smutkiem. – Nawet nie mogła nadać dziecku imienia...

Rose przyjrzała się staruszce. Wydawało się, że opisuje swoją przeszłość.

## Rozdział 22

W korytarzu zadzwonił telefon. Rose wypadła z kuchni, żeby go odebrać. W słuchawce najpierw była cisza, a potem usłyszała głos mówiący z angielskim akcentem.

– Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z Markiem Cameronem?

– Dodzwoniła się pani do jego domu, a on jest teraz w wytwórni. Czy ma pani do niej numer?

– Oczywiście, myślałam, że tam właśnie się dodzwoniłam.

Klik. Kobieta rozłączyła się bez ostrzeżenia.

Rose spojrzała do góry i zobaczyła schodzące po schodach Astrid i Luisę.

– Kto to był? – zapytała Astrid.

– Nie mam pojęcia, jakaś Angielka. Przysięgłabym, że już ją wcześniej słyszałam, ale nie mogę sobie przypomnieć. Brzmiała trochę jak moja mama. Przez chwilę naprawdę myślałam, że to ona. Chciała rozmawiać z Markiem.

– Mama? – Do rozmowy włączyła się Luisa.

– Nie, nie twoja mama, kochanie. Miałam na myśli moją mamę.

– Ale ty psiecieś nie maś mamy?

– Mam, kochanie, ale ona mieszka daleko stąd, tak jak twoja mama.

– Aha. – Dziewczynka wydawała się usatysfakcjonowana tym wyjaśnieniem i wybiegła z kuchni, ciągnąc za sobą za uszy swojego pluszowego królika.

Rose zakończyła przygotowania do kolacji, przyrządzając sos salsa verde z ziół z ogrodu, który po zimowych chłódach magicznie powrócił do życia. Pokroiła jabłka w plasterki, posypała je cynamonem i kruszonką i odstawiła na blat, po czym ruszyła do wytwórni.

Telefon przypomniawszy jej, że musi porozmawiać z bratem. Henry wyjechał na kilka tygodni, więc udało jej się go nieco udobruchać, argumentując, że potrzebuje nieco więcej czasu na wykrycie, co tak naprawdę dzieje się w Kalkari. Jednak z każdym mijającym dniem – z rozwijającą się przyjaźnią z Violet Trevelyn i uczuciami do Marka – Rose czuła, że jest coraz bardziej przywiązana do doliny i że wrasta w tkankę tego miejsca. Codziennie rano budziła się z ciekawością, co też przyniesie kolejny dzień, a do swoich obowiązków przystępowała z entuzjazmem. Sama wizja zdradzenia osób, z którymi była tak blisko, była nieprzyjemna, a dwulicowość zaczęła ją coraz bardziej niepokoić.

– Hej Rose. Jak leci, kotku? – W kantorku zastała siedzącego za komputerem Dana. – W domu wszystko w porządku?

– Z dziećmi chyba wszystko okej. Luisa jest trochę marudna, a Leo jest strasznie przybity ponowną utratą mamy, ale mam nadzieję, że wkrótce wszystko się uspokoi.

– A jak ty się masz? – Spojrzenie Dana było jak na gust Rose nieco zbyt wnikliwe. Miała wrażenie, że

przeszywa ją na wylot i widzi jej myśli. Albo zaczynał mieć pewne podejrzenia. Z całą pewnością widział więcej niż chciała.

– Och, no wiesz. Robię swoje. Trochę jednak brakuje mi Fermentu, mimo całej tej ciężkiej pracy.

– Ech, szef trochę dostał szału, nie? Ale tak między nami a winem – tu Dan skinął głową w kierunku dziesiątek dębowych beczek leżących rzędami pod ścianą – trochę go urabiałem. Zobaczymy, czy nie uda się go przekonać. Tylko poczekaj.

– Myślisz, że by ci się to udało? – Rose zaświeciły się oczy. – Może udałoby nam się znaleźć firmę wynajmującą nadmuchiwane zamki dla dzieci.

– Ta, jasne. Tu nie jest Disneyland – zachichotał Dan. – Nie jestem pewien, czy Mark by się na to zgodził. To o jeden most za daleko.

– Wiem, ale z drugiej strony byłoby fajnie, nie? – kusiała Rose.

– To już nie moja decyzja – odpowiedział. – Ale daj mi trochę czasu i zobaczymy, co mi się uda osiągnąć.

– O, niemal zapomniałam. Dzwonił ktoś do ciebie wcześniej. Kobieta z angielskim akcentem dodzwoniła się do domu i chciała rozmawiać z Markiem.

– Tak, Olivia z Channings.

– Masz na myśli Alicię, tak? – Rose przypomniała sobie kobietę w tweedach, która przyjechała do Kalkari na lunch parę miesięcy temu. To właśnie jej głos rozpoznała w słuchawce.

– O, właśnie. Alicia.

– Uuu, to ekscytujące! Czego chciała?

– Nie jestem pewien. Powiedziałem jej, że do Marka może się dodzwonić na komórkę. Cały dzień siedzi w winnicy.

– Okej, tylko się upewniałam, czy się dodzwoniła. Dzięki, Dan. Lepiej wróć do kuchni i sprawdź, czy obiad się nie przypalił.

– Nic się nie bój, Rose. A ja popracuję nad szefem i namówię go do otworzenia winiarni, szczególnie że robi się coraz cieplej. Wiosną i latem do doliny przyjeżdża mnóstwo ludzi z miasta w poszukiwaniu świeżego powietrza, dobrego jedzenia i dużych ilości wina. Zobacysz, jak niektórzy piją. A już najgorsze są wieczory panięskie. – Dan potrząsnął głową z niedowierzaniem.



Kiedy Mark wrócił do domu, było już ciemno. Rose usłyszała go, kiedy wycierał buty przy tylnym wejściu i podniosła wzrok, kiedy wszedł do kuchni. Znowu wyglądał na zmęczonego – zauważyła, że delikatne zmarszczki wokół jego oczu wyglądały na głębsze. Nic nie mogła na to poradzić. Bardzo mu współczuła – miał tyle na głowie, a nie miał się komu z tego zwierzyć.

Cameron niósł pod pachą kilka butelek czerwonego wina. Rose dostrzegła fragment pokrytej pleśnią etykiety. Z szyjek butelek zwieszały się pajęczyny. Zastanawiała się, czy to znowu wino z dawnej winnicy jego rodziny. Mark ostrożnie odkorkował jedną z butelek i zdekantował ją do karafki, którą wyjął z kredensu.

Astrid miała akurat wolny wieczór i pojechała do kina do New Bridgeton z Angie z Lilybells, kolację

mieli więc jeść sami. Mark skończył pracę wcześniej niż zwykle i zapytał, czy mogą zjeść z dziećmi. Leo i Luisa nie odstępowali ojca na krok – Luisa udawała, że szepcze mu na ucho różne sekrety, a Leo pokazywał pracę domową.

– Patrz, tato, to rysunek boa dusiciela – pochwalił się Leo.

– Artysta z ciebie, co? – Mark poczochnął włosy chłopca.

– Do kolacji jeszcze trochę czasu, dzieciaki. Możecie przez ten czas pooglądać telewizję, jeśli chcecie. – Rose chciała wykorzystać tę okazję, żeby pogadać z Markiem. Nie byli sami od powrotu z Sydney, a w drodze powrotnej oboje milczeli, bo każde pogrążone było we własnych myślach.

Dzieci wybiegły z kuchni, zostawiając ich samych.

– Masz, Rose, skosztuj tego. – Mężczyzna podał jej kieliszek ciemnoczerwonego wina, które zdekantował. Wciągnęła do płuc słodki, mocny bukiet, po czym pociągnęła łyk. Wino było jak aksamit, a podniebienie zalał jej smak dojrzałych porzeczek. Takiego wina nigdy jeszcze nie piła.

– Jasna cholera, mogłabym się w tym kąpać! – Rose była oczarowana bogactwem smaków i wrażeniem, jakie wino robiło na języku. – Co to?

– Chateau Margaux z 1982 – odpowiedział Mark. – Jedno z najlepszych win w ostatnich czasach.

Rose słyszała o tym winie (Henry je uwielbiał), ale sama go jeszcze nigdy nie piła. Zastanowiło ją, że piją je w zwyczajny piątkowy wieczór do domowej kolacji.

– Nie jestem pewna, czy smażone kiełbaski po angielsku z ziemniakami to do tego wina najlepszy posiłek. Czy coś świętujemy?

– Tak, dzwonili do mnie wcześniej z Anglii. Więc w zasadzie kiełbaski po angielsku to dziś doskonały wybór.

Rose nie była pewna, czy Cameron żartuje sobie z niej, czy mówi poważnie. Często nie była pewna, jak interpretować jego słowa – jego nastrój tak często się zmieniał.

– A, tak, dzwonili najpierw tutaj. Dan mówił, że to Alicja z Channings i że miała dzwonić do ciebie na komórkę. Czego chciała?

– Nic takiego. Tylko trzydzieści tysięcy skrzynek tempranillo. – Mark potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Takie zamówienie może odmienić nasz los. Jeżeli tylko uda nam się kupić wystarczająco dużo tempranillo z doliny. Trochę mało tu posadzili tego gatunku, więc wszystko zależy od plonów i od tego, czy uda mi się skłonić do sprzedaży najlepsze winnice w dolinie, w tym siostry Trevelyn. Większość kontraktów na winogrona zawiera się z wieloletnim wyprzedzeniem, ale może uda nam się coś wynegocjować.

– To wspaniała wiadomość, prawda?

– Tak, jeśli tylko uda nam się zrealizować zamówienie.

– To doskonale, Mark, naprawdę! Wszystko się uda, zobaczysz.

– Tak, to dzień dobrych informacji. I świętujemy. Dlatego właśnie wyciągnąłem Margaux. Bóg jeden wie, że już od dawna nie wydarzyło się tu nic, co można by świętować. To wino dostałem w prezencie ślubnym. – Cameron roześmiał się gorzko.

– Oj... – Rose nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

– Słuchaj, jeszcze raz cię przepraszam za to, co się stało w Sydney. Poniosło mnie. Zachowałem się absolutnie nagannie. Pracujesz tu i nie powinienem cię wykorzystywać. – Mark wyglądał na mocno

zakłopotanego. – Moje życie to w tej chwili jeden wielki chaos i niesprawiedliwe byłoby komplikowanie twojego życia moimi własnymi problemami. Kobieta tak młoda i śliczna jak ty zasługuje na kogoś mniej poobijanego przez życie i cynicznego niż ja. Tak czy inaczej jestem dla ciebie znacznie za stary.

*Młoda i śliczna, nazwał mnie młodą i śliczną...* Te słowa brzmiały w jej głowie jak muzyka. Pociągnęła łyk wina dla kurażu.

– Mylisz się – powiedziała zdecydowanie. – Jesteś w lepszej formie niż ci się wydaje. Ale rozumiem. Naprawdę. – Rose była z siebie dumna, że zachowuje się tak racjonalnie, trzyma nerwy na wodzy i nie zdradza swoich uczuć, ale tak naprawdę wcale by nie protestowała, gdyby znowu wziął ją w ramiona. Dobry Boże, ależ to wszystko było frustrujące.

– Wiem, że jesteś tu dość krótko, ale i ciebie, i Astrid uważam za członków rodziny. Naprawdę nie poradziłbym sobie teraz, gdyby którejkolwiek z was zabrakło. Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo was obie cenię. To było paskudne parę miesięcy i nie wiem, co bym bez was zrobił.

Rose spojrzała w zachmurzone, zielone oczy Marka i poczuła, że serce jej pęka. Wzięła głęboki oddech. *Kuj żelazo, póki gorące.* Musiała też zmienić temat. Jeżeli on w dalszym ciągu mówiłby o niej w ten sposób, kusiłoby ją, żeby zignorować wszelkie przestrogi własnego rozsądku, przyciągnąć go do siebie, zapomnieć o tym, że on jest jej pracodawcą, że w pokoju obok są jego dzieci...

– Mark... Czy mógłbyś ponownie rozważyć otwarcie winiarni? Tylko na weekendy? To nie będzie dla ciebie żadne dodatkowe obciążenie. Ja będę piekła, Astrid obiecała mi pomoc w obsłudze, a Dan zaoferował, że zajmie się degustacjami. Wydaje mi się, że możemy na tym całkiem dobrze zarobić...

– Dan też mi o to suszy głowę. Czy to jest jakaś zmowa? – zapytał Cameron, ale tym razem w jego głosie nie było słyhać wyrzutu. – W miarę poprawy pogody będziemy mieli coraz więcej odwiedzających. Zgodzę się, jeżeli nie będzie to dla ciebie oznaczać zbyt dużo dodatkowej pracy. Nie chcę, żebyś się czuła wykorzystywana.

Rose trudno było powstrzymać uśmiezek. Z pewnością nie miałyby nic przeciwko, gdyby to on chciał ją wykorzystać w inny sposób. *Opanuj się, Rose!*

– Naprawdę chciałabym to zrobić, Mark. Myślę, że damy radę.

– W takim razie nie widzę powodu, dla którego nie miałybyś ruszyć od nowa za kilka tygodni. Czy to dla ciebie odpowiedni czas na przygotowanie? I może podzielimy zyski z działalności kawiarnianej? Dzięki temu będę miał mniej wyrzutów sumienia, że pracujesz ponad miarę.

– Super! Dzięki! – To była dla Rose doskonała wymówka, żeby pocałować go w policzek.

– Taaaatoooo! – rozległ się nagle głos w korytarzu. – Luisa mnie biiiiijeeeeee!

– Lepiej tam pójde i zaprowadzę porządek, nim się pozabijają. – Mężczyzna spojrzał w kierunku drzwi. Rose westchnęła i wróciła do przygotowywania kolacji. Atmosfera się oczyściła, ona sama osiągnęła to, na czym jej zależało. Dlaczego więc czuła się nieswojo?

## Rozdział 23

Coś było nie tak. Podczas porannego treningu Rose wbiegła akurat na górujące nad doliną wzgórze. Zatrzymała się, oparła ręce na biodrach i zapatrzyła się na krajobraz w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, które zabarwiało niebo na różowo i fioletowo. Poranne powietrze było chłodne. Pociągnęła nosem i to właśnie wtedy poczuła charakterystyczny, gorzki i gryzący zapach. Rozejrzała się, ale nie widziała nic nadzwyczajnego. Tego poranka było jednak dziwnie cicho, pomyślała. Ptaki nie śpiewały, koguty nie ogłaszały nadejścia nowego dnia.

Powodowana złym przeczuciem postanowiła zbiec z wzgórza w kierunku domu sióstr Trevelyn. Coś jej kazało tam bieć. Gdy była już blisko, zobaczyła kłęby dymu wydobywające się przez szpary pod drzwiami.

*Dobry Boże! Serce jej zamarło. Tam są Vera i Violet!*

Podbiegła do okna i zajrzała do ciemnej, wypełnionej dymem kuchni. Ze środka dobiegało skwierczenie i strzelanie płomieni.

– Violet! – wrzasnęła. – Vera!

Bojąc się o bezpieczeństwo staruszek, rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś – czegokolwiek – czym mogłaby się posłużyć. Naoglądała się w życiu zbyt wielu filmów o pożarach, żeby ryzykować otwarcie drzwi, a poza tym metalowa klamka pewnie oparzyłaby jej rękę. Dlaczego, do cholery, nie wzięła ze sobą telefonu! Zauważyła zwinięty pod ścianą domu wąż ogrodowy i podbiegła, aby zobaczyć, czy jest podłączony do hydrantu.

*Dzięki Bogu.*

Odkręciła zardzewiały kurek do maksimum – ile tylko się dało – i powlokła węża na tyły domu, lejąc wodę na szparę pod drzwiami.

W oddali usłyszała dźwięk syren strażackich, ale ryk ognia, który dobiegał z wnętrza domu, zagłuszał wszystko.

– Vera! Violet! Jesteście tam? – zawołała, dławiąc się. Nie miała pojęcia, czy siostry są w środku, i przerażała ją myśl, że mogły udusić się w dymie, który wydobywał się z otwartego okna. Ten sam dym drażnił jej oczy i rozkaszała się rozpaczliwie, ale nadal polewała dom wodą.

Wydawało się, że minęła wieczność, nim dźwięk syreny stał się głośniejszy. Rose odwróciła głowę i zobaczyła zajeżdżający na podwórze wóz strażacki. Zatrzymał się ze zgrzytem przed frontowymi drzwiami, a strażacy rzucili się do gaszenia pożaru.

Czyjeś dłonie wyjęły z rąk Rose wąż ogrodowy i łagodnie odprowadziły ją na bezpieczną odległość od domu. Nagle poczuła, że nogi się pod nią uginają, i padła na ziemię, krztusząc się gwałtownie. Wydawało jej się, że ma płuca pełne dymu.



Dwóch strażaków weszło do domu frontowymi drzwiami. Szybko pojawili się z powrotem, niosąc Violet i Verę. Pożar musiał zaskoczyć je w łózkach, bo nadal miały na sobie koszule nocne.

Rose usłyszała zbliżającą się syrenę karetki. Chwilę później przed dom zajechały kolejne pojazdy. Trąc oczy, Rose podniosła się niepewnie i patrzyła, jak ratownicy wsadzają Verę i Violet do karetek. Wydawało się, że są nieprzytomne.

– Czy nic im nie będzie? – zapytała jednego ze strażaków, kaszląc z wysiłku, jaki powodowało jej mówienie.

– Mam nadzieję. Nawdychały się dymu i pewnie bardzo przestraszyły, ale one są nie do zdarcia – powiedział, zdejmując hełm i ścierając pot z czoła. – Wydaje się, że pożar zaczął się w kuchni. Teraz już wszystko jest pod kontrolą, straty nie są duże. Miały szczęście, że pojawiłaś się w dobrym momencie i że znalazłaś wąż. Ten dom jest jak pudełko zapalek, spłonąłby w parę minut.

– Rose, co ty tu robisz? Co się stało? Usłyszałem syreny, zobaczyłem strażaków i przyjechałem za nimi. Nic ci się nie stało? – Siostra Henry’ego usłyszała za sobą znajomy głos. Nogi się nagle pod nią ugięły.

– Och, Mark – załkała, osuwając się w jego wyciągnięte ramiona. – Tak się bałam! Było tyle dymu i one mnie nie słyszały. Nie mogły mnie usłyszeć. Mogły tam zginąć! – Rose nagle się zadławiła, nie mogąc opanować ataku kaszlu. Mężczyzna objął ją mocno i pogłaskał po plecach, próbując uspokoić.

– Ćśśś, już dobrze. Już wszystko dobrze. Jesteś w szoku. Oddychaj powoli. – Jego łagodny ton ją uspokajał. Trzymała się go kurczowo i nie chciała puścić. Czuła szorstki, nieogolony policzek dotykający jej czoła i wdychała znajomy, uspokajający, korzenny zapach. Jego silne ramiona obejmowały ją i podtrzymywały. Mark tulił ją, dopóki nie minął atak kaszlu i nie uspokoił jej się oddech. Wydawało się, że wcale mu się nie spieszy, żeby ją puścić.

– Ale skąd tu się wzięłaś o tej porze? – zapytał, w końcu odsuwając się od niej. Rose żałowała, że to zrobił. Tak dobrze jej było przy nim.

– Obudziłam się wcześniej i postanowiłam pobiegać. Na szczycie wzgórza poczułam dym. Kiedy dobiegłam do domu, widziałam, jak wydobywa się spod tylnych drzwi, tych od kuchni. Pobiegłam więc po wąż ogrodowy – wyrzuciła z siebie.

– Doskonale się spisała – dorzucił strażak. – To pewnie dzięki niej wszyscy żyją, a ogień z kuchni nie rozprzestrzenił się na cały dom.

– Chodź tu, słonko – powiedział jeden z ratowników. – Słyszałem, jak kaszlesz, i ciebie też powinniśmy zbadać.

Rose usiłowała protestować i tłumaczyć, że nic jej nie jest, ale ratownik uparł się, żeby pojechała z nim do szpitala. Poparł go Mark.

– Przyjadę później zobaczyć, co z tobą. Nic się nie martw, będziesz miała dobrą opiekę.



Ostatecznie Rose była wdzięczna za odpoczynek w szpitalu w New Bridgeton – podano jej lek usypiający i szybko zasnęła. Kiedy się obudziła, przy łóżku stali Mark, Leo, Luisa i Astrid. Rose wydawało się, że jej powieki są z ołowiu – ledwo udało jej się je uchylić. Poczwała, jak Mark odsuwa jej

pasma włosów z twarzy i nachyla się, żeby delikatnie pocałować ją w policzek. Bez trudu rozpoznała cudowny, znajomy zapach przypraw i mydła cytrusowego.

– Rose, tak mi przykro. Obiecałem, że będziesz bezpieczna – wyszeptał. Kobieta nadal była pod wpływem leków, a jego słowa nie miały dla niej żadnego sensu, ledwo je słyszała. Była tylko świadoma ciepła jego dłoni i uczucia bezpieczeństwa, które przy nim poczuła.

– Czy z Losie wszystko dobrze, tato? – zapytała Luisa.

– Tak, kochanie, wszystko będzie dobrze – odpowiedział Mark. – Mam nadzieję, że nie jesteś zła, Rose, ale Leo i Luisa dopytywali, co u ciebie. Bardzo chcieli się z tobą zobaczyć.

– Jasne – wymamrotała Rose niewyraźnie, próbując się unieść.

– Pójdę teraz zobaczyć, co z Verą i Vi, dobrze? Niedługo do ciebie wrócę.

– Nigdzie się nie wybieram. – Kobieta opadła z powrotem na poduszkę.

Siostry Trevelyn leżały na drugim końcu sali. Mark z dziećmi ruszył w ich kierunku. Podszedł na palcach do łóżka Violet i wziął do ręki dłoń staruszki.

– Cześć, Violet, jak się czujesz? – usłyszała Rose.

– Całkiem nieźle, aniołku – wychrypiała Violet. – Ale trochę boli mnie gardło. Jest suchsze niż kufel w piątkową noc. Masz może przy sobie trochę zimnego piwa?

Leo zachichotał. Rose zobaczyła, że Violet unosi się na łóżku.

– Witaj, młody człowieku, miło cię widzieć.

– Dzień dobry, Violet. Przykro mi, że dom ci się spalił – odpowiedział chłopiec. – Przynieśliśmy wam trochę lizaków.

– Nic się nie martw, młodzieńcze, wszystko się ułoży. Tylko najpierw muszę się stąd wydostać.

– Mamy też dla was trochę waszych rzeczy, koszule nocne i szczoteczki do zębów. Pomyśleliśmy, że pewnie nic ze sobą nie macie – dorzuciła Astrid.

– Bardzo miło z twojej strony, kochanie. Dobrze będzie założyć coś, w czym nie będę pokazywała całemu światu tyłka za każdym razem, kiedy idę do klopa – zarechotała Violet, po czym się rozkaszała.

– Jak długo was tu zatrzymają? – zapytał Mark, kiedy Violet przestała już wypluwać płuca.

– Nie jestem pewna, mówili coś o kilku dniach – odpowiedziała staruszka. – Wtedy pewnie zatrzymamy się u naszych kuzynów po drugiej stronie doliny. Na krótko, póki nie uporządkujemy domu. Na razie nie mamy pojęcia, jak duże są szkody. Widziałeś go?

– Nie martwcie się tym. Pomogę wam wszystko zorganizować. I nie martwcie się winnicami – zajmiemy się nimi, póki nie staniecie z powrotem na nogi. Od przyszłego tygodnia zaczyna u mnie pracę pomocnik. Winiarz z Adelajdy. Młody chłopak i ogromny zwolennik uprawy biodynamicznej, więc nie musicie się niczym martwić. W każdym razie będziemy potrzebować wszystkich winogron, jakie tylko będziecie mogły nam sprzedać. Sieć Channings właśnie potwierdziła duże zamówienie.

– Aaa, więc to dlatego tu jesteś. – Rose usłyszała w głosie staruszki nutkę rozczarowania. – Wcale się nami nie przejmowałaś, chodzi ci tylko o winogrona. Ale tak na poważnie, to cholernie dobra wiadomość, Mark. Najwyższy czas, żeby zaczęło ci się układać. Dobrze, że ogień nie rozprzestrzenił się na winnicę.

– Tak, bez subtelnej dymnej nuty wino będzie znacznie lepsze. – Mężczyzna obejrzał się za siebie, bo w sąsiednim łóżku obudziła się Vera, kaszląc chrypliwie.

– Jak Rose? – wyszeptała.

– Wszystko dobrze. Jest tam, po drugiej stronie sali. – Mark wskazał w kierunku drzwi.

– Powiedzieli nam, że pomagała gasić pożar. Nic jej nie jest?

– Wszystko będzie dobrze – odpowiedział Cameron. – To tylko lekkie zatrucie dymem. Lekarz powiedział, że za parę dni będzie jak nowa. To wy nas trochę wystraszyłyście.

– Dzięki Bogu. To by było straszne, gdyby coś jej się stało.

– Słyszysz mnie? – Violet podniosła głos. Rose powoli uniosła dłoń w odpowiedzi.

– To chyba znaczy, że tak – zauważył obserwujący ją Mark.

– Jesteśmy ci bardzo wdzięczne – powiedziała Violet. – Gdyby nie ty, zostałyby po nas węgiel drzewny.

– To wyjątkowa dziewczyna, mam nadzieję, że to wiesz – dodała Vera.

– Wiem. – Cameron uśmiechnął się do starszerek. – Absolutnie wyjątkowa.

Mark, Astrid i dzieci posiedzieli z nimi jeszcze chwilę, a Mark obiecał skontaktować się z ubezpieczycielem i dowiedzieć się, kiedy będzie można wrócić do domu i ocenić straty. Wychodząc, zatrzymał się przy łóżku Rose i ponownie nachylił się, żeby ją pocałować.

– Odpoczywaj, skarbie – wyszeptał.

## Rozdział 24

Po nocy spędzonej w szpitalu Rose wróciła do domu. Gardło ją ciągle bolało, ale energicznie zabrała się do pracy. Mimo że szybko wróciła do siebie, Mark nadal troszczył się o nią i wieczorami zaglądał do szopy, żeby zapytać o jej zdrowie. Często zostawał na pogawędkę i opowiadał o tym, jak mu minął dzień.

W kolejnym tygodniu jednak, po powrocie z zakupów w Eumeralli, Rose otworzyła drzwi do szopy i zobaczyła dużą płócienną torbę na środku pokoju, pusty kubek po kawie na stole i kurtkę rzuconą na kanapę. W tym samym momencie usłyszała odgłos spuszczonej wody w toalecie, a z łazienki wyłonił się wysoki, nieznajomy brunet. Szybko obrzuciła wzrokiem szczupłą sylwetkę w dżinsach, przytrzymywane na biodrach pasem ze skóry aligatora, i szeroki, ogorzały i muskularny tors. Zauważyła też pełne usta, wydatne kości policzkowe i kędzierzawe ciemne włosy. Tajemniczy gość przypominał niepokojąco atrakcyjnego, ale i nieco groźnego Cygana. Brakowało mu tylko złotego kolczyka w uchu. Z kącika ust wystawała mu biała rączka szczoteczki do zębów, a po brodzie ściekała strużka piany – dzięki temu wyglądał nieco mniej niebezpiecznie.

– Siemka – powiedział, wyjmując z ust szczoteczkę. – Ty pewnie jesteś Rose. Ja jestem Jake. Jake Salmon. Właśnie przyjechałem. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadza, że będę z tobą mieszkał. Mark powiedział, że nie powinno – wyciągnął do niej dłoń i przejechał po niej leniwie sennym wzrokiem. Jego oczy były tak ciemnoniebieskie, że prawie wpadały w granat. Rose czuła się niekomfortowo – czuła, jak ten facet lustruje ją od góry do dołu. Ucisnęła jego silną, pokrytą odciskami dłoń.

– Pewnie nie – powiedziała krótko. – Tak czy inaczej to Mark jest szefem. Tam jest wolny pokój. – Wskazała na drzwi po drugiej stronie dużego salonu. – Pokażę ci, gdzie w domu można znaleźć pościel i inne rzeczy. Widzę, że ręcznik już znalazłeś.

Rose była poirytowana perspektywą mieszkania w szopie z kimś nieznanym, a w szczególności z kimś tak zadufanym w sobie jak Jake. Cameron mógł ją przynajmniej uprzedzić. Od przyjazdu do Kalkari przyzwyczaiła się, że mieszka sama.

Zauważyła, że pod paznokciami Jake ma czarne półksiężycy ziemi.

– Taka robota – powiedział. – Nie mogę ich doszorować.

– Aha... – odpowiedziała Rose. Było jej głupio, że zauważył, na co patrzyła.

– No dobra – zakończył mężczyzna. Chyba nie przejął się brakiem serdecznego powitania. – Lepiej pójde sprawdzic, co szef ma dla mnie do roboty.

– Nie zapomniales o czymś? – Wskazała na jego nagi tors.

– Tja, koszulka to pewnie dobry pomysl, nie? – Jake siegnal do swojej torby i wyciagnal bladoniebieski T-shirt, naciagnal go przez glowe i usmiechnal sie do niej bezczelnie. – Gotow do boju. Do zobaczenia, kotku.

– Aha – rzuciła Rose w kierunku jego pleców. Zaczynało jej świtać, że po przybyciu nowego lokatora Mark raczej nie będzie jej odwiedzał. Okazało się, że czeka na rozmowę z nim pod koniec dnia bardziej, niż zdawała sobie z tego sprawę.



Zbliżał się weekend. Rose tak była pochłonięta przygotowaniami do ponownego otwarcia Fermentu, pieczeniem i zamrażaniem babeczek waniliowych, ciasta czekoladowego i słodkiego chleba limonkowo-kokosowego, że pracowała do późna w nocy i nie udawało jej się zamienić więcej niż kilku zdań ani z Markiem, ani z nowym współlokatorem. Wprawdzie obecności Jake’a nie dało się zignorować – sygnalizował ją porzuconymi na kanapie koszulkami i zabłoconymi butami na progu – spał jeszcze, kiedy Rose szła pobiegać, a kiedy wracała, żeby zrobić śniadanie dla dzieci, już go nie było. Każdego ranka doskonale udawało im się nie wchodzić sobie w drogę.

Z kolei przy obiedzie Jake i Mark wymieniali niezrozumiałe uwagi o klonach, trejżach, zatrzymanej fermentacji, mączniaku i owocowaniu. Rose miała wrażenie, że Jake zastąpił ją w roli partnera do rozmowy dla Marka i nie podobała jej się ta zmiana. Już raz wybuchła, kiedy Leo zostawił mokre ręczniki na podłodze łazienki. „Leo, serio nie możesz ich ponieść sam?”, zrzędziła. Dodatkowo prawie nakrzyczała na Luisę, kiedy dziewczynka wylała sok na dywan, choć Rose wiedziała, że był to wypadek. Była poirytowana i nieswoja, a po jej radosnym usposobieniu nie było prawie śladu. Fakt, że Henry wywierał na niej presję, aby pozyskała dodatkowe informacje, wcale nie pomagał; w ostatnim e-mailu napisał, że będzie wkrótce potrzebować konkretnych danych, aby złożyć ofertę na kupno Kalkari. Mimo złego nastroju nie była wcale przekonana, czy chce, żeby Henry to zrobił. Zastanawiała się, jak mogłaby go przekonać do zmiany zdania. Czuła, że nie będzie to proste.

W piątek wieczorem Mark z Jake’em wybrali się do miasta na kolację w pubie, zostawiając Rose unurzaną po łokcie w mące, cukrze i gruszkach. Piekła muffinki na następny dzień do Fermentu. Astrid położyła dzieci spać, po czym ułożyła się na kanapie, żeby obejrzeć jakiś mało inteligentny program. Słyszała co pewien czas wybuchy pełnego niedowierzania śmiechu – rozbrzmiewał on w całej kuchni. Pochłonięta pieczeniem straciła poczucie czasu, ale kiedy usłyszała, że Cameron wraca z pubu, zdała sobie sprawę, że musi być późno.

- Jeszcze nie śpisz? – Mark wsadził głowę przez drzwi.
- Prawie skończyłam – odpowiedziała, odsuwając przedramieniem włosy, które wpadły jej do oczu.
- Znowu masz mąkę na twarzy – zauważył. – Tutaj... o tutaj. – Podszedł do niej i delikatnie starł mąkę z jej policzka. Rose zadrżała.
- Lepiej pójdę spać – ziewnął szeroko Mark.
- Dobranoc, pchły na noc – odpowiedziała. Mężczyzna uśmiechnął się do niej w taki sposób, że poczuła przyływ silnych uczuć do niego. Jednak zaraz potem zniknął w korytarzu równie nagle, jak się pojawił.

Zarumieniona Rose wyjęła ciasto z pieca, ale wiedziała, że rumieniec spowodowany jest nie tyle gorącym bijącym od piekarnika, co dotykiem Marka. Czuła się zupełnie bezsilna wobec tego, co czuła. *To tylko głupie zauroczenie, zapomnij o tym*, powtarzała sobie za każdym razem, kiedy łapała się na

rozmyślaniu o swoim szefie – a zdarzało jej się to zbyt często. Westchnęła. Samej siebie nie oszuka.

Skończyła zmywanie i poszła do szopy. Jedynym znakiem obecności Jake’a było potworne chrapanie dobiegające z jego pokoju.



W sobotę Rose obudziła się nawet wcześniej niż zwykle, podekscytowana perspektywą otwarcia Fermentu. Udało jej się namówić panią B, aby przysłała pomoc obsługiwać gości, a Dan miał zająć się degustacjami. Kiedy wyszła z szopy, w powietrzu już było czuć ciepło. Zapowiadał się upalny dzień. Kosy zagwizdały wesoło na dzień dobry, kiedy szła do winiarni, żeby uruchomić ekspres do kawy – cieszyła się perspektywą dużej dawki kofeiny, którą miała zamiar się pokrzepić przed długim dniem.

Jak się okazało, to wsparcie było jej bardzo potrzebne. W poprzednim tygodniu pojechała do centrum informacji turystycznej w Eumeralli, żeby dać znać, że ponownie otwierają Ferment. Pracownicy centrum powiedzieli, że od tygodni musieli zbywać pytania o Ferment i że bardzo chętnie ogłoszą jego ponowne otwarcie. Ewidentnie dobrze wykonali swoje zadanie. Klienci stale napływali. Rose i pani B były wykończone. Do południa wyprzedały się wszystkie muffinki gruszkowe i czekoladowe, a także chleb limonkowo-kokosowy. Na szczęście Rose wyciągnęła wnioski z doświadczeń z długiego weekendu i przed ponownym otwarciem kupiła w Świątym Ziarnie na zapas kilka worków kawy.

W niedzielę było jeszcze więcej gości i Rose pogratulowała sobie w duchu, że wstała o piątej, aby upiec więcej muffinek, chociaż musiała zachowywać się cicho jak mysz, żeby nie zbudzić śpiących domowników.

Późnym popołudniem, kiedy zbierała filiżanki ze stojącego na zewnątrz stołu, do winiarni nadciągnęli Mark z Jakie’em.

– Rose, zostało ci coś dla dwóch głodnych chłopów? – zapytał Cameron. – Sądząc po tym sznurze samochodów na podjeździe, miałaś dziś dobry dzień.

– Fakt, były tłumy. Ale macie szczęście. Zostawiłam wam kilka kawałków ciasta z karmelem i daktylami. Zaraz po nie pójde.

– Wystarczyło powiedzieć „karmel”. Sam pójde – odpowiedział Mark, ruszając w kierunku winiarni, nim Rose zdążyła zareagować. Została na zewnątrz z Jake’em, który opierał się o drzewo.

– Jesteś w swoim żywiole, nie? – powiedział, patrząc na jej zaróżowione policzki i potargane włosy. – Jest coś pięknego w patrzeniu na ludzi, którzy robią dokładnie to, co ich uszczęśliwia.

– Chyba tak – odparła niepewnie. – Dobrze jest czuć się potrzebnym, a poza tym uwielbiam to miejsce – przyznała.

– Się nie dziwię. Piękny kawałek ziemi. Bardzo się cieszę na to, co uda się nam z nim zrobić, choć Mark zrobił już dobry początek.

– Myślisz, że będziecie mieli te winogrona do zamówienia z Anglii?

– Jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić. Bardzo dużo zależy od rocznika. I trzeba jeszcze sporo zrobić u siostr Trevelyn. One miały dobrego nosa, ale do uprawy przyzwoitych winogron trzeba dużo pracy.

– Doskonale sobie radziły przez całe lata! – Rose poczuła, że musi bronić kobiet.

– Taaa, ale przyznasz, że są już mocno w latach. A ten pożar tylko jeszcze bardziej skomplikował sytuację. W każdym razie uzgodniły z Markiem, że możemy doglądać także ich winnic w zamian za prawo pierwokupu do niezakontraktowanych winogron, więc wszyscy są do przodu. Będziemy nadal uprawiać ich winnice biodynamicznie i wprowadzimy biodynamiczną uprawę także w Kalkari. Ale to bardzo pracochłonne.

– Co jest pracochłonne? Upieczenie tego doskonałego ciasta karmelowego? – zapytał Mark, wychodząc z winiarni z ciastem. Jeden kawałek podał Jake’owi. – Rose, już rozumiem, dlaczego dziś tłumy waliły tu drzwiami i oknami. To jest naprawdę dobre, jak cholera.

No cóż, może nie doceniał jej jako kobiety, ale przynajmniej doceniał jej ciasto.

– Dzięki, ale to mogło mieć więcej wspólnego z faktem, że dziś do degustacji był shiraz Assignation.

– Nie. Jestem pewien, że to z powodu ciasta – odpowiedział Cameron z pełnymi ustami.



Wieczorem, kiedy słońce zaczęło zabarwiać wzgórze na złoto, z Eumeralli wróciła Astrid z kartonowymi pudłami.

– Uznałam, że będziesz zbyt zmęczona, żeby gotować, więc kupiłam pizzę. Szynka i ananas dla dzieci, a dla nas salami, feta i oliwki. Ktoś chce?

– Życie mi ratujesz – powiedziała Rose, padając na krzesło i zsuwając buty. Była na nogach od piątej rano. – Pachnie cudownie.

Cała szóstka zgromadziła się przy wyszorowanym kuchennym stole. Astrid wsadziła świece do pustych butelek po winie i zgasiła światło, a Mark przyniósł z piwnicy trochę czerwonego wina.

– Nie pijesz, Astrid? – zapytał Jake, kiwając butelką w jej stronę.

– Mmmm, nie, dzięki. Nie mam ochoty – odpowiedziała dziewczyna, spoglądając na Rose. Od pewnego czasu niania zaczęła nosić workowate T-shirty, żeby ukryć coraz bardziej widoczną ciążę.

Wprawdzie Rose była wykończona wczesną pobudką i całodzienną robotą, wino i pizza dodały jej energii. Nawet Jake był mniej irytujący niż zwykle i pękała ze śmiechu, kiedy naśladował różne osoby z doliny. Czowała się częścią – dość niekonwencjonalnej – rodziny, choć nadal nie była pewna, jaką odgrywa w niej rolę.

# Rozdział 25

– Hej! Pssst... Rose!

Siostra Henry’ego skrzywiła się, gdy światło słoneczne załało jej oczy. Po chwili przypomniała sobie, gdzie jest i dlaczego nie wstała o świcie, aby pobiegać. Poprzedniego wieczora wypła znacznie więcej niż jedną butelkę czerwonego wina z Jake’em, Markiem i Thommo.

– Rose, jesteś tam?

– Aaaaagh – jęknęła. – Wejdz.

Astrid wsadziła głowę przez drzwi.

– Hej, dobrze, że już nie śpisz.

– Ale spałam! – zaprotestowała Rose.

– Słuchaj, muszę dziś po południu jechać do New Bridgeton na USG. Pojedziesz ze mną? Proszę?

– Wiesz, że wczoraj przyjechał tu Thommo, żeby się z tobą zobaczyć?

– O, serio? – Dziewczyna była zaskoczona. – Nie wiem, co mu powiedzieć. Ostatnie spotkanie nie poszło zbyt dobrze, prawda?

– Może liczy na drugą szansę? W końcu trochę go zaskoczyłaś – zauważyła Rose.

– Wiesz, raczej nie miałam wyboru. Nie moja wina, że od razu mnie objął! – zaprotestowała Astrid. – A tak swoją drogą, nie wyglądasz dziś zbyt dobrze – zmieniła temat.

– To był chyba o jeden kieliszek za dużo. Nie wiem, jak chłopaki to robią. A to, że byłam ponad dwanaście godzin na nogach, na pewno mi nie pomogło.

Astrid podała jej ze stolika szklankę wody i rzuciła na łóżko pudełko tabletek przeciwbólowych.

– Oni są już w winnicy. Złapali po grzance i od razu wskoczyli do samochodu. A co myślisz o Jake’u? Gdybym sytuacja była inna, to bym się wokół niego owinęła. – Astrid mrugnęła do Rose.

– Mówi się „zakręciła”, kochana – poprawiła Rose, która usłyszała to wyrażenie od Angie w pubie, i rzuciła w Astrid poduszką. – A poza tym jesteś niemożliwa! Czy już nie dość sobie napytałaś biedy?

– Dobra, dobra, żartowałam – roześmiała się niania. – To co, możesz ze mną pojechać? Naprawdę nie chcę jechać sama, a nie sądzę, żeby Thommo pojechał. Wizyta jest o drugiej. Luisa ma dziś zabawę u koleżanki, więc powinniśmy wrócić na czas, aby odebrać najpierw Leo, a potem ją.

– Dobrze. A mogę teraz odespać ten ból głowy?



Po lunchu obie pojechały do centrum medycznego. Po długim śnie, lekach przeciwbólowych i dużej kawie Rose wróciła już do siebie.



– Uuuu, ale zimne! – skrzywiła się Astrid, kiedy lekarka wykonująca USG wycisnęła jej na brzuch żel. Silny uścisk, jakim trzymała dłoń Rose, zdradzał jej zdenerwowanie. Lekarka przycisnęła dużą białą sondę do brzucha dziewczyny, a na ekranie przed nią wyświetliła się ziarnista, ruchoma masa.

– Trochę trudno stwierdzić, co jest czym, prawda? – zauważyła Rose.

– To twoje dziecko, Astrid – uśmiechnęła się lekarka. Na ekranie pojawił się zarys płodu. – Zobacz, widać, jak mu bije serce.

Lekarka wskazała na niewielkie pulsowanie na ekranie, a w oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

– Och, popatrz tylko na to. Wygląda jak mały kosmita. Patrz, jaka wielka głowa! – uśmiechnęła się i otarła łzy. – Boże drogi, to się dzieje naprawdę.

– Tak, kochana. – Rose ścisnęła jej dłoń z czułością. Wiedziała, że będzie się nią opiekować, jeśli tylko Astrid o to poprosi.

– Chcecie poznać płęć? – zapytała lekarka. Dziewczyny spojrzały po sobie. Tego się nie spodziewały.

– Nie ma absolutnej pewności, ale na tym etapie możemy ją ustalić z dużym prawdopodobieństwem.

– Chcę poczekać, póki to... to znaczy, ona lub on się nie urodzi – potrasnęła głową Astrid.

Kiedy po wizycie Rose odwoziła nianię do domu, Astrid wyciągnęła czarnobiałą wydruk, który dostała po badaniu. Rose zauważyła, że dziewczyna uśmiecha się do obrazu małego człowieka, który w niej rośnie.

– Dasz Thommo drugą szansę? – zapytała. Dziewczyna zastanowiła się chwilę.

– Ma przynajmniej prawo to zobaczyć – powiedziała, wskazując na wydruk.

– Podrzucę cię do niego po drodze do domu, jeśli chcesz.

– Nie. Muszę odebrać Luisę i Leo, a poza tym chcę mu tym razem dać czas na przygotowanie.

– Taak, masz rację. Może lepiej też będzie się umówić w bardziej ustronnym miejscu. Może gdzieś, gdzie cała dolina nie patrzy na was przez ramię. Może zaprosisz go do szopy? Zadbam o to, aby Jake'a tam nie było.



– Niech mnie pobię. Przystojny chłopak, co nie? To po tacie – Thommo patrzył na podany przez Astrid wydruk z fascynacją. – Przepraszam cię za wtedy. Zachowałem się jak idiota. Nie miałem pojęcia.

– Skąd miałeś wiedzieć, że trafiłeś w sedno – odpowiedziała Astrid. Siedzieli wszyscy razem w szopie. Dziewczyna nalegała, aby Rose też tam była – pewnie jako jej duchowe wsparcie.

– Wygląda na to, że w czymś jednak jestem dobry – zażartował Thommo.

– Ha ha, nawet ja to zrozumiałam. Bardzo zabawne, Thommo. Naprawdę, to była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałam. I nie chciałam ci o tym powiedzieć przez telefon, kiedy byłeś po drugiej stronie świata.

Thommo nadal wpatrywał się w wydruk.

– To naprawdę on?

– Wiesz, to może być ona – skontrowała Rose. Trudno jej się było powstrzymać.

– Chcieli mi powiedzieć w szpitalu – wyjaśniła Astrid. – Ale nie chciałam. Mam nadzieję, że to okej?

Czy ty chciałeś wiedzieć?

– Dziewczynka, chłopiec, wszystko jedno. Jestem po prostu zachwycony, że będę miał dziecko.

– Jesteś pewien? Serio? Nie jesteśmy przecież parą. To była tylko jedna noc. I to zmieni całe nasze życie.

– Żartujesz sobie? Nie mogę się doczekać, kiedy posadzę go na traktorze, będę mógł z nim pograć w piłkę...

– Albo z nią... – przypomniała mu ponownie Rose z uśmiechem.

– Może na razie cieszymy się tym, co jest? – powiedziała Astrid. – Przede wszystkim muszę powiedzieć Markowi, zanim dowie się od kogoś innego. Nie mam pojęcia, co powie. Nie sądzę, żeby był zachwycony tym, że niania jego dzieci będzie miała własne dzieci.

## Rozdział 26

Wczesnym wieczorem, po drodze do szopy Rose wpadła na Marka.

– Hej, jak leci? Nie ciągną cię dziś jaskrawe światła Eumeralli? Czy to nie tam udał się Jake?

– Nie, dziś jestem trochę zmęczona.

– To pewnie nie masz ochoty na przejażdżkę? Muszę pojechać do wschodniej winnicy skontrolować winorośle. Dopiero teraz mam na to czas. – Cameron spojrzał na nią pytająco. Rose nie miała zamiaru zmarnować okazji, żeby spędzić z nim sam na sam trochę czasu. Zaczynała zdawać sobie sprawę, jak bardzo lubi jego towarzystwo. Mark ogromnie złagodniał od momentu ich pierwszego spotkania – od chwili potwierdzenia zamówienia przez sieć Channings wydawał się znacznie mniej zestresowany.

– Jasne. Daj mi tylko chwilę, wezmę bluzę, jakby się zrobiło chłodno.

– To spotkajmy się przy samochodzie za pół godziny. Chcę jeszcze zajrzeć do dzieci.

– W takim razie do zobaczenia. – Rose poszła powoli szopy, choć miała ochotę wbiec tam jak najszybciej. Pół godziny wystarcza na krótki prysznic i świeży makijaż. Powiedzmy.

Uczesała włosy i splotła je w luźny, gruby warkocz, który spadał jej na plecy. Wtarła w policzki nieco różu, wargi pociągnęła błyszczkiem i była gotowa. Oczy jej błyszczały, a cera promieniała, przyozdobiona jedynie kilkoma piegami – dziedzictwem długich, słonecznych dni, które od kilku tygodni były dla doliny błogosławieństwem. Nowe dżinsy przylegały do jej długich, szczupłych nóg, a pod czystą bawełnianą bluzkę założyła koronkowy biustonosz. To zdecydowanie dobry moment, żeby założyć nową bieliznę. *Nigdy nic nie wiadomo.*

Mark dotrzymał słowa i pół godziny później stał przy swoim zabłoconym samochodzie terenowym z przykrytym ścierką koszykiem z kuchni i butelką wina w ręce. Rose uniosła brew, patrząc na koszyk.

– Pomyślałem, że skoro już tam jedziemy, to możemy przy okazji coś zjeść. Nie wrócimy przed zmierzchem – wyjaśnił Cameron. – A w każdym razie dzięki tobie spiżarnia jest teraz doskonale zaopatrzona.

*Piknik? On tak na serio?*

Rose nie chciała spodziewać się zbyt wiele po tym planie, ale z jej perspektywy wyglądał obiecująco. Kiedy ruszali, nad głowami przeleciało im stadko białych kakadu, skrzecząc głośno. Słońce barwiło na złoto krzewy winorośli i drzewa obramowujące wiodącą do Kalkari długą aleję, którą jechali. Nad srebrną powierzchnią stawu tańczyły ważki. Rose poczuła, jak wzbiera w niej fala szczęścia. Piękno krajobrazu i uczucie, że wszystko jest na swoim miejscu, a ona siedzi obok tego mężczyzny, który pojawiał się w jej snach, zakłócała tylko świadomość obietnicy złożonej Henry’emu i jego planów wobec Kalkari. Teraz jednak wydawało jej się, że obietnicę złożyła lata temu dziewczyna zupełnie inna od tej, która siedziała teraz w samochodzie. Nie miała zamiaru pozwolić, aby popsuky tę piękną chwilę

i jej nastrój. Zamartwianie się do niczego nie prowadzi.

– Jesteśmy – Mark zakręcił kierownicą i zatrzymał samochód koło drogi na szerokim poboczu. – Stąd już tylko krótki spacer – wskazał na ścieżkę, która wiodła zboczem wzgórza około kilometra od samochodu. Rose wyskoczyła z auta, a Mark wyjął kosz i butelkę wina, po czym podał jej koc piknikowy.

– Co takiego musisz tu sprawdzić? – zapytała, kiedy szli pod górę.

– Och, wiesz, czy owocowanie przebiega odpowiednio, czy będziemy musieli potem przerzedzić kiście, czy liście są zdrowe. – Mark brzmiał mało konkretnie, a do tego nie była przyzwyczajona.

Dotarli do szczytu wzgórza, a Rose zatrzymała się nagle na widok rozciągającego się przed nimi krajobrazu. Ujrzała równe rzędy winorośli przedzielone kilkoma samotnymi drzewami, a w dali widać było wyrastające wzgórza Shingle. Gasnące słońce rzucało na dolinę długie cienie, a niebo wymalowane było w różowe i różowozłote pasy. Musiała przyznać, że zachody słońca w dolinie Shingle były absolutnie zniewalające. Powietrze było przejrzyste i łagodne. Rose słyszała jedynie śpiew ptaków i własny oddech. Wydawało się, że świat zatrzymał się na moment, zachwycony własnym urokiem.

– Wyjątkowy widok, nie?

– Tego się po prostu nie da wyrazić słowami.

– To moje ulubione miejsce w całej dolinie. To właśnie tu się wszystko zaczęło, od winnicy Assignment. Kiedy mam zły dzień, przyjeżdżam tu, żeby przypomnieć sobie, że mam szczęście, że tu w ogóle jestem – powiedział Mark, wpatrując się w krajobraz. – To sprawia, że wszystko inne jest warte swojej ceny.

– Rozumiem. Jest naprawdę niesamowity.

– Czy wiesz, że w lokalnym dialekcie Kalkari oznacza „czekać”?

Rose potrząsnęła głową.

– Bardzo trafna nazwa. – Cameron roześmiał się sucho. – Chodź już, zobaczymy, jak się mają krzaki.

Zeszli ze ścieżki i ruszyli wzdłuż pokrytych liśćmi rzędów krzewów. Rose trudno się było skoncentrować na tym, co Mark mówi, na jego objaśnieniach, czego szukają, przyglądając się pilnie malutkim, ściśniętym kiściom zielonych winogron. Przywiózł ją w miejsce, które ewidentnie znaczyło dla niego bardzo wiele. Cieszyło ją to.

– ...i to właśnie mamy na myśli, kiedy mówimy o *terroir*. To oznacza, że wino jest w stanie wyrazić miejsce, w którym zostało zrobione, glebę, klimat, warunki geograficzne i wegetacyjne...

Rose wyłączyła się, ciesząc się brzmieniem jego głosu i aksamitnym powietrzem. Marzyła, aby móc już zawsze z nim tak chodzić i być blisko niego.

– Co powiesz na przerwę? Jesteś głodna? – Pytanie Marka przerwało jej marzenia. Doszli do końca rzędu, do polany pod dużym drzewem eukaliptusowym.

– No ba! – Rose mogła jeść zawsze i wszędzie.

Miękka ziemia pokryta była opadłymi liśćmi w kształcie mieczy, które wydzielają z siebie charakterystyczny, intensywny zapach eukaliptusa. Rose rozpostarła na nich koc, na którym oboje usiedli. Kiedy oparli się plecami o pień drzewa, krzaki winorośli zupełnie zasłoniły ich przed ludzkim wzrokiem – a i tak w obrębie paru kilometrów nikogo nie było.

Mark otworzył wino i sięgnął do koszyka, skąd teatralnym gestem wyjął dwa kieliszki.

– Nie ma nic lepszego niż napić się wina w miejscu, z którego ono pochodzi, prawda?

Rose podniosła wzrok i zobaczyła, że Mark też na nią patrzy. Wpatrywali się w siebie, a świat stanął w miejscu.

– Twoje zdrowie – powiedział Cameron cicho.

– Twoje – odpowiedziała i przechyliła głowę, pociągając łyk wina o głębokim, owocowym posmaku.

Do wina mieli jedzenie, które przywiózł Mark – świeży chleb posmarowany pasztetem, który Rose zrobiła dzień wcześniej, dojrzałe truskawki i mały kozi serek z mleczarni Shingle Dairy. Wino powoli znikało w miarę rozmowy. Śmiali się z nieskutecznych prób Leo, który starał się wyszkolić Barnsie'ego, i z wysiłków Luisy, żeby złapać kurczaka. Rozmawiali o wszystkim i o niczym. Cienie nad winnicą wydłużyły się, a Rose zrobiło się zimno.

– Przysuń się bliżej. Drzysz.

Przesunęła się do Marka. Objął ją ramieniem i był to najbardziej naturalny gest pod słońcem. Znowu poczuła jego korzenny zapach, tak jak wtedy, kiedy przytulał ją po pożarze w domu sióstr Trevelyn. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezpieczna i spokojna.

Nagle odwrócił się do niej, ona uniosła ku niemu twarz, a on ją pocałował – najpierw delikatnie, a potem coraz mocniej. Przyciągnął ją do siebie, przesuając dłoń po jej piersi.

– Rose, nie masz pojęcia, jak na mnie działasz – wymamrotał w jej włosy.

Zamiast odpowiadać, przyciągnęła go bliżej do siebie, wyginając biodra ku niemu. Czuła, jaki jest twardy, czuła jego muskularne nogi na swoich. Osunęli się na koc w miłosnym uścisku. Mark oderwał wargi od jej ust. Oddychając chrapliwie, zręcznie rozpiął jej bluzkę i wyciągnął ją ze spodni. Rose wciągnęła ostro powietrze, kiedy odnalazł ustami jej mały, różowy sutek i zaczął go całować przez koronkowy biustonosz. Mark jęknął cicho i przetoczył ją na bok, rozpinając jej stanik drugą ręką. Jego usta nagle odnalazły nagą skórę jej piersi, potem przeciągnął ustami po jej płaskim brzuchu w kierunku bioder. Rose poczuła żar i straciła zdolność racjonalnego myślenia. Ściągnęła Markowi koszulę przez głowę, odsłaniając szerokie, ogorzone plecy. Pocałowała go zapalczywie, przesuując palcami po jego nagiej skórze. Teraz to on zadrżał pod jej dotykiem. Rose wydawało się, że słyszy niesioną przez wiatr łagodną melodię. Stawała się coraz głośniejsza. Mężczyzna jęknął i odsunął się od niej, wyciągając z tylnej kieszeni spodni telefon.

– Cholera, wydawało mi się, że go wyłączyłem.

Rose spojrzała w niebo i zobaczyła, że nad nimi pojawiły się pierwsze gwiazdy Drogi Mlecznej, oddalone o miliony lat świetlnych. Nie mogła uwierzyć, że ktoś im przeszkodził akurat w momencie, gdy sytuacja stawała się naprawdę interesująca.

*Oto moje cholerne szczęście. Lepiej, żeby to było ważne.*

Cameron odchrząknął.

– Halo?

Zapadła cisza. Mark słuchał dobiegającego ze słuchawki głosu.

– Rozumiem. Nie, słusznie zrobiłaś. Zaraz będziemy.

Rose popatrzyła na niego.

– To Leo. Ma gorączkę, ponad czterdzieści stopni, i Astrid mówi, że środek przeciwgorączkowy nie działa.

Rose natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Biedne dziecko.

– Jasne, ruszajmy.

– Przepraszam, Rose – powiedział Mark. Ich oczy się spotkały. W jego wzroku dostrzegła żal.

– Nie wygłupiaj się, Leo jest teraz najważniejszy.

Zapięła bluzkę, wspólnie spakowali resztki pikniku i pobiegli do samochodu. Mężczyzna nie oszczędzał silnika przez całą drogę do Kalkari.

– Jak on się czuje? – zapytał, otwierając drzwi do pokoju Leo. Na łóżku chłopca siedziała Astrid, obmywając mu czoło gąbką.

– Nadal ma wysoką gorączkę. Nie mogę go uspokoić.

– Tato, Rose... – odezwał się Leo. – Nie czuję się dobrze... – W tym momencie usiadł na łóżku i zwymiotował. Pokój wypełnił kwaśny zapach, a chłopiec zaczął płakać i się dławić.

– Nic się nie stało, kochanie – uspokajała go Astrid. – Paskudnie jest być chorym, wiem.

Astrid spojrzała na piżamę Leo przesiąkniętą wymiocinami. Chłopiec miał dreszcze.

– Może cię przebierzemy, co? I zmienimy pościel? Co powiesz na gorącą kąpiel?

Podczas gdy Astrid i Mark zabrali Leo do łazienki, Rose otworzyła okno i zdjęła pościel z łóżka. Zostawiła ją w pralni na dole, znalazła czyste prześcieradło i poszwę i zabrała się do ścielenia łóżka.

Po powrocie z łazienki Leo nie był już tak blady. Astrid ponownie zmierzyła mu temperaturę.

– Trzydzieści osiem i siedem. Już lepiej. Gorączka spada, dzięki Bogu – powiedziała. – Przepraszam, że was niepokoiłam, ale naprawdę się przestraszyłam, kiedy lekarstwo nie zadziało.

– Dobrze zrobiłaś. I tak byłem tylko w winnicy – powiedział Mark.

– Tato, zostaniesz ze mną? – zajączał Leo.

– Jasne, chłopie. Jestem przy tobie.

Rose zostawiła ich samych i wróciła do szopy, żeby się umyć. Widać było, że Mark jest wspaniałym ojcem, ale nie ma to jak wymioty – od razu sprowadzają człowieka na ziemię.

# Rozdział 27

– To tylko najbardziej prestiżowy konkurs winny w całej Australii – huknął Dan. – Nie ma się czym przejmować!

Rose wpadła do wytwórni z poranną herbatą i popełniła błąd, pytając Dana, co słyhać. Okazało się, że w tym właśnie tygodniu mają być ogłoszone wyniki Melbourne Wine Show i że wina z Kalkari zostały do niego zgłoszone w kilku różnych kategoriach.

– Nawet mi o tym nie przypominaj. Robię, co mogę, żeby o tym nie myśleć – dodał Cameron, częstując się dużym kawałkiem placka z rodzynkami. Był ewidentnie zdenerwowany. – Chcę tylko wiedzieć, co z Assignation. Powinno być dobrze, ale kto może wiedzieć, co tego dnia myśleli sędziowie i jaka była konkurencja?

– Niezależnie od wszystkiego to i tak cholernie dobre wino – uspokajał go Dan.

– Dzięki. Ja to wiem i ty to wiesz, ale jeśli się uda, to ludzie się o tym dowiedzą również w innych częściach kraju. Świat zauważy nas i naszą małą dolinę.

Rose uznała, że nie ma sensu uspokajać Marka. Był napięty jak struna. I nie ma się co dziwić. Wprawdzie starał się tego po sobie nie pokazywać, ale po tak długim pobycie w Kalkari zdawała sobie sprawę, jakie to dla niego ważne i jak bardzo pomogłoby mu to wydobyć Kalkari z długów.

Na początku tygodnia zadzwonili do niego z Sydney, aby dostarczył kilka skrzynek Assignation na uroczystą kolację na koniec konkursu. To była ważna wskazówka, że wino dobrze sobie poradziło, ale nikt nie miał pojęcia, jak dobrze. Mark i Dan mieli tego popołudnia lecieć do Melbourne – w ostatniej chwili zaproszono ich na galę, podczas której miano ogłosić medalistów i zwycięzców. Wydawało się, że wszystko idzie w dobrą stronę, ale nie przesądzało to jeszcze wyników konkursu.



Telefon zadzwonił tuż po wpół do dziesiątej wieczorem. Rose sprawdzała swoją komórkę co chwilę od około ósmej, upewniając się, czy się nie wyładowała. Oglądała z Astrid i Jake'em telewizję, ale tak naprawdę żadne z nich nie potrafiło się skupić. Wszyscy czekali na wiadomości z Melbourne.

W słuchawce słyhać było taki gwar, że ledwie słyszała rozmówcę.

– Udało się, Rose! Udało się! – To był Dan. Rose wprost widziała oczyma duszy, jak podskakuje podczas rozmowy. – Wygraliśmy cholernego Jimmy'ego Watsona!

Rose krzyknęła z radości, a Astrid i Jake spojrzeli na nią pytająco z oczekiwaniem na twarzach.

– Iiiiihaaaaa! – wrzasnęła do słuchawki. – To fenomenalnie! Gratulacje! Gdzie Mark?

– Tuż obok. Chce z tobą pogadać.

– Rose, udało się! Assignation wygrało! To nieprawdopodobne, po prostu nieprawdopodobne. Wiedziałem, że jest dobre, ale rany boskie, jestem w szoku. To po prostu genialnie! – wyrzucał z siebie zachwycony Mark. Na linii znów odezwał się Dan.

– Przepraszam, kotku, musimy lecieć, wołają go na wywiad. Do zobaczenia jutro!

Rose i Astrid spojrzały na siebie i uściskały się z radości.

– No, to mu powinno poprawić humor przynajmniej do Gwiazdki – zaśmiała się Astrid.

– Może zorganizujemy imprezę na ich powrót. Co myślicie? – zaproponował Jake. – Zaprośmy wszystkich z doliny. To zwycięstwo to również ich sukces i jestem pewien, że będą chcieli pogratulować szefowi.

– Na pewno! Zadzwoń do Windsong i Lillybells, dam chłopakom znać, że jutro świętujemy wygraną – odpowiedziała Astrid i ruszyła w poszukiwaniu swojego telefonu.

– On cię lubi, wiesz? – zauważył Jake.

– Co masz na myśli? – zapytała Rose.

– Podobasz się Markowi. Widzę to w sposobie, w jaki na ciebie patrzy. Miał ciężkie życie pod każdym względem, ale to przyzwoity gość. Nie zrób mu krzywdy.

– Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz – odpowiedziała, dodając argument Marka sprzed kilku miesięcy: – Poza tym jest dla mnie za stary. Jest moim szefem i, jakbyś zapomniał, jest nadal żonaty.

– Tak, ale nie wydaje się, żeby szanowna małżonka spieszyła się z powrotem, nie?

– Nawet po to, żeby zobaczyć się z dziećmi?

– Może i tak, ale lokalsi mówią, że nigdy jej się tu nie podobało, nigdy nie zapaściła tu korzeni.

A Mark jest człowiekiem tej ziemi. On tu przynależy. Tak jak ty.

– Ze wszystkim jesteś na bieżąco, co? Co to cię w ogóle obchodzi? – Rose zirytowała się wszystkowiedzącym uśmiechem Jake’a. Był tu zaledwie chwilę i już się miesza do wszystkiego, zakładając, że wie wszystko najlepiej.

– Lubię wiedzieć, co i jak, i lubię pracować w miejscu, gdzie ludzie są szczęśliwi – odpowiedział Jake spokojnie. – W każdym razie mamy imprezę do zorganizowania. Będzie szaleństwo! Mam nadzieję, że nie będą dziś zbyt intensywnie świętować, bo jutro czeka ich fiesta.



Astrid i Rose rozpuściły wici – choć, jak się okazało, wcale nie musiały tego robić – i następnego ranka cała dolina mówiła już tylko o jednym. Wszyscy, z którymi rozmawiały, byli wniebowzięci sukcesem Marka i obiecali przybyć wieczorem do Kalkari.

Podczas gdy Astrid odwoziła Leo do szkoły, Rose ruszyła do Eumeralli. Po drodze do rzeźnika wpadła na Bevana.

– Już słyszałem. To wspaniała wiadomość! – powiedział, ściskając ją.

– Tak, wszyscy jesteśmy szczęśliwi – odpowiedziała Rose.

– Potrzebujesz dziś wieczorem pomocy?

– O, tak. Właśnie przyjechałam po tonę kiełbasek i trochę steków. Kilka osób obiecało zrobić sałatki. Nie mam tylko pojęcia, ile ludzi będzie.



– Na ile znam tę dolinę, przyjdą wszyscy, którzy są w stanie chodzić o własnych siłach. Już od bardzo dawna nie mieliśmy tak fantastycznego powodu do świętowania. Wszyscy są z Marka strasznie dumni; wiedzą, że ostatnio przeżywał ciężki okres, a jego sukces może nawet przekonać kilkoro z nich, aby wypróbować jego sposób produkcji – stwierdził Bevan.

– No to chyba wykupię wszystko, co rzeźnik ma w ofercie – roześmiała się Rose.

Po zakupach wstąpiła do Świętego Ziarna, żeby sprawdzić pocztę. Czekał na nią e-mail od Henry’ego, ale celowo go nie otworzyła. Nie chciała o nim myśleć akurat teraz.



Pogoda zapowiadała się pięknie, więc późnym popołudniem Astrid i Rose wyciągnęły przed dom kilka stołów na kobyłkach, które znalazły na zapleczu wytwórni, ustawiły je pod kazuaryną i przykryły obrusami w kratkę. Dzieci biegały wokół i próbowały utrzymać kontrolę nad Barnsie’em, który – niezmiernie podekscytowany – czekał na balony, którymi przybrane były drzwi do winiarni i pień kazuaryny. Jake pomógł im wyciągnąć na zewnątrz starą cynową balię, która teraz stała przed winiarnią, a Bevan obiecał przywieźć ze sobą kilka worków z lodem, którymi Rose miała zamiar napełnić ten improwizowany pojemnik do chłodzenia napojów.

Właśnie kończyli przygotowania, kiedy stado ptaków – Rose już wiedziała, że to kakadu różowe – przeleciało im nad głową. Ich różowe brzuchy zaśniły w gasnącym słońcu. Cała dolina wypełniona była miękkim, wieczornym światłem. Właśnie pomyślała o tym, kiedy Mark i Dan wrócą z lotniska, gdy w oddali zobaczyła charakterystyczny kłęb kurzu. To muszą być oni, pomyślała, i – nagle zakłopotana – pobiegła się umyć i przebrać w coś nieco bardziej kobiecego niż spłowiały T-shirt, zakurzone postrzępione szorty i robocze buty.

Skręcając długie, ciemne włosy w gładki kok i mocując go srebrną spinką z motylem, którą dostała od Henry’ego, Rose czuła niepokój na myśl o czekającym na nią e-mailu od brata. Była zupełnie rozdarta między lojalnością wobec Henry’ego a przywiązaniem – a uczuciami – do Marka i całego Kalkari. Uznała, że wieści o sukcesie Camerona dotarły już do Londynu. Zdawała sobie teraz sprawę, że zdobycie nagrody Jimmy’ego Watsona było dużym osiągnięciem. Nie była pewna, jak to się może przekładać na plany Henry’ego, ale miała nadzieję, że Kalkari może nie być już dla niego interesujące – choć przypuszczała, że z drugiej strony wygrana mogła zrobić z wytwórni jeszcze bardziej łakomy kąsek. Nie była też pewna, co zdobycie nagrody Jimmy’ego Watsona oznacza dla niej samej, jej miejsca w Kalkari i jej kiełkującego związku z Markiem.

W rozmowie z Jake’em skłamała, mówiąc, że Cameron jest dla niej za stary. Był od niej starszy, to prawda, ale czuła, że do siebie pasują, czy to podczas biegu przez dolinę, czy podczas spokojnych rozmów w szopie. Do diabła, nawet podczas tamtego milczącego powrotu z Sydney była przeszczęśliwa, bo siedział obok niej.

Wyparła z głowy myśli o bracie i skoncentrowała się na znacznie przyjemniejszej perspektywie zobaczenia się z ukochanym. Nie było go tylko dwa dni, ale tęskniła za nim jak wariatka. Nałożyła na już i tak różowe wargi warstewkę błyszczycy i przejrzała się w lustrze. Zobaczyła jasne oczy i opaloną skórę, wysokie kości policzkowe, a także ogólny zdrowy wygląd, który był efektem całych godzin

spędzanych na zewnątrz i codziennych treningów. Wyglądała też na znacznie szczęśliwszą niż wcześniej – przelotnie przypomniawszy sobie okres, kiedy mieszkała w Londynie. Wtedy cały czas wyglądała na zmęczoną i tak się też czuła. To było jednak dawno temu i na drugim końcu świata. Zakręciła tubkę z błyszczkiem i ruszyła w stronę winiarni.

# Rozdział 28

Wszyscy bardzo się starali. Stoły niemal ugiwały się pod ciężarem trzech ogromnych szklanych mis z sałatkami oraz wielkim wyborem owocowych i kremowych deserów, przykrytych muślinowymi ściereczkami.

– Dzięki temu nie siadają na nich muchy – wyjaśniła pani B, która przyszła wcześniej, aby pomóc w przygotowaniach. Długą drogą w kierunku Kalkari zajeżdżał sznur samochodów, z których wysiadali ludzie ze skrzynkami z piwem, dziesiątkami butelek w rękach i wielkimi tacami jedzenia.

Deano i Mick choć raz zrezygnowali z polarowych kurtek i wyglądali zaskakująco elegancko w wyprasowanych bawełnianych T-shirtach i skórzanych spodniach. Matko jedyna, wydawało się, że nawet wyglansowali na tę okazję swoje skórzane sztyblety! Rose była pod wrażeniem. Stali koło Dana i słuchali w skupieniu, kiedy opisywał wydarzenia z poprzedniego wieczora, machając rękami z entuzjazmem. Nawet Dan doprowadził do porządku swoją zwykle rozwichrzoną brodę i miał na sobie koszulę z kołnierzykiem. Noc cudów.

Niemal nie rozpoznała stojącej obok nich Angie, która zamiast swojej zwykłej bluzy i dżinsów miała na sobie kwiecistą sukienkę z falbankami. Kiedy jednak Rose przyjrzała się jej bliżej, dostrzegła, że Angie ma na sobie takie same sztyblety, jak chłopaki, tyle że w jej przypadku wystawały z nich jaskraworóżowe skarpetki.

Angie rozmawiała z Jake'em, który uruchomił cały swój urok osobisty, a ona wydawała się całkiem zadowolona z jego adoracji.

Bevan rozpałił już pod rusztem i grillował mięso. W jednej ręce trzymał szczypce, a w drugiej piwo.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała Rose, rozglądając się za Cameronem.

– Wszystko gra, kotku, wszystko pod kontrolą. Złap sobie coś do picia i zacznij się bawić – odpowiedział.

Przypomniała sobie, że kupiła w Eumeralli papierowe serwetki, i poszła po nie do kuchni. Wchodząc do domu, zobaczyła Marka na schodach.

– Rose? To ty? – W jego głosie słychać było niedowierzenie.

– Tu jestem, Mark.

– Wow, ależ wspaniale wyglądasz – powiedział. – Ta sukienka jest super. Bardzo ładna.

Rose spojrzała w dół na lśniąca, srebrną sukienkę.

– Dzięki. Pożyczyłam od Astrid. Nie jest chyba za krótka, prawda?

– Nie jestem pewien. Muszę to sprawdzić. – Mężczyzna podparł podbródek dłonią i udał, że poświęca temu pytaniu należyta uwagę. Kiedy obchodził ją od tyłu, nie mogła powstrzymać wzbierającego w niej śmiechu.

– Aha, chyba jednak nie jest. A przy okazji, gratulacje! Musisz być z siebie dumny.

– Tak, to coś niesamowitego. Chyba jeszcze do końca w to nie wierzę, chociaż wczoraj już to świętowaliśmy – odpowiedział. – Sądząc po tym, co tu się dzieje, dziś będziemy świętować dalej. Dzięki, że to zorganizowałaś. Jesteś niesamowita.

– Och, to nic takiego. – Rose była zachwycona komplementem. – Wszyscy pomagaliśmy, a kiedy już wieści się rozeszły, wszyscy z doliny chcieli przyjść i ci pogratulować. Nie wspominając już o tym, że tu każdy lubi świętować.

– To prawda.

Ich oczy się spotkały. Rose poczuła nagle suchość w gardle i z trudem próbowała przełknąć ślinę. Mężczyzna wyciągnął rękę, włożył jej pasmo włosów za spinkę z motylem i na krótko zatrzymał dłoń na jej karku. Rose przebiegł dreszcz pod jego dotykiem – zawirował jej żołądek, a kolana ugięły się z pożądania. Była absolutnie pewna, czego chce. Musiała jednak być na tyle odważna – albo nierozsądna – żeby to zrealizować.

Mark chyba czytał jej w myślach.

Bez słowa przyciągnął ją do siebie i pocałował tak zachłannie, jakby świat miał się za chwilę skończyć. Nie potrzebowała żadnej dodatkowej zachęty – objęła go, przytuliła się do niego całym ciałem i ponownie rozpalili w sobie ogień pożądania.

– Och, Rose – wyszeptał jej do ucha. – Do diabła z rozwagą. Nie masz pojęcia...

Jego głos umilkł, kiedy wrócił do przerwane go pocałunku. Rose raczej czuła niż słyszała łomotanie ich serc. Gdyby jej nie podtrzymywał, nogi najpewniej odmówiłyby jej posłuszeństwa. Nie była przyzwyczajona do komplementów, a jego szepty pozbawiły ją tchu, nie wspominając już o wspomniałym dotyku jego warg, które przesunął po jej obojczyku. Chciała więcej. Znacznie więcej.

Niestety, kosmos akurat miał w nosie to, czego ona chce.

– Taaato.

Rose i Mark odskoczyli od siebie na dźwięk głosu Leo. Chłopiec patrzył na nich z progu kuchni.

– Tato, możemy wyjść na trochę na zewnątrz? – Leo wydawał się zupełnie niewzruszony faktem, że nakrył własnego ojca obściskującego się z Rose.

– Jasne, chłopie. Może pójdziemy rozpocząć imprezę, co? – Cameron rzucił Rose żalosne spojrzenie i wyszeptał „później” nad głową Leo. Kobieta uśmiechnęła się do niego. Będzie musiała powstrzymać emocje jeszcze trochę dłużej. Kieliszek wina powinien pomóc jej ochłonać. Ruszyli do winiarni, gdzie Jake’owi udało się zmontować system nagłośnienia – z głośników na pełny regulator ryczał właśnie INXS.

Noc była ciepła, ogromny nieboskłon rozświetlały gwiazdy, a nastroje były szampańskie. Bevan miał rację – w Kalkari pojawili się niemal wszyscy mieszkańcy doliny. Każdy przyniósł ze sobą talerz lub półmisek z jakimś jedzeniem, a rzeźnik Harry przyjechał z dodatkowymi kilogramami kiełbasek, więc jedzenia było aż nadto dla wszystkich. Jeśli chodzi o alkohol, to Rose nie mogła uwierzyć, ile wokół niej pito. Patrząc na rosnący stos pustych puszek po piwie, doszła do wniosku, że jak na winiarzy całkiem dobrze umieją pić również piwo.

Kiedy Mark i Dan ruszyli w stronę grupy gości, Rose usłyszała oklaski. Obaj mężczyźni zniknęli pod poklepującymi ich dłońmi i w niedźwiedzich uściskach. Wszyscy cieszyli się ich sukcesem.

– Pewnie powinniśmy podnieść cenę, co, szefie? – zasugerował później Dan w rozmowie z Markiem.

– Nie ma mowy. To czerwone wino za trzydzieści dolców i mam nadzieję, że tak zostanie. Będę jednak mieć w ręku argument do negocjacji z dystrybutorami, ale tym będę się przejmować, kiedy dojdzie do transakcji. Dzięki tej nagrodzie trafiamy na australijską mapę wina. Kalkari. Dolina Shingle. Awansowaliśmy do czołówki. To przekracza moje najśmielsze marzenia. Ludzie będą prosić o naszego shiraza. Najlepsze restauracje będą chciały go mieć w karcie. To wpłynie pośrednio na pozostałe nasze wina, a to znaczy, że finansowo powinniśmy wyjść na prostą. Będziemy mogli spać spokojniej i skupić się na tym, w czym jesteśmy dobrzy – na robieniu wina, a nie na podlizywaniu się bankom.

Rose słuchała ich rozmowy i nie mogła opanować radości. Teraz już wiedziała, że zdrada Marka była ostatnią rzeczą na świecie, którą chciałaby zrobić, niezależnie od obietnic i lojalności wobec brata. Chciała dla Camerona tylko najlepszego. Nagle zdała też sobie sprawę, że chce tu zostać, być częścią tego wszystkiego, być częścią Kalkari. Patrząc na bawiących się wokół ludzi zrozumiała z absolutną pewnością, że to jest jej miejsce i że tu wszystko ma sens. To była najlepsza rzecz, jaka jej się kiedykolwiek przydarzyła.

*Jasna cholera.* To nie miało prawa się zdarzyć.

Podkrecono muzykę i ktoś pociągnął Rose na parkiet. Tańczyła do energetyzującego rytmu i czuła się w tym momencie pełna życia i wolna. Nie przejmowała się tym, co przyniesie przyszłość, napawała się chwilą w tej pięknej dolinie, ciepłym wieczorem, towarzystwem przyjaciół. Jake złapał ją za rękę i obrócił piruetem na trawie przed winiarnią. Zakręciło jej się w głowie, ale nie chciała, by ta chwila się skończyła. Zamknęła oczy, bo świat wirował wokół niej.

– Może troszkę przystopujesz, Rose. – W jej myśli wdarł się głos Marka.

Otworzyła oczy, kiedy objął ją i podtrzymał.

– Łiiii... – zachichotała, zdając sobie sprawę, że wino, którego napiła się na początku wieczora, mocno nią zakołysało.

– Dziewczyno, chyba powinnaś już iść do łóżka – powiedział jej na ucho Cameron.

– O tak, bardzo chętnie! – uśmiechnęła się do niego kpiąco.

– Rose, wiesz, że nie do końca to miałem na myśli. Chociaż z drugiej strony nie miałbym nic przeciwko rozpakowaniu cię z tej srebrnej, lśniącej sukienki. To byłby wspaniały prezent z okazji powrotu do domu, nie uważasz? – Wydawało się, że Rose nie była jedyną osobą, w której przypadku alkohol pokonał zahamowania. Kolana ugięły się pod nią już drugi raz tego wieczora.

Mark niechętnie wypuścił ją z ramion i poprowadził do wolnego krzesła pod drzewem.

– Ale zanim zabiorę się do rozpakowywania, pójdę skontrolować zapasy alkoholu. Ta banda pije tyle, że zatopiłaby Titanica.

Rose usłyszała utwór „Georgia” Vance’a Joya i poderwała się na nogi.

– Nie psuj zabawy, jest mnóstwo rzeczy do picia, a ty musisz ze mną zatańczyć. *She...* – zaczęła fałszować Rose. W jej stanie tekst piosenki miał głęboki sens. Co tam, do diabła, miał głęboki sens i po pijaku, i na trzeźwo.

Nie udało jej się jednak zaśpiewać nic więcej, bo nagle zauważyła wyraz twarzy Marka. Był jak zmrożony.

– Czy ja naprawdę aż tak źle śpiewam? – zapytała. Zanim jednak mężczyzna zdążył jej odpowiedzieć,

kręcąc biodrami podeszła do niego wysoka kobieta w spódnicy rozciętej do pół uda. Przezroczystą bluzkę miała rozpiętą o ładnych parę guzików niżej, niż zwykle uznaje się za przyzwoite, a ciemne włosy falowały wokół twarzy jak woda. Twarz miała nierealnie piękną, z rodzaju tych, dla których na morze wyruszają całe floty, a poeci rzucają się do pisania. Kobieta zarzuciła ręce Markowi na szyję.

Rose nagle zrozumiała, kto to jest, i zrobiło jej się niedobrze. Jej serce, które chwilę temu jeszcze unosiło się wśród gwiazd, teraz spadło na ziemię.

Mark zachwiał się nieco pod entuzjazmem uścisku kobiety.

– Isabella... Co? Jak? Myślałem, że jesteś w Barcelonie.

– Przyleciałam dziś rano i we wszystkich gazetach pisali o twoim fantastycznym zwycięstwie. Po prostu musiałam przyjechać i ci pogratulować. Mark, to wspaniała rzecz. Jestem z ciebie taka dumna. Wiedziałam, że ci się uda. Jesteś moim bohaterem.

Rose stała raptem kilka kroków dalej. Ciężka woń perfum Isabelli, wywoływała u niej mdłości i zawroty głowy.

*A więc to jest Isabella. Żona Marka. Cholera jasna.*

Rose, nagle zupełnie trzeźwa, poczuła się jak sparciały balon na tydzień po imprezie. Wiedziała, że flirt między nią a Cameronem bladł w porównaniu z prawami, jakie Isabella miała do Marka jako jego żona. Przerazająca elegancja i opanowanie Hiszpanki także nie pomagały. Rose poczuła się nagle jak niechlujna, zakompleksiona nastolatka.

Odwróciła się, mrugając szybko, żeby powstrzymać łzy, i znalazła stos szklanek i talerzy do wyniesienia. Zupełnie automatycznie zaczęła sprzątać. W dali zahuczał piorun, a Barnsie, przywiązany koło drzwi do winiarni, zaczął wyć. Powietrze stało się duszne, a czyste wcześniej nocne niebo przesłoniły chmury.

Dan podeszedł do Rose i delikatnie wyjął jej szklankę z ręki.

– Och, kotku, widzę, że jesteś zmartwiona. Chodzi o Isabellę, prawda?

Rose niemo pokiwała głową.

– Przepraszam, Dan, nie mogę... – odwróciła się i uciekła do szopy, prawie nie zauważając wielkich kropli deszczu, które padały na jej nagie ramiona i rozbryzgiwały się na żwirze. Barnsie, zwolniony z uwięzi, wbiegł za nią do budynku. Nie miała serca wyrzucić go na zewnątrz. Padła na kanapę i wtuliła twarz w jego wilgotne futro.

## Rozdział 29

Kiedy następnego ranka Rose wyjrzała przez okno, zobaczyła, że niebo jest idealnie bładoniebieskie, jakby burza umyła je do czysta i rozwiesiła do wyschnięcia. Kiedy przypomniała sobie imprezę i nieoczekiwane pojawienie się Isabelli, poczuła ucisk w żołądku. Myślała, że zerwanie z Gilesem złamało jej serce, ale teraz czuła ból nieporównywalny z niczym innym. Do poprzedniego wieczora nie przyznała się sama przed sobą, że kocha Marka, ale teraz czuła, że jej serce, pragnienia i marzenia rozpadają się jak rozbite szkło.

Głowa pulsowała jej od wina, a w ustach czuła paskudny posmak. Równie podły miała też nastrój. Było na to tylko jedno rozwiązanie. Naciągnęła spodenki i koszulkę do biegania, na głowę nałożyła daszek i zawiązała buty. Droga będzie błotnista, ale dzisiaj nie będzie to dla niej problem.

Ruszyła ścieżką wiodącą do winiarni i jej oczom ukazał się obraz nędzy i rozpacz, czyli pozostałości wczorajszej imprezy – puste butelki rozrzucone pod stołami i na trawniku oraz kilka zimnych kiełbasek, porzuconych w kałuży tłuszczu na grillu. Posprząta się to później – może Astrid zgodzi się pomóc. Teraz była pora na bieg – ucieczkę przed uczuciem rozczarowania, ucieczkę tak szybką, aby wir emocji nie mógł jej dogonić.

Na szczycie wzgórza spojrzała na dom sióstr Trevelyn i zastanawiała się, co z nim będzie. Vera i Violet wyszły już ze szpitala i miały się coraz lepiej, ale spowodowane pożarem uszkodzenia domu były bardzo poważne, siostry musiały więc zamieszkać u krewnych. Rose zbiegła z wzgórza po zachwaszczonej ścieżce między krzewami winorośli i zatrzymała się przy grządce warzywnej. Była strasznie zarośnięta, ale dało się zauważyć całkiem już spore strąki grochu na tyczkach i czerwieniejące pomidorki koktajlowe. Rose postanowiła wrócić tu później w wolnej chwili i powyrywać chwasty. Chciała jakoś pomóc nieobecny sąsiadkom. Była gotowa zrobić wszystko, co pomogłoby jej nie myśleć o Marku i Isabelli. Stłumiła szloch.

Wracając na dzielące obie posiadłości wzgórze, przyspieszyła kroku. Po ostatniej nocy nieco zasnęła, a w Kalkari na pewno wszyscy są już głodni. Musiała ich wszystkich nakarmić niezależnie od tego, jak się czuła.

Faktycznie, zdejmując zabłocone buty na tylnej werandzie, usłyszała dobiegający z kuchni hałas – a także gwizdanie. W kuchni Jake smażył jajka i bekon, zabawiając Leo i Luisę śmiesznymi minami i dźwiękami. Wydawał się w dobrym nastroju. Po Marku i Isabelli ani śladu.

– Chcesz mnie zastąpić? – zapytała Rose, próbując robić dobrą minę do złej gry. Była zbyt dumna, aby zdradzić się ze swoim nieszczęściem, szczególnie Jake'owi.

– Te dwa potwory były głodne, a ja zresztą też. – Uśmiechnął się do niej przez opadające na twarz ciemne włosy, fachowo przerzucił jajka i zsunął je na talerze. – Zaraz gotowe, dzieciaki.

– Co zaraz gotowe? – zapytał Cameron, wchodząc do kuchni. Miał świeżo umyte włosy, wyglądał na odprężonego i wypoczętego. Unikał wzroku Rose. – Ale impreza, co? – powiedział w przestrzeń, złapał grzanekę i posmarował ją masłem i pastą warzywną.

– Co tam u was, robaczki? – dodał, jedną ręką mierzwiąc włosy Leo, a drugą trzymając grzanekę. Nachylił się do Luisy i ją pocałował. – Mam dla was niespodziankę.

– Cio? Cio to? – wykrzyknęła Luisa.

– Niespodziankę? – dopytywał chłopiec.

– Tak, chodźcie. Pomóżcie mi przygotować tacę, zaniesiemy ją na górę.

– Na górę? – powtórzył Leo.

– Tak, chłopie. Tam właśnie jest niespodzianka.

Mark zapakował tacę jajkami, grzankami i sokiem i kiwnął na dzieci, żeby poszły za nim. Rose ścisnęło się serce. Do tego momentu łudziła się, że może Isabella nie została na noc, że może jeszcze ona i Mark mają szansę. Te złudzenia właśnie legły w gruzach.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jake na widok jej zrozpaczonej miny. – O-o. Powrót żony marnotrawnej komplikuje sytuację, co?

Kobieta nie odpowiedziała. Nie było co odpowiadać. Słyszała dobiegający z góry podekscytowany śmiech Luisy.

W drzwiach ponownie stanął Cameron.

– Rose, mogę cię prosić na słówko? Jest pewna sprawa w winiarni, o którą muszę cię spytać.

– Jasne. – Czują się jak skazaniec idący na szafot. Wyszli razem z kuchni na tylną werandę i odeszli kawałek od kuchennego okna. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Mark zatrzymał się z wyrazem rozpaczony na twarzy.

– Rose, bardzo cię przepraszam za wczorajszy wieczór. Uwierz mi, nie miałem pojęcia, że Isabella pojawi się w ten sposób. Ale ona jest matką moich dzieci i do niedawna to był jej dom. Nie mogłem jej tak po prostu wyrzucić. Ty i ja, no cóż, to po prostu zły moment. Tak bardzo bym chciał, żeby sytuacja wyglądała inaczej, ale na dzień dzisiejszy nie mogę się angażować w związek z tobą. Angażowanie ciebie w tę sytuację też byłoby nieuczciwe. Jest zbyt dużo spraw niezłatwionych. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Rose kiwnęła głową. Spodziewała się tego. Nie miała prawa go przekonywać, aby zmienił zdanie.

– Słuchaj, Rose, dzieciaki cię uwielbiają. Wszyscy tu cię lubią. Nawet Dan ciągle wyśpiewuje peany na twoją część. Ty i Astrid naprawdę poprawiłyście tu atmosferę. Dzięki wam Kalkari jest znacznie szczęśliwszym miejscem. Proszę cię, zostań – o rany, gadam jak potłuczony...

Rose zrobiła krok do tyłu, powiększając dzielący ich dystans do maksimum.

– Nie jestem pewna, Mark. Muszę to przemyśleć.

– Dobrze – odpowiedział. – Uszanuję twoją decyzję. Wiem, że nie będzie ci łatwo.

Odwróciła się i ruszyła w stronę szopy. Nie chciała, żeby zobaczył, jak płacze.



Tego dnia do Kalkari przyjechała nie tylko Isabella. Jake'owi udało się znaleźć na zachodzie prowincji



dostawcę tajemniczych towarów i uzyskać od niego zapewnienie, że specjalna dostawa do Kalkari wyruszy w drogę w ciągu tygodnia.

– Dzieciaki będą takie zachwycone! – dodał, kiedy wyjaśniał Rose swoje plany. – Sam czuję się jak duże dziecko.

– Leo, Luisa! Chodźcie szybko i zobaczcie, co tu mamy! – zawołał w głąb domu, kiedy na podjazd wtoczyła się ze zgrzytem duża ciężarówka.

– Co to jest, Jake? – zapytał Leo, biegnąc za Jake’em do winiarni. Astrid, Rose i Luisa szły za nimi.

– I co myślicie? – powiedział dumnie Jake, wskazując na cztery małe, kremowe, czworonogie zwierzaki, które właśnie wybiegły z ciężarówki, becząc, podskakując i oglądając swój nowy dom.

– Co to takiego jest? – zapytała Astrid.

– Wełniste odchwaszczacze! – obwieścił Jake z dumą.

– Co...?

– Owce miniaturki. Będą się pasły między krzewami winorośli, utrzymując chwasty w ryzach, a do tego wzbogacą glebę nawozem.

– Ja pierniczę, chłopie! – wykrzyknął Dan, wyłaniając się z mroku wytwórni i drapiąc po głowie. – Czy to żart? Szeף o tym wie?

– Tak. Pewnie. Zgodził się w zeszłym tygodniu.

– Oooo, są takie urocze – Astrid wpatrywała się w owieczki.

– Aha, Rose, nie ma mowy o przerabianiu ich na pieczeń – zastrzegł Jake. – Sporo nas kosztowały.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy. Są zbyt puchate, żeby je zjeść – odparowała Rose.

– Możemy je pogłaskać, Jake? – zapytała Luisa.

– Nie jestem pewien, na ile są oswojone, ale jak się już zadomowią, to będzie można spróbować do nich podejść. Trzeba będzie wyszkolić Barnsie’ego, żeby je zaganiał.

– Mogę też pomagać? – Leo zapalił się do pomysłu.

– Pewnie, chłopie. Będziesz moją prawą ręką.

– Ja nie mogę – Dan potrząsnął głową. – Nigdy nie sądziłem, że dożyję takiego dnia. To teraz hodujemy też owce?

– Lepiej w to uwierz. Te maluchy zwrócą się z nawiązką.

# Rozdział 30

Rose szła właśnie posprzątać pozostały bałagan po nocnej imprezie, kiedy zobaczyła jadący w stronę Kalkari samochód. Nie знаła go, więc zatrzymała się, żeby zobaczyć, kóż to nadciąga. Być może robotnicy od nawadniania pojawili się przed czasem. Jake wspominał coś o nich podczas śniadania, ale Rose nie zwracała uwagi na jego słowa. Miała co innego na głowie.

Samochód zatrzymał się raptownie, a spod jego kół na szerokim zakręcie wystrzeliły pociski żwiru. Z samochodu wysiadły dwie osoby. Kobieta, nieco posiwiała blondynka, miała na sobie tweedowy zielony płaszcz, a na szyi zawiązaną jedwabną apaszkę w krzykliwy wzór. Mężczyzna ubrany był niemal identycznie, ale zamiast apaszki miał kraciatą czapkę w stylu Sherlocka Holmesa. Wyglądali, jakby brali udział w sesji fotograficznej do alpejskich pocztówek.

– *Grüß Gott!* Szukamy Astrid – powiedziała kobieta z akcentem, którego nie dało się podrobić. – Czy dobrze trafiliśmy?

– Dzień dobry! Tak, doskonale Państwo trafili. Witamy w Kalkari – odpowiedziała Rose.

– O, to dobrze. To strasznie długa droga. Jestem wykończona – odparła kobieta.

– Naturalnie. Astrid akurat nie ma, wyjechała z Luisą, ale powinny wrócić na lunch. Zapraszam tędy, podam państwu coś do picia w tym czasie – zaproponowała Rose. – Przepraszam za bałagan – wczoraj wieczorem zorganizowaliśmy przyjęcie. Kalkari wygrało ważną nagrodę.

Posadziła gości na ławce pod kazuaryną, pospiesznie usuwając kilka pustych butelek, które spadły pod nią jak martwi żołnierze. Kobieta uniosła brwi, nim usiadła, ale nie odezwała się słowem. Mózg Rose pracował na przyspieszonych obrotach. Ewidentnie miała przed sobą rodziców Astrid, ale co oni tu robili? Niania – tego Rose była pewna – się ich nie spodziewała. Rose błyskawicznie wypłukała imbryk i pokroiła pozostałą z imprezy tartę cytrynową. Z głębin kredensu wygrzebała porcelanowe filiżanki i spodki w ładny, kwiatowy wzór. Uznała, że rodzice Astrid (a zwłaszcza jej mama) to docenią. Wychodząc z domu z ciężką tacą, zauważyła, że starsi państwo rozglądają się wokół zde gustowani. Bałagan przed winiarnią nie zrobił na nich dobrego wrażenia.

– A tak w ogóle, to jestem Rose. Pracuję tu z Astrid – przywitała się, stawiając tacę na stole.

– Ach, tak – odpowiedziała kobieta, sięgając po imbryk. Uniosła wieczko i zajrzała do środka. – Ja jestem Helga, a to Hans – wskazała na swojego towarzysza. – Jesteśmy rodzicami Astrid.

– Tak właśnie przypuszczałam. Astrid będzie zachwycona waszym przybyciem – powiedziała Rose entuzjastycznie. Kłamstwa coraz lepiej jej wychodziły.

Pognała do szopy po telefon, aby ostrzec dziewczynę przed jej powrotem.



Astrid nie odbierała, więc Rose wysłała jej esemesa z prośbą o szybki kontakt. Zamiast siedzieć i gryźć paznokcie ze zdenerwowania poszła sprzątać pozostałości po imprezie. Helga i Hans, jak się wydawało, skończyli pić herbatę – widziała, jak spacerują aleją. Hans kuśtykał u boku żony, która wskazywała na winorośle i wyrzucała ręce w górę. Rose widziała, jak rusza ustami, ale wiatr wiał w przeciwną stronę, nie słyszała więc słów. Wydawało się, że się kłóca.



– Halo000, wróciłyśmy! Jest ktoś w domu? – zawołała niania, podchodząc do tylnej werandy z Luisą na biodrze. W domu było cicho. Opiekunka zniosła dziewczynkę do kuchni i posadziła ją w wysokim krzeselku.

– A więc, panno Lulu, co ma być? Serek? Awokado? Kanapka?

– Ziupe ploszę! – zażądała dziewczynka.

– Dobrze, chyba tu coś jest – odpowiedziała Astrid, otwierając lodówkę i zaglądając do środka.

Rose usłyszała zajeżdżający samochód i przybiegła z winiarni, gdzie wciąż jeszcze próbowała doprowadzić wszystko do porządku.

– Astrid – wysapała bez tchu. – Nie uwierzysz, kto przyjechał.

– Wiem. Thommo mi powiedział, że Isabella wróciła. Dobry Boże, tylko tego nam było trzeba. Ta kobieta jest zupełnie szurnięta. Na pewno zobaczysz, co mam na myśli.

– Nie – odpowiedziała Rose. – Nie chodzi o Isabelle.

– To kto, Ryan Gosling? – zachichotała dziewczyna. – Postanowił przyjechać do doliny Shingle? No, mów, Rose. Porzucił Evę Mendes i postanowił przeprowadzić się do Australii, bo usłyszał, że ty też tu mieszkasz?

– Erm, aż dziwne, że nie wpadłaś na nich na podjeździe – zauważyła Rose.

– Co, Ryan naprawdę przyjechał? Powiedz, serio? No dobra, kto to jest? – zapytała Astrid, dmuchając na talerz z zupą, którą podgrzała dla Luisy.

– No cóóó... – zaczęła Rose. – Lepiej weź głęboki wdech.

W tym właśnie momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Halo00. Jest tam kto?

Głos był przytłumiony, ale Astrid zbladła jak płótno i niemal upuściła trzymany w ręku talerz z zupą.

– Och, *mein Gott*. To jakiś żart, prawda?

– Wcale nie żartuję, kochana. Tatuś i mamusia przyjechali z wizytą – odpowiedziała Rose.

– *Christus!* Oooo, przepraszam, Luiso – zreflektowała się dziewczyna, zasłaniając małej uszy. Jej dłonie powędrowały następnie w kierunku brzucha, wygładzając przykrywającą go bluzkę. – Jasna cholera. To ostatnie, czego mi było trzeba. Możesz udać, że mnie tu nie ma?

– Na to już chyba trochę za późno.

Astrid skrzywiła się i otworzyła drzwi frontowe.

– Astrid, *Liebling* – jej matka nadstawiła policzek do pocałunku. – Gdzie byłaś? Tak długo na ciebie czekaliśmy.

– *Mutti*, cóż za niespodzianka – odpowiedziała Astrid, posłusznie całując ją w oba policzki. –

Gdybyście dali znać, że przyjeżdżacie, to oczywiście bym po was wyszła na lotnisko. Co tu w ogóle robicie?

– Jesteś naszą córką, Astrid, na wypadek, gdybyś zapomniała, i od tak dawna już nie ma cię w domu. W każdym razie nasi starzy znajomi, Kaufmannowie – pamiętasz ich? No więc wpadli do nas kilka tygodni temu na lunch i tak pięknie opowiadali o swojej wizycie w Australii, że uznaliśmy, że też możemy się tu wybrać i zrobić ci niespodziankę, prawda, Hans?

– Witaj, *Prinzessin* – zahuczał Hans, przytulając Astrid. – Jak się masz? Jak dobrze cię widzieć, *Liebling*. Niech ci się przyjrę.

– Astrid? Co to takiego? Jak ty wyglądasz! Zapuściłaś się? Powiedz, że to tylko to tuczące australijskie jedzenie! – zażądała Helga.

Luźna koszulka Astrid oszukałaby większość ludzi, nawet jej własnego ojca, ale nie sokoli wzrok jej matki.

– Nie, *Mutti*, to nie to. – Astrid wzięła głęboki wdech. – To wasz pierwszy wnuk.

– Co takiego? – wypalił Hans. – Jesteś za młoda na dziecko. Przecież sama jesteś jeszcze dzieckiem! Coś ty narobiłaś?

– Tato, naprawdę muszę to wyjaśnić? – Słowa Astrid sprawiły, że jej ojciec poczuł się nieswojo.

– Kto jest za to odpowiedzialny, hmmm? Zamienię z nim parę słów. Nie wiedzieliśmy, że masz chłopaka, prawda, Helgo?

– Nie denerwujcie się. Wszystko będzie dobrze. To dobry człowiek i zaopiekuje się nami – zapewniła Astrid, szykując się na wszelki wypadek na kolejne starcie z rodzicami.

– Cóż, wracasz do domu, oczywiście – powiedziała jej matka. – I to natychmiast. Jesteś za młoda i zbyt daleko od domu, aby radzić sobie z tym sama, niezależnie od tego, czy ojciec dziecka z tobą jest, czy nie. Nie skończyłaś jeszcze dwudziestu lat! Pewnie nie ma zamiaru się z tobą ożenić, co?

– Ci młodzi ludzie w dzisiejszych czasach – huknął starszy pan, wydymając policzki z irytacją. – Może powinienem był zabrać ze sobą strzelbę?

– Tato! – wykrzyknęła przerażona Astrid.

– Myślisz, że żartuję? Ja sobie na takie tematy nie żartuję!

Astrid złapała się za brzuch. Przez moment Rose, która obserwowała całe zajście z ciemnego kąta przy drzwiach na wypadek, gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli i Astrid jej potrzebowała, zastanawiała się, czy Astrid zwymiotuje. Wtedy jednak...

– Och! Czuję, jak kopie! – wykrzyknęła Astrid.

Rose nie mogła się powstrzymać. Podbiegła do przyjaciółki, żeby ją uściskać.

– Och, Astrid, naprawdę? Gdzie? Pokaż mi! Mogę dotknąć?

Surowy wyraz na twarzy matki Astrid nie złagodniał, ale Astrid dzielnie stawiała jej czoło, jedną ręką osłaniając opiekuńczo brzuch. Rose stała obok niej, nadal ją obejmując.

– *Mutti*, bardzo się cieszę, że przyjechaliście taki kawał drogi, żeby się ze mną zobaczyć, ale nie możecie przeżyć za mnie życia. Jestem tu szczęśliwa, naprawdę, i wszystko będzie dobrze. Zobaczycie. Może weźmiecie prysznic i zjemy lunch? Jestem pewna, że Markowi nie będzie przeszkadzało, jeśli tu zostanieie na parę dni.

– Ktoś mnie woła? – wtrącił się Cameron, który właśnie przechodził przez podjazd.

– Ach, więc to ty jesteś za to odpowiedzialny, tak? – Hans zmierzył go lodowatym wzrokiem.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Mogę spytać, kim pan w ogóle jest? – odparł Mark, jednocześnie poirytowany i zbity z tropu.

– Hans Grosskopf. Ojciec Astrid.

– Och, bardzo mi miło pana poznać. Astrid to wspaniała dziewczyna. Mam nadzieję, że zajmowaliśmy się tu nią jak własną córką – wyciągnął rękę do ojca Astrid, ale ten ją zignorował.

– Córką? Tak na to patrzysz? – Na twarzy wystąpiły mu czerwone żyły. Zaskoczony Mark przeciągnął ręką po włosach.

– Hmm, tak. Jakiś problem?

Hans wydawał się gotów, by powalić Marka na ziemię.

– Tato, zachowujesz się absurdalnie – wtrąciła Astrid z rozdrażnieniem. – Oczywiście, że to nie Mark jest ojcem.

– Ojcem? – powtórzył za nią jak echo Cameron. – Czym ojcem? Astrid, wydawało mi się, że to ten pan jest twoim ojcem? Czy ktoś mi może powiedzieć, co tu się dzieje?

– Och, *Christus!* Przepraszam. Czekałam na odpowiedni moment, żeby ci powiedzieć, ale chyba lepszego już nie będzie. Będę miała dziecko.

– Jasna cholera, naprawdę? – Mark wyglądał na zszokowanego. – Nie miałem pojęcia, Astrid. Dobrze się czujesz? Wszystko jest w porządku? Czy tylko ja o niczym nie wiedziałem?

– Czyli to nie on jest za to odpowiedzialny? Zdaje się, że pochopnie pana oceniłem. Przepraszam, jestem zmęczony i mamy za sobą długą drogę – powiedział Hans. Mark przyjrzał się rodzicom Astrid, przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa, a potem wybuchnął śmiechem, rozbawiony humorystycznym aspektem spotkania.

– Zacznijmy może od początku, dobrze? Miło mi państwa poznać, Hansie i...?

– To moja żona Helga – przedstawił mu żonę.

– To musi być dla Astrid wspaniała niespodzianka – kontynuował Mark. – Przyjechali państwo na długo? Oczywiście proponuję nocleg u siebie.

– Nie możemy być zbyt długo poza domem. Wie pan, jak to jest – odpowiedziała Helga. – Ale to bardzo miło z pana strony.

– Może zaprowadzę państwa do pokoju? – zaproponowała Rose, podnosząc Luisę, i wprowadziła rodziców Astrid do holu.



Gdy po chwili zbiegła na dół, usłyszała dobiegające z kuchni głosy i stanęła za drzwiami, nasłuchując.

– Astrid, o co w tym wszystkim chodzi? Mogę ci jakoś pomóc? Czy możesz mi powiedzieć, kto jest ojcem? – zapytał Cameron.

– Och, Mark, musisz mi uwierzyć, że tego nie planowałam. Tak się bałam, a już na pewno nie spodziewałam się zobaczyć mamy i taty tutaj. Ale chcę zatrzymać dziecko. A Thommo jest wspaniały, naprawdę. Chciałabym pracować tu tak długo, jak tylko dam radę, jeżeli się zgodzisz.

– Thommo Drummond, co? No, jest stateczniejszy niż Charlie, mogłaś wybrać gorzej, ale i tak nie

będzie łatwo, co do tego nie ma dwóch zdań.

– Ależ się zrobił bałagan – podsumowała Astrid ponuro. – Tata go zabije. Dla niego nadal jestem małą dziewczynką. A mama nalega, żebym wróciła do Austrii.

– Spokojnie, wszystko się ułoży, zobaczysz. W każdym razie chciałbym, żebyś tu została tak długo, jak tylko dasz radę. Chyba że uznasz, że lepiej ci będzie w domu? Dzieciaki w każdym razie na pewno wolałyby, żebyś została. Oboje cię uwielbiają, Astrid. I będą zachwycone niemowlakiem.

– Mark, nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. – Astrid przełknęła łzy. – Nie chcę nigdzie wyjeżdżać i nie mogę znieść myśli, że miałabym was zostawić. Ale co z Isabellą? Czy skoro wróciła, będziesz mnie nadal potrzebował do zajmowania się Leo i Luisą? Czy będziesz potrzebował Rose?

– Nie mam pojęcia, na jak długo Isabella planuje zostać, ale nie sądzę, aby wytrzymała tu dłużej niż kilka tygodni. Dzieci potrzebują stabilizacji i poczucia bezpieczeństwa, a w ciągu kilku ostatnich miesięcy ty i Rose zapewniłyście im jej więcej, niż Isabella mogłaby im kiedykolwiek dać – powiedział Mark zdecydowanie.

– Dobrze. Muszę tylko przekonać rodziców. Mam wrażenie, że chcą mnie wsadzić do najbliższego samolotu do Tyrolu.

– Może zaprosisz ich, żeby poznali Thommo? Może na obiad albo na drinka? Thommo to dobry chłopak i na pewno ich oczaruje – w szczególności twoją matkę.

– Wiem, że jest dobry. Zrobię to, jak tylko go ostrzegę. Mark... – Astrid umilkła na chwilę. – Jeszcze raz ci dziękuję. To wiele dla mnie znaczy.

– Nie ma sprawy. Skoro już to ustaliliśmy, jest coś na lunch? Zjadłbym konia z kopytami – dodał.

Rose uśmiechnęła się do siebie. Dzięki Bogu wszystko poszło gładko. Teraz Astrid musiała tylko przekonać swoich rodziców.

# Rozdział 31

Tydzień później, zbierając pranie ze sznura, Rose oparła sobie kosz na biodrze i zamyśliła się. Widok Astrid w towarzystwie rodziców, choć ich relacja była w oczywisty sposób trudna, sprawił, że zaczęła tęsknić za domem. Brakowało jej Henry'ego i mamy. Późnopołudniowe słońce rzucało długie cienie, sprawiając, że dom i wzgórza wydawały się górować nad Rose. Poczowała się nagle bardzo mała i bardzo daleko od domu. Cameron spędzał całe dni w wytwórni, a Isabella – wydawało się – przyjechała na długo, a przynajmniej miała zamiar zostać w Kalkari w najbliższej przyszłości.

Wydawało się, że głównym celem żony Marka było maksymalne utrudnienie życia zarówno Rose, jak i Astrid. Nic jej nie pasowało. Skarżyła się na przygotowywane przez Rose potrawy („za suche”, „zbyt pikantne”, „za zimne”), choć – jak zauważyła Rose – nigdy w obecności Marka, i wynajdywała niedociągnięcia Astrid w opiece nad dziećmi („Nie rozumiem, dlaczego tak wpychają sobie jedzenie do ust, czy ty nie nauczyłaś ich żadnych manier?”). W stosunkach z Leo i Luisą zachowywała się jak kurek na wietrze – raz zalewała ich miłością, a za moment irytowała się ich niesfornością („Wyprostuj się, Leo, siedzisz zgarbiony jak worek pomarańczy!” czy „Ucisz się, Luiso! Własnych myśli nie słyszę!”). Isabelli ewidentnie podobała się koncepcja bycia matką, ale – pomyślała Rose kwaśno – codzienne wymagania związane z tą rolą były dla niej zbyt męczące i poniżej jej godności. Ponadto Isabella rozplętywała się nad Markiem, gładząc go po dłoni przy obiedzie, obejmując w pasie i całując wyzywająco, gdy tylko zauważyła kogoś w pobliżu.

– Pamiętasz nasz miesiąc miodowy, kochanie? – zapytała pewnego wieczora przy obiedzie. – Tę małą restauracyjkę tuż przy Polach Elizejskich? Rose, naprawdę musisz tam się wybrać, kiedy będziesz w Paryżu. Ta ich jagnięcina... – Isabella dźgnęła widelcem przygotowane przez Rose kotlety jagnięce, jakby podkreślała sens swojej wypowiedzi.

## *Protekcjonalna krowa.*

Mark wprawdzie nie reagował na jej zaloty, a szczerze mówiąc wyglądał na speszonego wybuchami uczucia Isabelli, ale Rose było niedobrze, kiedy musiała patrzeć, jak inna kobieta dotyka faceta, za którym ona szalała – choć kobietą tą była jego żona i matka jego dzieci. Ta z kolei myśl jeszcze wszystko pogarszała. Isabella mogła sobie być kompletną suką, ale Mark był jej mężem, a Leo i Luisa jej dziećmi. To Rose nie pasowała do tej układanki.

Sytuację pogarszał fakt, że w Kalkari nadal przebywali rodzice Astrid, Rose była więc przytłoczona gotowaniem olbrzymich posiłków dla pełnego domu ludzi i sprzątaniami po nich. Czuła się, jakby prowadziła w pełni obłożony pensjonat, i to taki, w którym goście ani nie zostawiają napiwków, ani nawet nie mówią „dziękuję”. Au pairki zwykle pracują około trzydziestu godzin tygodniowo. Rose aktualnie pracowała ponad siedemdziesiąt. Gdyby nie była tak przywiązana do dzieci i nie czepiała się

okruchów nadziei, że Isabella zmieni zdanie i wyjedzie, związały stąd jak najszybciej do Bondi.

Chociaż tyle, że Henry na chwilę przestał ją męczyć o informacje. Był akurat w Hiszpanii, zaplątany w przejście kolejnej wytwórni. Kiedy wysłała mu e-maila, skarżąc się na Isabellę („Doprawdy, ona zmienia moje życie w piekło. Wiem, że robi to z premedytacją. Nie mam pojęcia, co Mark w niej widział”), odpisał jej, aby przestała narzekać i pamiętać, po co w ogóle przyjechała do Kalkari. Jego odpowiedź była zaskakująco chłodna, a Rose poczuła się dotknięta jego brakiem współczucia.

Nigdy nie czuła się tak samotna.



Rose zdjęła ze sznura ostatnie mikroskopijne kawałki tkaniny, które w opinii Isabelli uchodziły za bieliznę, opierając się pokusie, aby porwać je na kawałki i zrzucić winę na pralkę. „Musisz być bardzo ostrożna! Są bardzo drogie”, przykazała jej Isabella. Wróciła do domu z perspektywą kolejnego nudnego wieczora i szybkiego zaśnięcia. Właśnie dochodziła do szopy, gdy wpadła na wystrojonego do wyjścia Jake’a.

– Hej, Rosie, co tam? Wyglądasz, jakbyś cały ciężar tego świata dźwigała na własnych barkach. Nie może być aż tak źle. Słuchaj, jeśli cię to pocieszy, nie sądzę, żeby ona miała zamiar tu siedzieć w nieskończoność. Dziś rano, kiedy byłem z Markiem w winnicy, usłyszałem, że kłócił się z nią przez telefon.

– Serio? – Rose poczuła się troszeczkę lepiej. Jake skinął głową.

– Masz ochotę się wybrać do pubu? Spotykam się tam z Angie, Deano i kilkoma innymi znajomymi.

Rose do tej pory miała przed sobą wybór między rozpoczęciem pieczenia ciast na weekend a padnięciem na kanapę przed telewizorem. *Ależ ekscytujące życie tu wiodę*, pomyślała.

– Jasne, czemu nie?



Wchodząc do pubu, Rose zauważyła Astrid i Thommo, którzy siedzieli naprzeciw rodziców Astrid po drugiej stronie sali. Astrid rzuciła jej niespokojne spojrzenie.

– Chyba potrzebują wsparcia – szepnęła Rose Jake’owi.

– Serio? Na twoim miejscu trzymałbym się z daleka.

– Dam im wsparcie moralne – upierała się Rose. Astrid kilkakrotnie rozmawiała z nią o naleganiach swoich rodziców, aby wróciła z nimi do Austrii, i o własnym pragnieniu pozostania w Kalkari. Zastanawiała się, jak mogłaby ich przekonać.

– Skoro musisz... ale pamiętaj, że cię ostrzegałem.

Rose podeszła do stolika.

– Jak się państwo mają?

Rodzice Astrid skinęli jej głowami, a Thommo podsunął jej krzesło.

– Właśnie opowiadałam mamie o szpitalu w New Bridgeton – powiedziała Astrid.

– Ach, tak, byłam tam z Astrid na USG. Wspaniałe miejsce. Bardzo nowoczesne. Jest specjalny



oddział położniczy. To dla Astrid najlepsze miejsce, będzie miała doskonałą opiekę.

Astrid uśmiechnęła się do Rose z wdzięcznością za jej wsparcie, ale Helga zmarszczyła brwi.

– Nie martwię się o szpital. Jej miejsce jest w domu, z rodziną.

– Ależ *Mutti*, moja rodzina jest teraz tutaj – zaprotestowała Astrid.

– Ależ Helgo, musimy jej pozwolić podjąć samodzielną decyzję – dorzucił Hans.

– Czy mogę państwu zaproponować coś jeszcze do picia? – zapytał Thommo.

– Bardzo chętnie, dziękuję ci, Thomas – odpowiedziała Helga. – Ten riesling wcale nie jest zły.

– To prawda – potwierdził Thommo. – To lokalny produkt.

– Czy możesz mi powiedzieć, Thomas... – zaczął ojciec Astrid, ale Thommo mu przerwał.

– Proszę, niech mi pan mówi Thommo. Wszyscy mnie tak nazywają.

– Thommo – powtórzył Hans. – Powiedz mi, jakie masz plany względem mojej córki?

– Tato, średniowiecze się już skończyło! – wtrąciła się Astrid z irytacją.

– Spokojnie, kochanie, to jego prawo – skontrował Thommo. – Muszę przyznać, że wszyscy byliśmy zaskoczeni tą sytuacją, ale nie zostawię Astrid i zrobię wszystko, czego będzie ode mnie oczekiwać. Może na mnie liczyć w stu procentach. I ona, i dziecko.

– O – mruknął Hans, któremu słowa Thommo ewidentnie odebrały argumenty. – No cóż, to chyba dobrze.

– Ale i tak wróci do Austrii na poród – zastrzegła Helga. – To nie podlega dyskusji.

## Rozdział 32

– Mikołaj niedługo psyjdzie? – zapytała Luisa, idąc z Rose następnego ranka do kurnika po jajka.

Słońce stało już wysoko i zanosiło się na upał. Rose miała silny ból głowy – pamiątkę po zbyt dużej ilości piwa poprzedniego wieczora. Topienie smutków w alkoholu było głupim pomysłem. Przyniosło jej jedynie dramatycznego kaca.

Pytanie Luisy uzmysłowiło Rose, że jest już połowa grudnia i że do Bożego Narodzenia zostały zaledwie dwa tygodnie. Nie zastanawiała się specjalnie nad świętami, ale to dlatego, że nie mogła się przekonać do wizji tropikalnej Gwiazdki. Gdyby była w Anglii, powietrze byłoby mroźne, wczesnym popołudniem robiłoby się ciemno, a wszyscy chodziliby zawinięci od stóp do głów w ciepłe płaszcze. Tu jednak był inny świat.

– Tak, kochanie, już całkiem niedługo. Co byś chciała od niego dostać?

– Palasol. Lalę. I zeby mama została.

Rose przełknęła ślinę. Nadal nie udało jej się porozmawiać z Markiem o Isabelli. Tak naprawdę, od jej powrotu w ogóle nie rozmawiali dużo. W Kalkari trzymały Rose w zasadzie tylko dzieci.

– Lulu, mam nadzieję, że Mikołaj przyniesie ci wszystko, co zapragniesz. To naprawdę dobre życzenia – powiedziała do podskakującej obok Luisy. – Jak myślisz, ile jajek zostawiły dla nas kury?



Dwa dni później, kiedy Rose sprzątała po śniadaniu, do kuchni wszedł Mark. Rose była sama – Astrid pojechała odwiedzić Leo do szkoły.

– Uch, Rose, nie wiem, co masz zaplanowane na święta, ale Isabella wynajęła domek na wybrzeżu i zdaje się, że to tam spędzamy Gwiazdkę. To znaczy ja i dzieci. Wrócimy tuż przed Nowym Rokiem. Możesz więc zrobić sobie trochę wolnego, jeśli chcesz. Zdałem sobie sprawę, że od przyjazdu w zimie nie miałaś urlopu, a zdecydowanie ci się to należy. – Cameron wyglądał na zakłopotanego.

Rose poczuła się, jakby ktoś ją uderzył w twarz. Tego się nie spodziewała.

– O, rozumiem – odpowiedziała, ze wszystkich sił próbując ukryć fakt, że właśnie umiera od środka. – To dobrze – miała nadzieję, że brzmi przekonująco. Przybrała dzielny wyraz twarzy, aby nie zdradzić mu, jak bardzo zmartwiła ją ta wiadomość. Mark miał z powrotem swoją szczęśliwą rodzinę i Rose wiedziała, że niesprawiedliwie byłoby mu tego żałować, ale w jakim stawiało ją to położeniu? Odwróciła się do niego. – Dzieci będą zachwycone. Luisa mówiła mi rano, jak bardzo by chciała, żeby jej mama została na święta.

– Dzięki, że rozumiesz. Jesteś skarbem.

Rose wcale nie czuła się jak skarb. Czuła się jak wulkan przed wybuchem. Chciała mu wykrzyczeć w twarz, że to skrajna niesprawiedliwość, że jej uczucia nikogo nie obchodzą. Czuła się jak idiotka, ale równocześnie gromadziły się w niej rosnący gniew i współczucie wobec samej siebie. Czy ona sobie tylko wyobraziła słowa, które Mark szeptał jej na ucho raptem parę tygodni wcześniej? Czy był takim samym zakłamanym tchórzem jak Giles? Czy wszyscy faceci nie mają jaj, czy to tylko ona na takich trafia?

– Mam plany na święta, więc chciałam cię poprosić o wolne – skłamała. Nie miała pojęcia, jak spędzić Gwiazdkę. Może zwinie się w kłębek w szopie z piętrowym ciastem czekoladowym i obejrzy „Pamiętnik”?

– O, świetnie. Czyli wszystko ustalone. – Mark skierował się do wyjścia, a w przelocie złapał kawałek placka z owocami, który stał na stole przy drzwiach. – Pyszne ciasto, Rose.

W tym momencie niemal go znienawidziła. Jak mógł być tak nieczuły?



Po sprzątnięciu kuchni Rose pojechała do Eumeralli. Musiała zobaczyć jakąś przyjazną twarz i odebrać wiadomości z domu. Po krótkiej rozmowie z Bevanem wcisnęła się w swój ulubiony kącik w Świętym Ziarnie i włączyła laptopa.

Nie było wiadomości od Henry’ego. Zależnie od punktu widzenia była to wiadomość albo dobra, albo zła. Rose cofnęła się myślami do rodzinnych świąt w domu, spędzanych w towarzystwie brata i rodziców; do mszy w pierwszy dzień świąt i do obfitego śniadania po niej, do otwierania prezentów i późnego lunchu z pieczonym indykiem, do wznoszenia toastów sherry i niezłym klaretem, nim Elaine zasnęła przed telewizorem, a ich trójka kłóciła się o opakowane w fioletowe folie cukierki toffi z karmelem i orzechami laskowymi.

Opanowała pokusę, żeby napisać do Henry’ego. Zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie brat coraz bardziej niecierpliwi się brakiem jakichkolwiek przydatnych informacji od niej. Mimo powrotu Isabelli i frustracji spowodowanej zachowaniem Marka Rose nadal czuła lojalność względem Kalkari. Uznała, że najlepszym działaniem będzie na razie brak działania. *Kiepski plan*, pomyślała ponuro.

Jedynym jasnym punktem tego ciemnego dnia był krótki e-mail od Philippe’a, który wrócił już do Bondi. Wspomniał, że święta będzie spędzać z Frostiem i kilkorgiem przyjaciół – ich plany zakładały poranny surfing, a potem gwiazdkowego grilla i dużo alkoholu. Mail kończył się zaproszeniem, żeby do nich dołączyła.

*No cóż, zawsze lepiej to niż ciasto i depresyjne filmy.* Przynajmniej nie będzie musiała spędzać Bożego Narodzenia w opuszczonym Kalkari, użalając się nad sobą. Wizja plaży, lśniącego oceanu i towarzystwa chłopaków powinna ją pocieszyć, ale Rose była tak przygnębiona, że nie widziała w ogóle wyjścia z tej sytuacji. Niemniej zmusiła się do odpisania Philippe’owi z podziękowaniem i akceptacją zaproszenia.



– Wiesz co? – wypaliła podekscytowana Astrid. Minęło kilka tygodni, a jej rodzice już wyjechali. Przed odlotem spotkali się z rodzicami Thommo, a spotkanie przebiegło w bardzo dobrej atmosferze dzięki kilku wydobytym z piwnicy butelkom shiraza z wytwórni Windsong. – Thommo zaprosił mnie, żebym spędziła święta z jego rodziną. Bardzo się cieszą z dziecka i są dla mnie tacy mili.

– To wspaniale, Astrid – odpowiedziała Rose przyjaźnie.

– Hej, co się dzieje? Gdzie moja słoneczna Rose?

– Wszystko w porządku, naprawdę.

– Już ja swoje wiem. Zwykle jesteś taka radosna, ale przez ostatnich parę tygodni to się zmieniło. –

Niania wyglądała na zaniepokojoną. – Czekaj, czy to chodzi o Gwiazdkę? Mark powiedział mi, że mogę wziąć wolne. On zabiera dzieci na wybrzeże, żeby spędzić święta z Isabellą. Czy to o to chodzi? Przed jej powrotem coś tam między wami iskrzyło, prawda?

– Tak, ale to nie było nic poważnego, wątpię, czy to dla niego cokolwiek znaczyło – westchnęła Rose.

– A teraz wróciła Isabella, a ja czuję się jak ostatnia kretyńka.

– Nie wygłupiaj się. Ona jest wredna, on po prostu jeszcze tego nie widzi – powiedziała Astrid stanowczo. – Ale niedługo zobaczy.

– Nie jestem pewna. W końcu wiele razem przeszli. No i mają dwójkę dzieci! – Rose wiedziała, że Mark sypia w pokoju gościnnym w Kalkari. Ale tydzień w idyllicznym domku na plaży? Mogła się założyć, że to przypieczętuje pojednanie, zwłaszcza jeśli da się Isabelli wolną rękę.

– Och, Rose, tak bardzo chciałabym poprawić ci humor. Ja jestem taka wypełniona miłością – tu Astrid wskazała znacząco na swój brzuch. – Nie mogę patrzeć, że jesteś taka nieszczęśliwa. Jakie masz plany na święta? Mogę zapytać Thommo, czy znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby.

– Dzięki, ale muszę się na trochę stąd wyrwać. Philippe i Frostie spędzają Boże Narodzenie w Bondi i zaprosili mnie do siebie. Dobrze będzie posiedzieć trochę na plaży.

– O, jak fajnie. Zazdroszczę. Też bym chciała spędzić trochę czasu na plaży, ochłodzić się w oceanie. Chociaż z drugiej strony przez jakiś czas nie wejść w żadne bikini, co? – Astrid próbowała rozśmieszyć Rose. – Czyli nikogo tu nie będzie w Święta. Jake też wraca na parę dni do Adelajdy.

– Naprawdę? Ale tu będzie spokojnie – odpowiedziała Rose. Teraz czuła jeszcze większą ulgę, że Philippe wybawił ją przed udręką samotnych dni. Może dzięki nim zyska jakąś perspektywę.



Mark, Isabella i dzieci wyruszyli na wybrzeże kilka dni po zakończeniu zajęć szkolnych. Rose machała im na do widzenia ze smutkiem przemieszonym z ulgą. Przed wyjazdem żona Marka doprowadzała ją do białej gorączki, każąc jej prasować całą swoją garderobę, ponieważ nie mogła się zdecydować, co ze sobą zabrać. Rose nadal nie miała pojęcia, jakie Mark ma plany wobec Isabelli, ale jednego była pewna – miała dość tego, że Isabella traktuje ją jak kiepsko opłacaną pokojówkę.

Czując złość, poszła się pakować do własnego wyjazdu. Przysięgła sobie w duszy, że postara się nie myśleć o Marku. Wrzuciła do plecaka kilka par spodenek i koszulek, a potem dołożyła sukienkę, którą miała na sobie na kolacji z Markiem w Sydney. Astrid pozwoliła jej ją zatrzymać. „Co ja z nią mam tu robić?” – nalegała. Składając ostrożnie sukienkę, Rose przypomniała sobie ekscytację, która

towarzyszyła jej tamtego wieczora. Wtedy pocałowała Marka po raz pierwszy. No i proszę, jaki bałagan z tego wyniknął, pomyślała ponuro, zaciągając sznurki plecaka i zapinając go.

Niosąc ciężki plecak do samochodu, wpadła na Astrid. Ucisnęły się mocno. Od momentu przybycia Rose do Kalkari bardzo się zaprzyjaźniły.

– Baw się dobrze na słoneczku i na plaży i uważaj na tych chłopaków z Bondi. – Astrid puściła jej oko.

– Trochę przystojniaków nie zawadzi, co? – odpowiedziała Rose, udając dobry humor. Poprawiła plecak na ramionach i odwróciła się do samochodu.

Z samego rana, zanim Isabella wstała z łóżka, wpadła na Marka.

– Wyjeżdżasz po południu, tak? – zapytał.

– Tak. Spotykam się z przyjaciółmi w Sydney.

– Szerokiej drogi, Rose.

Spojrzała na niego, zaskoczona smutkiem w jego oczach. Może jednak nie był tak nieczuły, na jakiego wyglądał? W jej sercu pojawiła się nadzieja, że uda im się jeszcze znaleźć drogę do siebie. Zanim Rose się odwróciła, Mark wcisnął jej do ręki małe pudełko.

– Wesołych Świąt.

– Och – jęknęła z zakłopotaniem. – Ale ja nic dla ciebie nie mam.

Machnął ręką.

– Otwórz w Boże Narodzenie.

## Rozdział 33

Bondi lśniło w promieniach słońca, więc Rose nie mogła długo się smucić. Westchnęła z zadowoleniem, patrząc na gładki półksiężyc złotego piasku, opalone ciała i migoczący w słońcu, szafirowy ocean. Było tu znacznie więcej ludzi, niż ostatnim razem, kiedy odwiedziła Bondi. Zaparkowała samochód w bocznej ulicy i ruszyła prosto do kawiarni Philippe'a.

– Rose! *Alors!* – zawołał Philippe zza ekspresu do kawy. – Udało ci się! – Wyszedł zza kontuaru i uściskał ją mocno. – Za pięć minut kończę. Może siądziesz? Kawy?

– Skoro to ty ją robisz, to jak mogłabym odmówić? – uśmiechnęła się Rose z wdzięcznością.

Kiedy później szli do jej samochodu po bagaż, Rose stwierdziła, że cieszy się na perspektywę kilku dni odpoczynku na plaży. Może i nie wyglądało to na tradycyjne Boże Narodzenie, ale może nie będzie źle.



Wigilijny poranek był ciepły i straszliwie jasny. Rose do późnej nocy siedziała w pubie z Philippe'em, Frostiem i ich znajomymi, ale i tak zbudziła się wcześniej. Współlokator Philippe'a wyjechał na święta, więc Rose spała w jego pokoju. Mieszkanie znajdowało się w doskonałej lokalizacji, zaledwie kilka kroków od plaży.

Założyła rzeczy do biegania i wyszła z domu. Było jeszcze wcześniej, ale plaża wypełniona była biegaczami, surferami i pływakami, korzystającymi z sezonu świątecznego. Frostie ostrzegł ją, że w Boże Narodzenie plaża będzie „jak dywan z ciał, dziewczyno. Wszędzie backpackersi z Anglii”. Frostie i Philippe planowali poranny surfing i lunch z przyjaciółmi, których mieszkanie wychodziło na ocean. Rose minęła klub Icebergs i pobiegła ścieżką wzdłuż klifu w kierunku Bronte. Wydawało się, że nie ona jedna wpadła na ten pomysł – wąska dróżka była wypełniona biegaczami i spacerowiczami, którzy podziwiali spektakularne widoki. Było to jednak doskonałe miejsce do biegu – wielkie klify opadały dramatycznie w kierunku kotłującej się, spienionej wody, a wybrzeże ciągnęło się w dali, jak okiem sięgnąć. Stojąc na krawędzi lądu i patrząc na ogromny, błękitny przestwór oceanu, człowiek zaczynał uświadamiać sobie, jak niewiele znaczył w obliczu takiej potęgi.

Wracając z plaży, wpadła na Frostiego. Miał na sobie spandeksową koszulkę, a pod pachą niósł deskę.

– Hej, dziewczyno! – zamachał do niej. – Może lekcja? Fala dziś jest dobra. Po południu ci pasuje?

Rose skinęła głową.

– Bomba!



Pozostałą część dnia Rose poświęciła na zakupy. Potrzebowała kostiumu kąpielowego – w dolinie Shingle raczej by się jej nie przydał. Za radą jednego z przyjaciół Philippe’a udała się do Bikini Island, który ewidentnie był największym sklepem ze strojami kąpielowymi w Bondi.

W sklepie ominęła wieszaki z bikini szerokim łukiem – bała się, że piersi i pośladki będą jej się wysuwać z niewielkich trójkątów materiału jak lody z rożka.

– Jakbyś potrzebowała pomocy, to zawołaj – powiedziała jej ekspedientka. – Jednocześnie kostiumy znajdziesz tam – machnęła głową w odpowiednią stronę, nie odrywając ucha od telefonu.

Rose była wdzięczna za brak zainteresowania sprzedawczyni i szybko przymierzyła pierwszy znaleziony kostium. Obróciła się bokiem do lustra i zamarła. Oszołomiło ją własne odbicie. Miesiące w Kalkari – codzienne bieganie i brak czekolady – okazały się ogromną zaletą. Cały tłuszcz, który wcześniej wisiał fałdami na jej brzuchu, zniknął. W lustrze Rose zobaczyła wysoką, umięśnioną, smukłą dziewczynę. Zniknęła też przekłeta pomarańczowa skórka, która niegdyś pokrywała jej uda. Rose uśmiechnęła się szeroko do swojego odbicia. Dzięki Bogu za pozytywne aspekty nerwowych sytuacji.

– Wygląda super! Ale może jednak zmierzysz bikini? – Sprzedawczyni podniosła się zza lady i zajrzała do przebieralni. – Nie chcę być nieuprzejma, ale po co masz wyglądać na plaży jak własna babcia?

Po chwili przekonywania Rose zgodziła się przymierzyć mały kostium, który podała jej sprzedawczyni. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wyglądała całkiem dobrze. Lepiej niż dobrze! Nie mogła się zdecydować, który z dwóch wybranych przez ekspedientkę pięknych kostiumów kupić – ceglasty czy szafirowy z górą wiążaną na szyi, który podciągał jej piersi niemal pod brodę. Postanowiła kupić oba, ciesząc się kopem energetycznym, jaki dała jej odrobina jakże potrzebnej terapii zakupowej, po czym niemal zeszła na zawał, kiedy usłyszała cenę. Jak tak niewielka szmatka może tyle kosztować?

Widok własnego płaskiego brzucha i szczupłych, umięśnionych nóg w lustrze pomógł jej odegnać nieco tęsknotę za Markiem, ale nie mogła powstrzymać się od wspomnienia jego wzroku, kiedy zobaczył ją przed kolacją. Przywoływała na myśl ich krótki pocałunek, uczucie bezpieczeństwa, gdy trzymał ją w ramionach... Tęskniła za nim, za Leo i za Luisą, a także za Kalkari.

Tymczasem miała jednak bardziej naglący problem. Bikini podkreśliło jej opaleniznę – brązowe ramiona, kark i nogi oraz blady tors.

*Lepiej pójdę i coś z tym zrobię.*

Rose złapała krem z filtrem i ruszyła na plażę, gdzie zaczęła czytać powieść sensacyjną. Miała kilka godzin do lekcji surfowania z Frostiem.



– Dobra, kotku, będziesz potrzebowała pianki. Moim zdaniem z krótkimi rękawami wystarczy. Woda jest już dość ciepła. No i oczywiście nie masz deski.

Stali w sklepie z artykułami surfingowymi po drugiej stronie ulicy od plaży. Rose domyślała się, co to jest pianka, ale nie miała pojęcia, jak ją dobrać. Pozwoliła Frostiemu wszystko zorganizować. Sama

podeszła do stojaka pełnego lśniących białych desek z włókna szklanego, które sięgały jej do ramienia, i leniwie przeciągnęła palcem po ostrym, szpiczastym czubku jednej z nich.

– Myślisz, że dałabyś sobie radę na takiej, co? – zapytał Frostie. Rose spojrzała na niego pytająco. – Zaczniemy spokojnie, od jednej z tych dużych piankowych – powiedział, wskazując na stojak z kilkoma wielkimi piankowymi deskami.

– Ale one są ogromne! – zaprotestowała.

– Będiesz potrzebowała jeszcze dłuższej, bo jesteś wysoka, ale nic się nie martw, żółtodziobie. Nie dam ci zrobić krzywdy.

Frostie podał jej piankę z krótkimi rękawami i uzgodnił wypożyczenie dużej deski. Przeszli przez jezdnię i zeszli na plażę. Już na piasku Rose wcisnęła się w piankę, łapiąc pełne garście grubego materiału i naciągając go na biodra, podczas gdy Frostie prezentował jej elementy deski.

– Boki deski to burty, jasne? Z przodu jest dziób.

– A-aha – stęknęła, wciskając się w ciasny neopren.

Frostie pokazał jej, jak ściągnąć łopatki do tyłu, aby dało się zapiąć piankę, po czym wyjaśnił, że pierwszą część lekcji spędzą na piasku. Rose bardzo się starała nie okazywać rozczarowania. Strasznie chciała wejść do wody – w ciasnym neoprenie oblewała się potem. Naśladowała ruchy Frostiego, który pokazywał jej, jak się położyć na desce, a potem wyskoczyć do góry, podciągając pod siebie kolana i stawiając stopy bokiem.

– Aha, lewuska – zauważył.

– Sam jesteś lewus! – odpowiedziała Rose zawadiacko.

– Nie obrażaj się, to tylko znaczy, że instynktownie stawiasz lewą stopę z przodu.

– Aha... – powiedziała cicho, wracając do ćwiczeń.

Po jakimś czasie Frostie wydawał się zadowolony z jej postępów i zaproponował wejście do wody. Kiedy doszli do linii przyboju, Rose spojrzała na falujący ocean i poczuła niepokój. Fale, które z daleka wyglądały tak niewinnie, teraz były przerażająco blisko. Zawzięła się jednak, by nie pokazać po sobie niepokoju, założyła smycz na kostkę, wzięła deskę pod pachę i weszła do wody.

*Chryste, ale zimna.*

– Mówiłeś chyba, że woda jest ciepła? – zaprotestowała.

Frostie wzruszył ramionami, a Rose się roześmiała. Ruszyła dalej, czując, jak przez piankę przesiąka cienka warstewka wody i powoli ogrzewa się od ciepła jej ciała. Kiedy woda sięgnęła jej talii, Frostie przytrzymał jej deskę i kazał się na niej położyć. Rose wypełniła polecenie, choć czuła się przy tym równie zgrabnie i elegancko, jak słoń morski. Frostie wyholował ją nieco dalej i pokazał, jak wejść pod nadchodzące fale, wpychając dziób deski pod wodę.

W końcu przyszedł moment, żeby złapać falę. Frostie obrócił deskę w kierunku brzegu, a Rose złapała się jej kurczowo, patrząc przez ramię na ogromną ścianę zielonej wody, która nieubłaganie zmierzała w jej kierunku. W ostatniej chwili, kiedy fala niemal już się załamywała, Frostie popchnął deskę do przodu, a Rose ruszyła na grzbiecie fali. Zupełnie zapomniała o tym, że ma spróbować wstać, i po prostu trzymała się rozpaczliwie, czując narastającą ekscytację, kiedy tak gnała w kierunku brzegu.

Chlupiąc głośno, wstała i wycisnęła wodę z włosów.

– Aaaaaaaale ekstra! To było niesamowite! – zawołała, kiedy zobaczyła zbliżającego się



Frostiego.

– Fajne, nie? – odpowiedział. – Nieźle jak na pierwszą próbę. Wcale nieźle.

Rose zapaliła się do nowego sportu i kolejną godzinę spędziła na ćwiczeniach. Raz nawet udało jej się podciągnąć nogi pod siebie i dojechać na fali w kucki do samego brzegu.

W końcu zdali sobie sprawę, że słońce zaczyna zachodzić, a światło powoli gaśnie, więc zakończyli trening. Rose śmiała się, zachwycona nowym przeżyciem. W ogóle nie przeszkadzał jej wiatr, który porywał jej włosy i smagał ją nimi po twarzy.

– Wow – powtórzyła, kiedy wyszli na piasek. – To było naprawdę, naprawdę niesamowite.

– Nasz klient, nasz pan – odpowiedział Frostie, śmiejąc się z jej entuzjazmu. Podał jej ręcznik, a kiedy się od niej odwrócił i ściągnął piankę do pasa, Rose zauważyła, że ma na barkach wytatuowane anielskie skrzydła. Uśmiechnęła się. Może to znak?

Chwila zapomnienia w ramionach kogoś tak nieskomplikowanego jak Frostie może być właśnie tym, czego potrzebowało jej zbolące serce. Odpędziła jednak tę myśl błyskawicznie. Nie był to znak, na który czekała.

## Rozdział 34

Pobudka w bożonarodzeniowy poranek była zupełnie surrealistyczna. Rose patrzyła przez okno na bezchmurny dzień. Już było ciepło. Od oceanu wiała łagodna bryza, która niosła ze sobą intensywny, słony zapach.

– Wesołych Świąt, *cherie!* – wykrzyknął Philippe, kiedy weszła do salonu. Już był ubrany w kąpielówki i nacierał deskę woskiem. – Jeżeli chcesz, mam na dole starą deskę piankową, którą możesz pożyczyć. Piękny poranek, ale lepiej chodźmy, żeby zdążyć przed tłumem. Gotowa?

– Bardziej niż myślisz – odpowiedziała Rose. Wiedziała, że poranek na desce w towarzystwie przyjaciół to właśnie to, czego jej trzeba. Przypomniała sobie, jak mama powiedziała jej, że słona woda to najlepszy lek na każdy problem, od otartego kolana i ból gardła – a nawet złamane serce. Mogła mieć rację.



Przed wyjściem na plażę wysłała bratu zdjęcie plaży Bondi, wypełnionej – zgodnie z przewidywaniami Philippe’a – setkami pływaków i plażowiczów. Niektórzy przynieśli nawet ze sobą choinki, a sądząc po przepełnionych puszkami po piwie koszach na śmieci, zaczęli świętować dość wcześnie. Rose zadzwoniła też do mamy, ale na linii było echo i ciągle wpadały sobie w słowo.

– Strasznie ci zazdrościmy, że jesteś na plaży – powiedziała Elaine. – Pewnie się świetnie bawisz. Popływaj trochę za mnie.

Rose nie miała siły zagłębiać się we wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich miesięcy, a poza tym jej mama i tak zawsze chciała słyszeć tylko dobre wiadomości. Henry miał przyjechać dopiero później – w Anglii była jeszcze Wigilia. Rose przełknęła ślinę, odkładając słuchawkę – nagle poczuła się bardzo daleko od wszystkiego i wszystkich, z którymi dorastała. Philippe i Frostie nie dali jej się jednak długo martwić. Po kilku godzinach na plaży wrócili do mieszkania, aby splukać z siebie sól i piasek, a potem zaczęli się szykować na imprezę do jednego z przyjaciół Philippe’a. Podczas wędrówki po sklepach poprzedniego dnia Rose znalazła blad różową bawełnianą sukienkę, wsunęła stopy w sandałki i zwinęła wciąż wilgotne włosy w węzeł na karku, przymocowując go spinką z motylem.

Jej myśli powędrowały do Marka. Co teraz porabia? Pewnie odgrywa szczęśliwego ojca rodziny wśród morza prezentów. *Ach, prezenty!* Nagle przypomniała sobie pudełko, które Mark dał jej przed wyjazdem. Podczas rozpakowywania ręce jej się lekko trzęsły.

W środku znalazła naszyjnik w formie małej srebrnej kiści winogron na delikatnym łańcuszku.

– Och... – Rose zaniemówiła. *Jest cudowny.*

Obróciła się do lustra, aby go założyć. Kiedy zobaczyła winogrona na tle jej opalonej skóry, poczuła ucisk w sercu.

Chciało jej się płakać.



Przyjaciółki Frostiego, Kate i Em, przygotowały ucztę z owoców morza. Rose radośnie obrała krewetkę, zanurzyła ją w gęstym sosie majonezowym z czosnkiem, po czym włożyła sobie w całości do ust. Chłopcy przynieśli ze sobą piwo, a Rose wkupiła się kilkoma butelkami wina z Kalkari – Mark nalegał, żeby zabrała je ze sobą na Święta. Dziewczęta nalały sobie spore kieliszki wina i wyszły na balkon. *Wow, to rzeczywiście jest zupełnie inny sposób obchodzenia Bożego Narodzenia*, pomyślała Rose.

Objadła się krewetkami i sałatkami i hojnie zapila to wszystko winem. Nie sądziła, że uda jej się zjeść coś jeszcze, ale kiedy na balkon wmaszerowała Em, niosąc tradycyjny płonący pudding, Rose się roześmiała. Był niewiarygodny upał, a oni chcą jeść pudding świąteczny?

– Och, jest do tego sos waniliowy albo sos maślany z brandy, jeśli wolisz – powiedziała Em na widok wyrazu twarzy Rose.

Siostra Henry’ego odchyliła się na oparcie krzesła.

– Boże drogi, brzuch mi zaraz pęknie – powiedziała. – To było niesamowite, dzięki.

– Philippe wspominał, że masz duży talent do pieczenia – zauważyła Kate. – Czy mówił ci, że planuje otwierać kawiarnię także wieczorami i serwować kolacje?

– Tak – kiwnęła głową Rose. – To doskonały pomysł. Świetnie sobie poradzi, jestem tego pewna.

– Będę z nim pracować – dodała Kate. – Ale gdybyś była zainteresowana, zawsze będzie miejsce dla specjalistki od pieczenia.

– *Oui*, Rose, miałem ci o tym wspomnieć, ale myślałem, że tam w dolinie wszystko już sobie ułożyłaś – dorzucił Philippe. – Jeżeli jednak uda mi się ciebie przekonać, żebyś wróciła do Bondi, czekamy na ciebie z otwartymi ramionami.

Rose była wzruszona. To była niezmiernie kusząca propozycja.

– Dziękuję, Philippe, ale czeka na mnie dwójka dzieci, nie wspominając już o Fermencie, naszej kawiarnio-winiarni. *I nie wspominając o miłości do szefa*, dodał głosik w jej głowie. – Ale strasznie ci dziękuję za tę propozycję. Kto wie, może pewnego dnia z niej skorzystam – nie jestem pewna, czy osiądę w Kalkari na stałe. *Szpeciallynie jeśli Isabella nadal będzie taką wredną małpą*, dodała ponuro w myślach.

– Chyba przez cały tydzień nie będę jeść! – powiedziała Kate, przeciągając się i klepiąc po płaskim, opalonym brzuchu.

– Chyba czas na drzemkę – zaproponowała Em.

– *Oui, ma chérie* – zgodził się Philippe i poszli w kierunku jej sypialni.

Rose, Frostie i pozostali sprzątnęli pozostałości lunchu i ponownie wyszli z kieliszkami na balkon, gdzie słońce powoli chowało się za horyzontem. Rose patrzyła na zachodzące słońce. Jedną ręką dotykała naszyjnika, muskając palcem kiść winogron.

Popatrzyła na Frostiego, na jego szczęśliwy i otwarty uśmiech, kiedy patrzył na ocean. Nie. To bez

sensu. Jej serce nie biło szybciej, kiedy na niego patrzyła. Ono nieodwracalnie należało do Marka.

## Rozdział 35

Kilka dni po Nowym Roku Rose wróciła do Kalkari, niepewna, co na nią czeka. Nie było jej tydzień, ale choć bardzo podobało jej się na plaży, tęskniła za doliną Shingle. Brakowało jej światła wczesnego poranka, kiedy słońce wschodzi nad wzgórzami; za szerokim niebem i nagłymi, grzmiącymi burzami, które brzmiały tak, jakby świat miał się rozpaść na kawałki. Tęskniła też za ślicznymi buziami Leo i Luisy. Ponownie zastanowiła się, co robili w pierwszy dzień Świąt i czy spodobały im się prezenty, które dla nich zostawiła. Tęskniła także za Markiem, i to za bardzo. Wiedziała, że nie ma prawa za nim tęsknić – po powrocie Isabelli stało się jasne, że jej rola w Kalkari sprowadza się jedynie do pracy jako au pair i menedżerka Fermentu. Będzie musiała się po prostu uporać z uczuciami do swojego szefa – albo odciąć się od tego wszystkiego i wyjechać.

Jej mały samochodzik zawarczał na podjeździe, strasząc miniaturowe owieczki, które rozbiegły się między rzędy winorośli. Kiedy zatrzymała się przed drzwiami frontowymi, zobaczyła, że czeka na nią Mark, osłaniając oczy przed słońcem. Serce jej drgnęło na jego widok; nic nie mogła na to poradzić.

Rose wysiadła z samochodu i skierowała się w stronę Marka. Było gorąco, a humorzasta klimatyzacja w samochodzie odmówiła współpracy. Koszulka przykleiła jej się do pleców.

– Cześć – powiedziała, podchodząc do Camerona. Zachowywała ostrożność, czując dystans, jaki powstał między nimi.

– Cześć – odpowiedział.

– Gdzie są wszyscy?

– Dzieci są jeszcze na wybrzeżu z Isabellą. Słuchaj, Rose, muszę z tobą porozmawiać. To ważne.

Poszła za nim na werandę i usiadła obok niego.

*To by było na tyle, pomyślała. Za chwilę usłyszę, że dla wszystkich będzie lepiej, jeśli stąd odejdę.*

Zacisnęła pięści. Spodziewała się tego.

– Mark, chyba wiem, co chcesz mi powiedzieć.

– Wiesz? – Wyglądał na zaskoczonego.

– Posłuchaj, wiem, że coś się zaczęło między nami dziać, a ty jesteś naprawdę świetnym facetem, ale teraz, kiedy wróciła Isabella, potrzebujesz przestrzeni, żeby naprawić swoje małżeństwo. Muszę stąd jak najszybciej wyjechać.

– Nie, nie, kochanie, nie to chciałem powiedzieć. – Mark złapał ją za ramię.

– Nie?

– Mylisz się. Między mną a Isabellą wszystko skończone. I to od dawna – na długo przed twoim przyjazdem, jeszcze przed jej wyjazdem do Hiszpanii. – Mark westchnął. – Kiedy się we mnie zakochała, byłem odnoszącym sukcesy biznesmenem w korporacji, z wysoką pensją i dobrym samochodem, mogłem

ją zabierać na kolacje do popularnych restauracji. Nie byłem winiarzem bez grosza przy duszy, który z trudem próbuje związać koniec z końcem. Isabella miała dość mojej, jak to określiła, „kompletnej obsesji” na punkcie Kalkari, tego, że nie jeździmy nigdzie dalej, niż do New Bridgeton, że ciągle pracuję. Nie mogła znieść myśli, że Kalkari pochłonęło wszystkie nasze pieniądze. A kiedy w zeszłym roku niemal zbankrutowaliśmy, to przechyliło szalę. Bank nas naciskał i wydawało się, że będę musiał sprzedać Kalkari i tym samym zrezygnować z marzeń. Uratowała nas pożyczka od sióstr Trevelyn. Teraz wreszcie sytuacja zaczyna się poprawiać i Isabella wróciła, ale myślę, że jest już dla nas za późno. Wydaje mi się, że oboje zdajemy sobie z tego sprawę.

Rose знаła trudną sytuację finansową wytwórni, ale zszokowała ją informacja o zmianie nastawienia Isabelli. Wydawało jej się, że tej kobiecie nie zależało na niczym innym, niż na odzyskaniu Marka.

– Ale ona leciała na ciebie jak tona cegieł...

– To chyba było bardziej ze względu na ciebie, niż na mnie.

– Nie rozumiem. – Rose zmarszczyła brwi.

– Ona nie znosi przegrywać. Nawet jeśli traci coś, na czym już jej nie zależy. A teraz nie chciała mnie, tylko pieniędzy.

– A co z dziećmi? Z jej dziećmi?

– No cóż, oczywiście za nimi tęskni, ale – uwierz lub nie – wydaje mi się, że łatwiej jej było zostawić je tu, niż zabierać ze sobą. Po powrocie do Hiszpanii przejęła marketing wytwórni swojego ojca, a to oznaczało konieczność częstego podróżowania. Uznała, że byłoby nie w porządku wobec dzieci zabierać je tam, wrywać je z dotychczasowego środowiska, a potem nie spędzać z nimi czasu. Ona wcale nie jest do końca taka zła.

Rose nie mogła uwierzyć w te ostatnie słowa. Nie była sobie w stanie wyobrazić, jak można zostawić własne dzieci – niezależnie od tego, jak trudna jest sytuacja.

– Isabella chce, bym pozbył się ciebie i Astrid. Uważa, że dzieci się za bardzo do was przywiązały. Ale jesteście jedynym stałym elementem w ich życiu i widzę, jak bardzo się lubicie. Poza tym nie poradziłbym sobie bez was dwóch, wszystko by się zupełnie posypało. Ale – spojrzał na nią ze smutkiem – jeśli chcesz odejść, to zrozumieć. Zdaję sobie sprawę, że Isabella zmieniła twoje życie w piekło. Nie wiem, ile tu jeszcze będzie. Nie mogę jej wyrzucić. Musimy jeszcze kilka kwestii ustalić.

– Dobrze, przekonałeś mnie. Nie odejdę – westchnęła Rose. Zawahała się na chwilę. – Na razie.

Na twarzy Marka pojawił się wyraz ulgi.

– Wszystko się ułoży, naprawdę. Daj mi trochę czasu, Rose. A teraz – powiedział, patrząc jej prosto w oczy – jest coś jeszcze, co chcę ci powiedzieć.

– O?

Mark spojrzał na nią niespokojnie.

– Rose, jednym z powodów, dla których nic mnie już z Isabellą nie łączy, jest fakt, że jestem w tobie beznadziejnie zakochany. To absurdalne i wiem, że proszę się o kłopoty, ale nic nie mogę na to poradzić. Uwielbiam wracać do domu, do dźwięku twojego śmiechu, kiedy bawisz się z Leo i Luisą, do zapachu pysznego jedzenia na piecu, który wypełnia cały dom, do tego, jak sprawiasz, że wszystko wydaje się łatwiejsze. Uczyniłaś ten stary budynek domem, którym nigdy wcześniej nie był. Ty sprawiasz, że on jest domem.

– Masz ciekawy sposób okazywania tego. – Wysunęła wojowniczo podbródek.

– Och, Rose – odpowiedział Mark. – Tak mi przykro. Starałem się być w porządku wobec wszystkich, a w efekcie tylko cię zraniłem. Co za cholerny bałagan.

Wyglądał na tak zasmuconego, że Rose odpuściła.

– To fakt – powiedziała cicho.

Cameron podniósł wzrok, zauważył smutny wyraz jej twarzy i przytulił ją do siebie. Może i była spocona, ale nie chciała, żeby ją puszczał. Już nigdy.

Nachylił się i pocałował ją w usta. Osłabła w jego objęciach, ogarnęła ją fala pożądania, a silne postanowienie trzymania się na dystans stopniało jak lód na rozgrzanym chodniku.

– Gorąco, co? – mrugnął do niej.

– Przepraszam, klimatyzacja w samochodzie kompletnie wysiadła – zarumieniła się Rose.

– Nie to miałem na myśli – odpowiedział. Puścił ją, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą drogą. – Chodź. Wiem, gdzie możemy się ochłodzić.

– Teraz? – zakrztusiła się. Niezbyt jej się podobało, że wypuścił ją z objęć akurat w momencie, kiedy zaczynało robić się ciekawie.

– Sama zobaczysz – ponaglił ją.



Kiedy zbiegli na sam dół podjazdu wiodącego do Kalkari, Mark skręcił w lewo, a potem nagle w prawo, nurkując prosto w kępę drzew. Rose cieszyła się, że trzyma go za rękę – w przeciwnym razie na pewno potknęłaby się na nierównej ziemi. Po drugiej stronie drzew zauważyła wodę. Wiedziała, że wijąca się przez całą dolinę rzeka Shingle przebiega niedaleko Kalkari, ale nie miała pojęcia, że miejsce do pływania jest tak blisko. Pod drzewami rzeka rozszerzała się, tworząc głęboki basen. W cieniu porastających brzegi rzeki eukaliptusów było dobrych kilka stopni chłodniej, niż na otwartej przestrzeni. Mark ściągnął T-shirt i rozpiął dzinsy, a Rose w końcu zrozumiała, co miał na myśli.

– Kto ostatni, ten trąba! – zawołał, startując w kierunku rzeki.

Rose roześmiała się nerwowo na myśl o wskoczeniu do wody. Po długiej jeździe czuła się spocona i lepka, ale nie miała pojęcia, jak wygląda dno.

– Żartujesz sobie, prawda?

W oczach Marka widać było wyzwanie.

*Mój Boże, on tak na poważnie!* Dałaby wszystko, żeby tylko się ochłodzić, ale nie podobał jej się wygląd ciemnej wody.

Mark, zupełnie niespieszony własną nagością wszedł już na niski brzeg i przygotowywał się do skoku.

– Dalej, Rose, rozluźnij się trochę!

Z wielkim pluskiem skoczył do wody. Rose patrzyła, jak wypływa na powierzchnię i wytrząsa wodę z ucha. W tym momencie przypominał żywiołowego chłopca, jakim był kiedyś w dzieciństwie. Serce jej drgnęło.

*Jasna cholera, ależ mnie wzięło.*

– Nie miałam pojęcia, że to tutaj jest – powiedziała.

– Tak, dzieciom też tego jeszcze nie pokazałem. Poczekam, aż będą lepiej pływać, zwłaszcza Luisa – zawołał Mark.

– I słusznie.

Cameron przyjrzał jej się uważnie.

– Wchodzisz, czy mam cię wciągnąć? Chyba było ci gorąco?

Jego entuzjazm był zaraźliwy. *Kiedy wejdiesz między wrony...*

Ściągnęła sukienkę, ale nie zamierzała zdejmować bielizny. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Weszła do wody.

– Jezu, zimniejsza niż nawet w Bondi! – jęknęła, wciągając powietrze. Woda zrobiła się mętna i Rose nie widziała własnych stóp.

– Lepiej się przygotuj – odpowiedział Mark, płynąc w jej kierunku. Wyciągnął ramiona i złapał ją w talii. Zauważył srebrny naszyjnik na jej szyi i ujął go w palce. – Podoba ci się?

– Bardzo – kiwnęła głową i pocałowała go. – Dziękuję ci, jest piękny.

Z zalotnym uśmiechem wywinęła mu się z ramion i ruszyła w stronę przeciwległego brzegu.

– Hej, a ty dokąd?

– Złap mnie, jeśli potrafisz! – zawołała.

– Ooo, pożałujesz tego – roześmiał się Mark, płynąc w jej kierunku. Rose próbowała uciekać, ale po kilku leniwych ruchach ją dogonił i zanurkował. Rose poczuła nagle, że łapie ją za kostkę i ciągnie w dół. Zakrztusiła się, kiedy nad jej głową zamknęła się woda.

– Hej! – wrzasnęła, kiedy ją puścił i udało jej się wypłynąć na powierzchnię. Mężczyzna roześmiał się i chlapanął na nią wodą.

– Złapałem cię!

Woda była naprawdę lodowata i mimo panującego upału skóra Rose wkrótce pokryła się gęsią skórką. Zadrżała.

– Oj, zimno ci – zauważył Mark i ruszyli w kierunku brzegu. Cameron wyszedł z wody pierwszy i złapał szorty, po czym rycersko wyciągnął rękę i pomógł jej wyjść na brzeg. Zebrali ubrania z trawy, a Mark oddał Rose swojego T-shirta. Sam założył tylko szorty.

– Chodź, pójdziemy trochę wyschnąć – powiedział. Rose musiała przywołać się do porządku, aby przestać się gapić na jego szerokie, muskularne plecy. Jego bliskość wywoływała u niej zawroty głowy. Nie mogła się powstrzymać, żeby znów go nie pocałować.

Kiedy doszli do domu, Mark zaproponował, aby Rose poczekała na werandzie.

– Zostań na słońcu i się ogrzej. Zaraz wracam.

Wrócił po chwili z ręcznikami, kieliszkami do szampana w jednej ręce oraz butelką i wiaderkiem z lodem w drugiej. Postawił wiaderko i kieliszki na stoliku i podał jej ręcznik. Rose odwróciła się do niego tyłem, zdjęła przemoknięty już T-shirt i bieliznę i owinęła się ręcznikiem, wyciskając włosy. Mark tymczasem zręcznie otworzył szampana, nalał go do kieliszków i podał jej jeden.

– Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie. – Uniósł kieliszek w jej stronę.

Szampan był lodowaty i przepyszny, a bąbelki łaskotały ją w nos.

– Mmmm – westchnęła z zadowoleniem. – Laurent Perrier Rosé. Skąd wiedziałeś, że to mój ulubiony?

– Uwierzysz, że to szczęśliwy traf? No i był już w lodówce.



– Jestem pod wrażeniem – przyznała. – Cieszę się, że wróciłam, Mark.

Nie była jeszcze gotowa przyznać się, jak bardzo za nim tęskniła.

– No, bez ciebie było tu dziwnie cicho – dodał.

Siedzieli, patrząc przed siebie. Mark uniósł stopy Rose, oparł je na swoich kolanach i delikatnie wycierał je do sucha, ścierając kurz, który przywarł do jej palców.

– Nie miałeś być na wybrzeżu cały tydzień?

– Wróciłem wcześniej.

– O. Aż tak źle było?

Mężczyzna kiwnął głową.

Zamilkli. Rose wydawało się, że Mark – tak jak ona – myśli o tym, jak spędzili poprzedni tydzień.

Zachodzące słońce zabarwiło niebo na różowo. Patrząc na winnice, Rose poczuła, jak ogarnia ją spokój. Mogła myśleć jedynie o tym, że istnieje właśnie tu, w tym miejscu i czasie. Nic innego nie miało znaczenia. Do diabła z przyszłością. Jakoś to będzie.



Z tylnej werandy nie było widać podjazdu, zaskoczył ich więc warkot silnika i trzaśnięcie drzwiczek samochodu.

– Taaato! – rozległ się głos Leo. – Gdzie jesteś?

– Chryste – poderwał się Mark. – To Isabella z dziećmi. Miała przyjechać dopiero jutro.

– Dzień doooobry! – Usłyszała głos Isabelli, która właśnie wyłoniła się zza rogu. – O, tu jesteś, Mark.

Jego żona wyglądała jak ucieleśnienie wyrafinowanego stylu glamour rodem z europejskich kurortów. Duże okulary słoneczne ze złotymi akcentami, krwistoczerwona szminka, równie czerwona torebka i szykowna letnia sukienka żywcem wyjęta z „Rzymskich wakacji”. Rose poczuła woń jej ciężkich perfum. Próbowwała zagrzebać się w fotelu i stać się niewidzialna. Na próżno.

*Oto przybywa wspaniała i elegancka żona marnotrawna, a ja wyglądam jak coś, co kot znalazł w śmietniku. Ponownie. Nieźle, Rose.*

Wzrok Isabelli przebiegł z pogardą po nagich ramionach i nogach Rose. Uniosła brew, patrząc na wstającego Marka, który miał na sobie tylko szorty.

– Coś dla ochłody? – Jej ton był lodowaty. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Leo i Luisa przebiegli przez dom i wypadli tylnymi drzwiami, rzucając się tacie w objęcia.

– Hej, dzieciaki! Jak się macie? Ależ wyglądacie! Słowo daję, urosliście przez ten tydzień! – Mark nachylił się i przytulił oboje. Rose owinęła się mocniej ręcznikiem.

– Poszliśmy popływać. Był taki upał – wyjąkała do Isabelli. Czuła się zupełnie bezradnie. Rzuciła Cameronowi spojrzenie błagające o pomoc, a on w odpowiedzi uśmiechnął się, co prawdopodobnie miało dodać jej otuchy, ale w rzeczywistości sprawiło, że wyglądał jak uczeń przyłapany na brojeniu.

Dzięki za pomoc, chłopie.

– Właśnie widzę – odpowiedziała Isabella chłodno, patrząc, jak Luisa podchodzi do Rose, żeby ją uściskać. – Wydaje się, że nie tylko dzieci lubią naszą opiekunkę. – Jej słowa wprost ociekały sarkazmem. Rose ugięła się pod ciężkim spojrzeniem Isabelli.

– Lepiej pójdę się przebrać. Przepraszam – jęknęła siostra Henry’ego, wyplątując się z objęć Luisy.

– To chyba dobry pomysł, moja droga – odpowiedziała Isabella z kpiną w głosie, a Rose poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie. *Dobry Boże*, pomyślała, idąc do szopy. *Teraz wie już dokładnie, o co tu chodzi.*



Isabella nadal była w Kalkari. Rose z trudem opanowywała irytację. Bardzo ją kusiło, żeby wsiąść do małego żółtego samochodziku i wyjechać jak najdalej, ale – w prowadzonej szeptem rozmowie – Mark ubłagał ją, aby jednak została.

– Proszę cię, to tylko kilka dni. Potrzebuję trochę czasu, aby uzgodnić z nią wszystkie szczegóły – argumentował. – Wszystko, co ci powiedziałem, to prawda. Uwierz mi, proszę. Daj mi tylko kilka dni.

Isabella mogła sobie być niesamowicie piękna, ale była też niesamowitą bałaganiarą. Prowadziła bardzo głośne rozmowy telefoniczne po hiszpańsku, zostawiając za sobą sznur usmarowanych czerwoną szminką szklanek oraz stosy nabazgranych notatek. Oczekiwała, że Rose będzie spełniać jej wszystkie zachcianki. Żaden posiłek przygotowany przez Rose jej nie smakował.

– Może następnym razem moglibyśmy dostać coś z mniejszą ilością tłuszczu – powiedziała pewnego wieczora, gdy Rose podała fettuccine carbonara.

Pani Cameron oczekiwała też, że Rose będzie zawozić jej rzeczy do pralni chemicznej, biegać na posyłki i, ogólnie rzecz biorąc, pełnić obowiązki jej osobistej pokojówki.

– Do jasnej cholery, kazała mi znaleźć organiczny olejek różany – wyzałała się Rose pani B, którą spotkała następnego dnia w Eumeralli. – Myśli pani, że dostanę go w supermarkecie?

– Och, biedactwo. Doskonale pamiętam, jaka ona jest – współczuła jej gospodyni.

Rose zaciskała zęby i spełniała żądania Isabelli z udawaną uprzejmością. Wiedziała, że żona Marka po prostu pokazuje, kto tu rządzi – a w sumie Kalkari nadal było jej domem. Rose była tylko pracownicą, a Isabella nie miała zamiaru pozwolić jej o tym zapomnieć.

Matka Luisy i Leo doprowadzała do białej gorączki także Astrid, ale ta wykorzystywała obecność Isabelli, aby spędzać więcej czasu w towarzystwie Thommo, który odbierał ją punktualnie o szóstej każdego wieczora i przywoził o siódmej rano następnego dnia. Rose zaskoczył fakt, że Isabella sama chciała kłaść dzieci spać (choć, jak zauważyła z irytacją, zostawiała przy tym za sobą ślad z mokrych ręczników i rzuconych na podłogę ubrań), ale przez to sama musiała wracać do szopy, gdzie pozbawiona była nawet drażniącego towarzystwa Jake’a. Natychmiast po powrocie z winnicy Jake ruszał na spotkanie z ekipą z Lilybells; upatrzył sobie Angie i robił, co mógł, żeby ją uwieść. Pod koniec tygodnia Rose miała wszystkiego serdecznie dość. Nawet poranne bieganie nie poprawiało jej nastroju. Znudziło jej się czekanie na zmianę sytuacji i zaczynała się zastanawiać, czy przypadkiem i Mark, i Isabella jej nie wykorzystują.

Wchodząc rano do kuchni, aby przygotować śniadanie, Rose zauważyła w korytarzu walizki Louis Vuitton. Ten widok od razu poprawił jej nastrój. Wydawało się, że Isabella naprawdę wyjeżdża, tak jak Mark obiecywał. Nie zamierzała jednak jej się pokazywać i patrzyła przez okno, jak Hiszpanka obsypuje dzieci pocałunkami i odjeżdża. Ciężki zapach jej perfum wisiał w powietrzu jeszcze przez dłuższy czas.

– Naprawdę wyjechała – zapewnił ją później Mark. – Uzgodniliśmy, że to koniec.

– Na pewno? Co to oznacza dla nas? – Rose nadal nie była przekonana.

– To oznacza, że uwolniłem się od niej – odparł. – Jest matką moich dzieci, ale to wszystko.

– Jesteś pewien?

– Tak, jestem pewien, Rose. Musisz mi uwierzyć, że to z tobą chcę być. Jeżeli tylko zechcesz takiego cynicznego starego dziada jak ja – uśmiechnął się krzywo.

Wyglądał tak szczerze – a Rose naprawdę chciała mu wierzyć. Uciszyła wątpliwości i pozwoliła, żeby ją przytulił i pocałował. Teraz wierzyła mu bezgranicznie.

# Rozdział 36

Kiedy w końcu do tego doszło, było tak fantastycznie, jak Rose to sobie wymarzyła.

Wieczorem po wyjeździe Isabelli, kiedy dzieci poszły już spać, Mark zapukał cicho do drzwi szopy. Jake był z Angie w Eumeralli, nikt nie powinien im przeszkodzić.

Nie potrzeba było żadnych słów. Rose poczuła rosnące pożądanie już w momencie, kiedy mężczyzna jej dotknął, i pociągnął na kanapę. Niecierpliwymi palcami zerwał z niej ubranie; rozpiął biustonosz i aż jęknął, kiedy spojrzał na jej nagie ciało. Rose przyciągnęła go z powrotem do siebie i pocałowała gwałtownie. Nie mogła znieść nawet chwili bez jego dotyku.

– Nie tak od razu – szepnął, odsunął się od niej i zaczął delikatnie całować jej piersi i brzuch, a potem zsunął usta jeszcze niżej. Rose poczuła obezwładniającą falę białego gorąca. Nie była w stanie logicznie myśleć – pulsowały w niej fale przyjemności po same czubki palców u rąk i nóg.

Ściągnęła Markowi koszulę, odsłaniając szerokie i opalone plecy. Przyciągnęła go na powrót do siebie i zaczęła łapczywie całować. Uniósł się nad nią, czekając.

– Jesteś pewna? – zapytał.

*Żartujesz sobie?*

Nie musiała odpowiadać słowami. Pocałowała go i w pocałunku tym zawarła całą nagromadzoną tęsknotę minionych miesięcy, przytulając się do niego każdym milimetrem ciała. Sięgnęła w dół i złapała go, czując pulsowanie w dłoni. Mark wciągnął gwałtownie powietrze. Rose powoli poruszała dłonią w górę i w dół, ciesząc się jego twardością i wielkością, drażniąc się z nim. Po chwili zaczęli poruszać się rytmicznie, najpierw powoli, a potem coraz bardziej niecierpliwie, aż przyjemność stała się niemal nie do zniesienia. Rose miała wrażenie, że wciąga ją wielki wir. Nie była w stanie uciec przed całym kosmosem wrażeń, jakie odczuwała. Znalazła się już niemal na granicy, zza której nie ma powrotu, gdy Mark zatrzymał ją i sięgnął do kieszeni leżących na podłodze dzinsów. Dobrze, że chociaż on kontrolował sytuację.

Powoli, patrząc Rose głęboko w oczy, Mark ponownie w nią wszedł. Znowu poruszali się w jednym rytmie. Rose poczuła fale cudownej rozkoszy i ponownie wciągnął ją wir, a ona poddała mu się bezwolnie. Razem stanęli nad przepaścią i razem skoczyli w dół, kiedy opanowała nimi nieopanowana siła.

– Ooooooch, Boże! – krzyknęła, dochodząc.



– Nooo... to było niesamowite – powiedział Mark, odzyskawszy oddech. – Lepsze niż zdobycie

Jimmy'ego Watsona.

Rose spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– No dobra, ex aequo – roześmiał się.

– Zdecydowanie warto było czekać – westchnęła zaspokojona Rose. Zasnęła w jego ramionach.



Po tym wieczorze spędzali razem każdą noc. Były one namiętne, wypełnione miłością i rozkoszą. Rose zaczęła odczuwać brak snu, a przy porannych obowiązkach często ziewała nieprzytomna. Nie miała pojęcia, jak Mark daje radę utrzymać to tempo – w końcu wychodził do wytwórni każdego dnia rano.

Była nieprzytomna z miłości. Oczy jej się rozświeślały, kiedy widziała, jak Mark staje w drzwiach pod koniec dnia, a on zawsze witał ją pocałunkiem, nawet przy dzieciach. Nic im oficjalnie nie powiedział, ale wydawało się, że akceptują tę sytuację bez problemów. Rose nigdy nie była szczęśliwsza. Nigdy też nie miała aż tyle pracy. Plotki o Fermencie rozprzestrzeniły się w dolinie i poza nią, a kawiarnia okazała się sukcesem. Niedawno odwiedziły ją nawet Betty, Merle i inne panie z CWA, które zachwyciły się muffinkami Rose i nalegały, aby dała im przepis. Henry był nadal w Hiszpanii i przestał wysyłać jej e-maile z pytaniami.

Życie wreszcie pokazało swoją dobrą stronę.

winobranie

rzeczownik

proces zbierania winogron

# Rozdział 37

Wykańczające wszystkich upały trwały nadal, a winogrona rosły duże i okrągłe – jak brzuch Astrid. Osłaniające wcześniej krzewy białe sieci teraz leżały na ziemi jak porzucona bielizna.

– Jak myślisz, Astrid, kiedy dojrzejesz? – zapytał pewnego dnia Leo, pijąc lemoniadę w cieniu na werandzie.

– Mam nadzieję, że jeszcze nie teraz – odpowiedziała dziewczyna, siadając ciężko i wachlując się powoli. – Ale nie mogę sobie wyobrazić, że będzie mi jeszcze goręcej... czy że będę jeszcze większa!

Winogrona tymczasem były już prawie dojrzałe, a przy kolacji z Mark powiedział, że winobranie zacznie się za kilka dni.

– Nie wydaje mi się, żeby taka pogoda miała się utrzymać przez dłuższy czas, a nie możemy ryzykować, że winogrona nam popękają przy ulewnych deszczach pod koniec sezonu – powiedział. – Obawiam się, że mniej więcej przez kolejne sześć tygodni będziesz mnie raczej nie widywać. Dan, Jake i ja będziemy pracować w czasie winobrania przez całą dobę. Codziennie z Eumeralli przyjeżdżać będą robotnicy do zbiorów. Aha, Rose – zawahał się. – Musisz zorganizować przekąski i lunch dla wszystkich. Pani B powie ci, co trzeba zrobić.

Rose skrzywiła się na myśl o dodatkowej pracy. I tak już miała ręce pełen roboty, prowadząc i dom, i Ferment. Dodatkowo zajmowała teraz dziwną pozycję – była jednocześnie i kochanką Marka, i jego pracownicą. W takich przypadkach było to nieco niezręczne.

– Nie przypominam sobie, żeby to wchodziło w zakres moich obowiązków. To cię będzie dodatkowo kosztować – powiedziała, ubierając wyrzut w żart.

– Co tylko chcesz, kochanie, ale musimy tych wszystkich ludzi nakarmić, żeby zebrać winogrona na czas, więc twoja pomoc jest bardzo potrzebna.

– Co tylko chcę, tak? – Na twarzy Rose pojawił się uśmiech. – Pozwól mi się zastanowić... Na pewno wymyślę jakiś sposób, żebyś mógł wyrazić swoją wdzięczność – zażartowała.

– Dobrze, ale co by to nie było, będzie musiało poczekać na koniec winobrania. – Mark spoważniał.

Rose wiedziała, że dla niego i winnicy był to kluczowy moment i że w najbliższych tygodniach czekać ich będzie mnóstwo ciężkiej pracy.

W każdy weekend do winiarni przybywało coraz więcej gości. Pewnego wieczora Rose z zaskoczeniem uzmysłowiła sobie, że jest w Kalkari już sześć miesięcy. Przeraziło ją, jak szybko mija czas. Nie była gotowa na opuszczenie doliny. Tak naprawdę, jeśli miała być ze sobą szczerą, nie sądziła, że kiedykolwiek będzie na to gotowa.



Poranek pierwszego dnia winobrania był jasny, ciepły i bezchmurny. To australijskie lato miało być rekordowe – tak przynajmniej twierdził Dan, który konsultował się z almanachem zawierającym dane statystyczne z poprzednich lat na temat pogody, opadów i warunków podczas zbiorów. Słońce dopiero wstawało nad wzgórzami Shingle, kiedy Rose wyszła pobiegać. Ze szczytu wzniesienia zobaczyła minibus zmierzający drogą do Kalkari. Uznała, że to pewnie zbieracze, i faktycznie, kiedy wróciła do domu, usłyszała rozmowy backpackersów, którzy przyjechali pomóc przy zbieraniu winogron. Zaczynali pracę tuż po wschodzie słońca, ponieważ Mark zdecydował, że lepiej jest zbierać winogrona, kiedy jest jeszcze chłodno. Dzięki temu zachowywały niską temperaturę przy sortowaniu, w prasie i przy wrzucaniu do wielkich otwartych kadzi fermentacyjnych. W porze lunchu Rose ustawiła przy drzwiach do winiarni stół i zastawiła go półmiskami z kanapkami i owocami. Wróciła do domu po dzbanki z wodą z lodem i ogromne ciasto wiśniowo-migdałowe, które upiekła rano. Chwilę później usłyszała warkoczący na podjeździe traktor. Za kierownicą siedział Jake, a na przyczepie piętrzyły się wiadra pełne złocistych, soczystych winogron. Rose spojrzała w kierunku wytwórni – Mark i Dan już niecierpliwie czekali na owoce, chcąc jak najszybciej zacząć pracować nad winem. Kiedy do wytwórni wniesiono pierwsze wiadra z owocami, w powietrzu wisiła wyczuwalna ekscytacja.

– Wcinajcie – powiedziała Rose zbieraczom, którzy nadciągnęli podjazdem w ślad za traktorem. Jedzenie zaczęło znikać z półmisków w takim tempie, jakby Kalkari zostało zaatakowane przez szarańczę.

– Dobra, do roboty. Bez pracy nie ma winy. – Jake skończył rozładunek, złapał jedną z nielicznych pozostałych kanapek i pożarł ją dwoma kęsami. Zbieracze leżeli na trawie przed winiarnią; wyglądało na to, że niektórym nawet udało się zdrzemnąć. – Hej, Rosie, jak leci? – spytał Jake na jej widok.

– Chyba w porządku. Dużo jedzą – odpowiedziała, wskazując na pusty stół.

– To ciężka robota. Nic dziwnego, że zgłodnieli – odpowiedział. – Widzimy się później! – zawołał przez ramię, zaganiając zbieraczy na przyczepę. Rose osłoniła oczy od słońca, patrząc, jak traktor jedzie drogą, a za nim ciągnie się chmura kurzu.



Kolejne dni wyglądały podobnie. Rose przygotowywała stopy jedzenia na krótkie przerwy i na lunch, a wszystko znikало w momencie, kiedy stawiała półmiski na stole. Upał był nie do zniesienia, a niebo nadal bezchmurne i intensywnie niebieskie.

– Jasna cholera, popatrz na mnie! – Astrid wyciągnęła nogi do przodu. – Jestem gruba jak jakaś stara *Hausfrau* – powiedziała, patrząc na swoje opuchnięte kostki. Kobiety siedziały na tylnej werandzie, patrząc, jak Leo i Luisa ganiają po podwórku Barnsie'ego. Kury rozsądnie trzymały od nich odpowiedni dystans.

– *Christus*, jak gorąco. Myślisz, że kiedyś w ogóle się ochłodzi?

– Skąd mam wiedzieć? To moje pierwsze lato tutaj. Chcesz wyskoczyć wieczorem do pubu? Dowiedzmy się, czy pani B posiedzi z dziećmi. Mam wrażenie, że przez cały tydzień tylko piekłam i robiłam kanapki.

– Jasne. Przyda mi się wieczorne wyjście, nawet jeśli będę piła tylko lemoniadę.



– Super. Zadzwoń do niej. – Rose podniosła się i weszła do domu, gdzie – dzięki grubym, kamiennym ścianom – było nieco chłodniej. A już na pewno znacznie chłodniej niż w szopie, gdzie blaszany dach pochłaniał ciepło przez cały dzień, zmieniając wnętrze w dobrze rozgrzany piekarnik.

Przyjechały do pubu o zachodzie słońca, kiedy zaczynały grać cykady. Ku zaskoczeniu Rose sala była niemal pusta. Zobaczyła przy barze Bevana i podeszła się przywitać.

– Cześć. Czemu tu tak pusto?

– Winobranie, kotku. Wszyscy są tak zmęczeni, że albo zbierają, albo śpią.

– No tak, mogłam się domyśleć.

Astrid postawiła na stoliku dwa kufle piwa i szklanę z bladopomarańczowym napojem.

– Dwa piwa dla was i lemoniada dla mnie.

– Dzięki, kotku, a co u ciebie? Rośniesz jak na drożdżach – zauważył Bevan.

– Jeszcze trochę i pęknę, nie? – Astrid uśmiechnęła się i odrzuciła do tyłu długie blond włosy. Nawet upał i zmęczenie ciężką nie przesłaniały jej urody, pomyślała Rose.

– Nieee, będziesz chyba jeszcze większa. Przed porodem moja kuzynka była naprawdę ogromniasta.

– Dzięki, od razu mi lepiej – odpowiedziała dziewczyna z sarkazmem. – Chciałabym tylko, żeby moja matka tak się nie martwiła tym, że będę rodzić tutaj. Od momentu powrotu do Austrii nie odezwała się do mnie ani słowem. Nie chce nawet odebrać telefonu, kiedy do niej dzwonię. Tata mówi, żebym dała jej trochę czasu, ale ona jest strasznie uparta.

– Może złagodnieje, jak zobaczy zdjęcia wnuka? – zasugerowała Rose. – W każdym razie wszyscy tu cię wspieramy. Luisa nie może się doczekać towarzysza zabaw. Dziś mi opowiadała, że będzie ci pomagać go karmić i kapać.

– Zawsze tu tak jest w czasie winobrania? – Astrid rozejrzała się wokół.

– Tja... – odpowiedział Bevan. – W pubach pustki. W Świętym Ziarnie pustki. Wszyscy harują od rana do wieczora i trzymają kciuki za zebranie winogron w terminie, no i modlą się, żeby matka natura nie postanowiła dostać ataku furii w ostatniej chwili.

Nie siedzieli długo. Astrid była zmęczona, a poza Bevanem nie było nikogo do rozmowy. Wracając do domu ciemną drogą kobiety otworzyły okna w samochodzie, żeby wpuścić do środka lekki wiatr. Chór cykad umilkł po wieczornym koncercie.

– Rose, myślisz, że tu zostaniesz? W sensie po zbiorach?

– Chciałam zobaczyć jeszcze trochę rzeczy w Australii, zanim mi się skończy wiza...

– Nie brzmisz specjalnie entuzjastycznie. Chodzi o Marka, tak?

Rose skinęła głową.

– To aż tak widać? – zapytała. Astrid wybuchnęła śmiechem.

– Jasne! Wszyscy wiedzą, co się dzieje. Przynajmniej przestali plotkować o mnie.

– Boże, naprawdę? – Rose poczerwieniała.

– To główny temat plotek.

– Cholerne małe miasteczka – powiedziała, ale w jej głosie nie było słyhać złości.

– Mam nadzieję, że zostaniesz. Nie sądziłam, że ja tu zostanę, ale wychodzi na to, że tak. – Astrid pogłaskała się po brzuchu. – Przeciążenie po przygodzie na jedną noc nie było do końca inteligentne, co?

– Masz na myśli chyba zaciążenie – roześmiała się Rose. – Plan może i nie był dobry, ale przynajmniej

wszystko się dobrze ułożyło. Thommo cię uwielbia.

– Serio? – Astrid wyraźnie się rozpromieniła. – Mam nadzieję. Może i tobie się ułoży. Nie myśl; ufaj temu, co tutaj – powiedziała, kładąc rękę na sercu.

– Łatwo ci powiedzieć. Nie mam pojęcia, co Mark tak naprawdę myśli, ale teraz nie jest dobry moment na rozmowy o tym. Z drugiej strony sama nie wiem, kiedy będzie dobry moment.

– Myślę, że on się boi – powiedziała Astrid, patrząc na drogę.

– Co takiego?

– Tak. Po Isabelli boi się znowu zakochać, znowu komuś zaufać. Ale każdy, kto nie jest całkiem ślepy, widzi, że on za tobą szaleje. Pasujecie do siebie. Dziwniejsze rzeczy się już zdarzały.

Fakt, dziwniejsze rzeczy się już zdarzały, pomyślała Rose, przypominając sobie prawdziwy powód, dla którego przyjechała do Kalkari.

# Rozdział 38

Do następnego tygodnia zebrano już wszystkie winogrona poza cabernetem, a większość zbieraczy przeniosła się do innych winnic w dolinie. Rose zaszła do wytwórni z ciastem, które zostało po gościach w winiarni, i patrzyła z fascynacją, jak wnoszone są ostatnie wiadra, z których winogrona wysypywano na długą, ruchomą taśmę. Stojący przy niej pomocnicy przeglądali leżące kiście. Rose wciągnęła do płuc słodki, mocny zapach zgniatanych winogron.

– Musimy się upewnić, że nie ma w nich zanieczyszczeń – powiedział Mark, podchodząc do niej.

– Zanieczyszczeń?

– Tak, liści, pędów, kamieni... albo jaszczurek. To się zdarza. Nie chcemy, żeby dostały się do soku – wyjaśnił.

Sortowane winogrona jechały dalej na taśmie i znikwały w prasie. Ogromny czarny wąż podłączony do prasy odprowadzał winogronową mieszaninę, która teraz przypominała konsystencją owsiankę, do otwartych betonowych kadzi pod tylną ścianą.

– Tam powstaje coś, co nazywamy moszczem – tłumaczył dalej Cameron. – Skórki winogron i pestki tworzą kozuch, który musimy ubijać kilka razy dziennie. W przeciwnym razie całość się przegrzeje. To niezły trening. Grube, betonowe ścianki zbiornika utrzymują stałą temperaturę. Potem, po zakończeniu fermentacji, wyciskamy płyn i pozwalamy mu dojrzewać w tych maluchach – wskazał na rzędy beczek, ustawione równo pod ścianą wytwórni.

Mark, Dan i Jake pracowali w wytwórni bez wytchnienia. Zarówno Mark, jak i Jake mogli już poszczycić się kilkudniowym zarostem na twarzach. Wszyscy trzej mieli też podkrążone oczy. Powinni być zirytowani i podenerwowani, ale wyglądali na zachwyconych.

– Ten rocznik chyba będzie rekordowy – powiedział Dan, kiedy Rose wróciła później do wytwórni z lunchem. Mark i Jake ucieli sobie właśnie krótką drzemkę. Dan musiał krzyczeć, żeby Rose mogła go usłyszeć przez huk prasy. – Dobrze, że udało nam się też zebrać winogrona panien Trevelyn – dodał. – Nie powinniśmy mieć problemu z realizacją zamówienia dla Channings.

– Co za ulga – westchnęła siostra Henry’ego.

– Nie mylisz się, kotku. To znacznie mniejszy presję. Może nawet uda nam się trochę powiększyć areał winnic w przyszłym roku. Wiem, że Mark ma na oku trochę ziemi dalej w dolinie. I zauważyłem, że jest ostatnio znacznie weselszy. Parę dni temu nawet przyłapałem go na gwizdaniu. Wiem, że to twoja zasługa. Widziałem, jak się przy tobie zachowuje, jak na ciebie patrzy.

– Dobrze nam razem – przyznała zarumieniona Rose. – Ale to chyba tylko przelotny romans – dodała szybko. Dan jednak wyglądał na zaskoczonego – i zranionego.

– Dlaczego tak mówisz? Myślałem, że ci się tu podoba. Masz ogromny, pozytywny wpływ na to

miejsce.

Nad głowami rozległ się grzmot. Dan wyjrzał za okno. Kiedy rozmawiali, na błękitne wcześniej niebo napłynęły czarne, burzowe chmury.

– Cholera. Tylko tego brakowało. A musimy jeszcze zebrać caberneta. Lepiej zbudzę szefa. – Dan ruszył w kierunku drzwi z nietypowym dla siebie pośpiechem. Rose podążyła za nim z wytwórni do domu.

Siedziała akurat w kuchni, kiedy usłyszała tupot na schodach. W drzwiach pokazała się głowa Marka.

– Hej, dużo masz roboty? Potrafisz używać sekatora? Mamy kryzys, wszystkie ręce na pokład. Szkoda, że odesłałem dziś zbieraczy wcześniej. Burza miała nadejść dopiero jutro.

Rose wytarła ręce. Była bardzo zmęczona, ale nie wahała się ani chwili.

– Jasne. Pokaż mi tylko, co mam robić.

Idąc do samochodu, wpadli na Astrid i dzieci, które właśnie wróciły z Eumeralli.

– Leo! – zawołał Mark. – Chcesz pozbierać z nami winogrona?

Chłopiec prosił ojca od tygodni, żeby pozwolono mu pomóc w winnicy, ale Mark obawiał się, że dziecko się znudzi i będzie tylko przeszkadzać zbieraczom, więc konsekwentnie odmawiał. Teraz jednak każda para rąk była potrzebna.

– Jasne, tato. Ale super! – Leo był podekscytowany.

– Nie jestem pewien, czy tym właśnie słowem określiłbym zbieranie winogron w czasie burzy, ale podoba mi się twoje nastawienie, synu – odpowiedział Mark, delikatnie klepiąc chłopca po głowie. Cała czwórka wskoczyła do samochodu, Cameron dodał gazu i pojechali do winnicy. Dan dodzwonił się właśnie do Charliego z Windsong.

– Siemka, chłopie, macie tam jakichś wolnych ludzi? Zaraz lunie, a my nadal mamy zachodnią winnicę do zrobienia. Serio? Świetnie! To zaraz się widzimy.

– I co? – Mark spojrzał na Dana pytająco.

– W Windsong zebrali wszystko wczoraj, więc Charlie, Thommo i ich ekipa spotkają się z nami w winnicy. Razem powinno nam się udać.

– Hmm – mruknął Cameron, patrząc niespokojnie w niebo. – Kusimy los.

Kilka minut później byli już przy pierwszym rzędzie zachodniej winnicy. Wysiadając z samochodu, zauważyła, że temperatura spadła o przynajmniej dziesięć stopni. Zadrzała w niespodziewanie chłodnym powietrzu. Pod zielonymi liśćmi wisały ciasno zbite kiście dużych, granatowych winogron ze skórkami pokrytymi białym pyłem. Mark rozgniół kilka winogron w palcach, analizując pestki.

– Są już brązowe, to dobrze. – Ugryzł winogrono, rozgniatając pestkę między zębami. – Wolałbym im dać jeszcze dzień czy dwa, ale co robić. Do roboty.

Zaalarmowany przez Dana Jake nadszedł traktorem i zaczął rozładowywać wiadra. Każdy wziął po sekatorze i ruszyli między rzędy winorośli. Coraz głośniejsze grzmoty przetaczały im się nad głowami, a ciemne chmury sprawiły, że popołudniowe światło wydawało się przytłumione i ponure. Rose podniosła głowę, kiedy ogromny piorun oświetlił całą dolinę.

– Rany, ale to będzie burza – mruknęła sama do siebie, wrzucając kiście do wiadra najszybciej, jak się dało.

Po chwili zajechali Thommo i Charlie, a kiedy wysiadali z furgonetki, obok nich zaparkowały jeszcze

dwa samochody. Rose zauważyła Deano i Micka z Lilybells.

– Słyszałem, że potrzebujecie pomocy – powiedział Deano, wyciągając sekator.

– Oj, chłopie, nie mylisz się – odpowiedział Mark, unosząc na moment głowę znad winogron.

Pracowali bez wytchnienia. Ręce Rose pokryły się pęcherzami od sekatora, którego nigdy wcześniej nie używała. Od ciągłego zginania się pękał jej kręgosłup. Burza wciąż wisiała w powietrzu, ale poza kilkoma wielkimi kroplami na razie nic z czarnych chmur nie spadło. Kobieta wyprostowała się – jej wiaderko znowu było pełne. Otarła pył z twarzy grzbietem ręki.

– Jak idzie? – Cameron podszedł do niej, żeby zabrać wiaderko. – Wyglądasz na wykończoną.

– Nie Nie jest tak źle. Jak Leo?

Popatrzyli wzdłuż rzędu krzewów w kierunku chłopca.

– Nadal walczy. Obawiam się, że jeśli nie będzie uważał, może mieć przyszłość w tym zawodzie – mimo zmartwienia pogodą Mark wyglądał na zachwyconego.

– Podoba ci się to, co? – zapytała Rose.

– O, tak – uśmiechnął się do niej. – Życie nigdy nie jest spokojnym rejssem, byłoby wtedy zbyt nudno. Ale cieszę się, że mamy pomoc. W przeciwnym razie siedzielibyśmy po uszy w gównie.

Rose wybuchnęła śmiechem. Nie ma to jak trochę australijskiej dosadności.

– Nie wiem, jak wy, ale ja z przyjemnością wypiję zimne piwko, kiedy już skończymy – odezwał się z sąsiedniego rzędu Dan.

– Stawiam wam wszystkim po piwie, albo i po trzy, jeśli zbierzemy wszystko przed burzą – odpowiedział Mark. – A teraz z powrotem do roboty, zanim nas przemoczy.

Właśnie pakowali ostatnie wiaderka, kiedy w końcu zaczęło padać. Woda lała się z nieba jak rzeka. Rose nadal jeszcze nie mogła przyzwycząić się do deszczu w dolinie Shingle – wyglądało to tak, jakby Bóg kierował na dolinę wodospad. Jake pojechał załadowanym po brzegi traktorem do wytwórni – wydawało się, że ulewa w ogóle nie robi na nim wrażenia. Cała reszta schroniła się w samochodach.

– Dobra robota, Leo – powiedział Mark.

– Dzięki, tato – odpowiedział zadowolony z pochwały chłopiec.

Rose wsiadła z przodu obok Marka, a on położył pokrytą odciskami dłoni na jej dłoniach.

– Dzięki, Rose.

Skrzywiła się, kiedy ścisnął jej dłoń.

– Po powrocie trzeba będzie posmarować to maścią – zauważył Cameron, obracając jej dłoń i patrząc na zaczerwienioną skórę pokrytą pęcherzami w miejscach, gdzie sekator ugniatał jej delikatne dłonie.

– Trochę piecze – przyznała przez zaciśnięte zęby.

Po powrocie do Kalkari pobiegli z samochodu do wytwórni, ale i tak przemoczyło ich do suchej nitki. Dan ruszył w poszukiwaniu apteczki, żeby opatrzyć dłonie Rose, a Mark wyciągnął z lodówki w rogu biura puszkę lemoniady.

– Masz, chłopie. Dobra robota – powiedział, otwierając ją i podając Leo. Chłopiec zaczął chciwie pić. Rose przełknęła ślinę – nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest spragniona.

– A to dla ciebie – dodał Cameron, podając jej butelkę piwa i wyciągając drugą dla siebie. – Wypij to, a potem powinniście się oboje pójść wysuszyć. Dan i ja zajmiemy się rozładunkiem.

– Tato, mogę zostać i popatrzeć? Obiecuję, że nie będę przeszkadzał! – błagał Leo.

– Dobra, ale trzymaj się blisko mnie i niczego nie dotykaj – ostrzegł Mark.

Rose zacisnęła ręce na lodowatej butelce i zignorowała pieczenie w dłoniach. Zebranie plonów i pokonanie żywiołów okazało się niezwykle emocjonujące i zdecydowanie wykańczające.

Jeszcze nigdy zimne piwo nie smakowało tak wspaniale.

# Rozdział 39

Restaurację Marilyn's (w której, na szczęście, jedzenie było lepsze, niż wystrój wewnątrz) oświetlały setki świec, które dodawały magicznego blasku twarzom wszystkich członków zespołu zbieraczy z Kalkari.

– Ojej, wszyscy przyszli! – powiedziała Rose.

– Tak, wszyscy, plus kilka osób na doczepkę – zamruczał Dan, wskazując głową w kierunku blond boba Amandy Davis z Bellbirds, która przyjechała na weekend i jakimś cudem zdobyła zaproszenie.

Rose wygładziła na sobie sukienkę i poprawiła włosy, które opadały jej na plecy lśniąca kaskadą. Nagle poczuła się niepewnie. Kiedy podniosła wzrok, stwierdziła, że Mark patrzy na nią z dziwnym wyrazem w oczach. Nachylił się do niej.

– Wyglądasz przepięknie – wyszeptał jej do ucha tak, aby tylko ona mogła go usłyszeć. Jego komplement mile ją zaskoczył, ale zaraz zobaczyła, że za nimi stoi już Amanda, która stuknęła Marka w ramię.

– Mój kochany, tak dawno się nie widzieliśmy. Słyszałam o nagrodzie Jimmy'ego Watsona. Gratulacje, zasłużyłeś na nią! – pisnęła. Mark odwrócił się w jej stronę.

– Cieszę, bood tego momentu telefon nie przestaje dzwonić i mamy zamówienia na prawie całe zapasy. Odwrócił się z powrotem do Rose, ale Amanda nie miała zamiaru dać się spławić.

– Powiedz mi, co sądzisz o tym roczniku? Czy możemy się spodziewać, że odbierzesz kolejną nagrodę? – mrugnęła do Camerona konspiracyjnie.

Stojący obok Jake, który słyszał całą rozmowę, pociągnął Rose za rękę.

– Chodź, moja droga. Ci poszukiwacze trofeów strasznie mnie irytują. Nie przejmuj się nią, nie ma szans. Każdy widzi, że dla szefa istniejesz tylko ty. Chodźmy do najweselszego stolika – powiedział, wskazując na stolik po drugiej stronie sali, gdzie siedziała Astrid, Thommo, Angie i Mick. Sądząc po śmiechach, z dużym zapalem degustowali czerwone wina. Błat zastawiony był najróżniejszymi karafkami i butelkami.

Rose obejrzała się na Marka, ale rozmawiał z Amandą i wydawało się, że jest zatopiony w rozmowie. Pozwoliła więc, aby Jake poprowadził ją do stolika.

Właśnie miała usiąść, kiedy do restauracji weszła Violet, a za nią Vera. Rose podbiegła, żeby przytrzymać im drzwi, a potem uściskała obie siostry.

– Tak się cieszę, że udało się wam przyjść. Wyglądacie znacznie lepiej! – uśmiechnęła się do nich promiennie.

– Dzięki, kochanie. Za nic nie opuściłybyśmy takiej okazji. Przede wszystkim jednak musimy spotkać się z pewnym młodzieńcem – tym, który zajmował się naszymi winnicami. Przedstawisz nas? – zapytała Violet.

– Och, macie na myśli Jake’a. Jasne. Siedzi tam. – Rose skinęła na Jake’a, aby do nich podszedł. –

Jake, to jest Violet, a to Vera. Słynne siostry Trevelyn.

– Szanowne panie – powiedział Jake poważnie, ściskając im dłonie i całując je obie w policzek.

*Ależ on potrafi czarować*, pomyślała Rose.

– Mam nadzieję, że są panie zadowolone z mojej opieki nad winnicami.

– To się zobaczy, kiedy uda nam się tam wrócić – powiedziała Vera szorstko.

– Przestań. – Violet przywołała siostrę do porządku. – Mark zrobił nam przysługę, zajmując się winnicami. Poza tym zapewnił mnie, że nie zrobi tam niczego bez naszej wiedzy.

– Święta racja – wtrącił się Jake.

Rose zostawiła ich przy rozmowie o zbiorach. Jake z entuzjazmem pytał starsze panie o szczegóły ich biodynamicznych metod uprawy. Wracając do stolika, siostra Henry’ego rozejrzała się po sali. Panowała elektryzująca atmosfera – radość i ulga, że wszystkim udało się uporać z natłokiem pracy przy zbiorach, i oczekiwanie, jakie wino uda się zrobić z soku w zbiornikach fermentacyjnych w Kalkari.

Mark – któremu w końcu udało się uwolnić od Amandy – żartował z Danem; Astrid i Thommo patrzyli sobie miłośnie w oczy; Vera i Violet ciągle jeszcze rozmawiały z Jake’em. Rose poczuła, że serce jej się ściska. W ciągu kilku zaledwie miesięcy ci ludzie stali się jej przyjaciółmi, jej przybraną rodziną. Nie mogła znieść myśli, że miałyby ich porzucić. Powinna naprawdę wyjaśnić bratu całą sytuację, powiedzieć mu, że nie będzie jego szpiegiem, i ubłagać, aby wybrał sobie inną wytwórnię do wykupienia. Postanowiła wysłać mu rano e-maila z informacją, że wycofuje się z jego planu. Jeśli będzie na nią wściekły, to trudno. Zniesie to, bo czuła, że nie da rady zdradzić Marka i swoich nowych przyjaciół. Miała nadzieję, że zdobycie nagrody Jimmy’ego Watsona i zamówienie z Channings, które po tak dobrych zbiorach powinno się dać bez problemu zrealizować, oznacza, że Mark będzie miał znacznie silniejszą pozycję, aby bronić się przed hienami pragnącymi zdobyć jego własność za niską cenę.

Wróciła do stolika i postanowiła nie myśleć o tym wszystkim przez resztę wieczoru. Była wśród przyjaciół i nadszedł czas, aby świętować udane zbiory.



Następnego dnia w Eumeralli Rose pakowała zakupy do bagażnika samochodu i aż podskoczyła, kiedy nagle usłyszała odgłos klaksonu. Zirytowana podniosła wzrok na trąbiącego, po czym spojrzała na niego ponownie. Halucynacje?

– Siemka, Rosie.

*Co, do diabła? Przecież to niemożliwe.*

Usiłowała ustalić, czy ma halucynacje, czy też nie, kiedy kierowca odezwał się do niej ponownie:

– Wiele wody upłynęło od ostatniego spotkania, co?

*O mój Boże*, pomyślała. *To naprawdę on.*

– Co... Co ty tu... – Rosie była tak zaskoczona, że nie mogła dokończyć zdania.

– No cóż, myślałem, że na mój widok ucieszysz się nieco bardziej – powiedział Henry, wysiadając z samochodu. – Wyglądasz niesamowicie, Rose. – Zamrugał z zaskoczenia i przyjrzał się dokładnie jej nowej, smukłej sylwetce. – Niewiarygodne. Australia ewidentnie ci służy. Niemal nie rozpoznałem



stojącej przede mną bogini.

Rose opanowała zaskoczenie i rzuciła mu się w objęcia.

– Henry, prawie dostałam przez ciebie zawału. Co ty tu robisz? Ale niespodzianka. Właśnie miałam do ciebie pisać. Miałeś być we Francji, w Hiszpanii czy gdzieś tam, ty draniu!

Rose była zachwycona widokiem brata i mocno go uściskała, ale serce tłukło jej się jak szalone – zgadła, dlaczego przyjechał. Sytuacja stanie się za chwilę nieprzyjemna. Co zrobić, aby nie popsuć tego, co udało jej się osiągnąć w ciągu ostatnich kilku miesięcy?

– Tak sobie pomyślałem, że wpadnę i zobaczę co u ciebie. Miałem kilka spotkań w Sydney i chciałem ci zrobić niespodziankę.

– To akurat ci się naprawdę udało. Gdzie się zatrzymałeś? – Rose zarzuciła go pytaniami.

– Zarezerwowałem pokój w pubie na kilka nocy. Dobrze będzie jednak się rozejrzeć. Może pokażesz mi, jak się dostać do Kalkari, a potem oprowadzisz mnie po winnicach?

– Mmm, jasne, nie ma problemu – odpowiedziała zakłopotana Rose. Musiała się zastanowić, jak trzymać Henry’ego z dala od Kalkari.

– Nie ma problemu? Przyjęłaś miejscowe nastawienie – zauważył jej brat, odwracając się do swojego samochodu. – Pojadę za tobą.

Wyjeżdżając na główną drogę, Rose poczuła, że myśli wirują jej jak karuzela. Mark powinien być w winnicy i może uda jej się porozmawiać z Henrym na osobności. Będzie musiała szybko myśleć i jeszcze szybciej mówić. Nie chciała pozwolić, by jej brat opowiedział Markowi o prawdziwej przyczynie jej przyjazdu. Z pewnym wysiłkiem utrzymywała wzrok na drodze, ale jej myśli skupiły się na katastrofie, do jakiej na pewno dojdzie, jeśli ci dwaj się spotkają. Henry nie słynął z subtelności, a Mark na pewno wyciągnie pochopne wnioski – przy czym, mówiąc szczerze, nie będą one dalekie od prawdy. Zjechała na podjazd i zaparkowała przed domem.

– No ładnie tu jest... – gwizdnął cicho Henry. – W całkiem niezłym domu sobie mieszkasz. Już rozumiem, czemu ci się tu podoba. Trochę się to różni od Clapham, co?

– Ja tak w zasadzie nie mieszkam w głównym domu. – Rose wskazała na widniejący w oddali zardzewiały, blaszany dach. – Mieszkam tam.

– Aha – skwitował Henry. – Jasne.

Jego siostra starała się grać na zwłokę.

– Muszę przygotować lunch. Może podam ci coś do picia?

– Dzięki. Siądę sobie na razie tutaj. – odpowiedział Henry, wskazując na ławkę pod kazuaryną.

Rose nie chciała zapraszać brata do domu, póki nie uda jej się z nim porozmawiać od serca. Nie chciała, żeby ktoś ich podsłuchał, albo – co gorsza – żeby wpadł na nich Mark. Ulżyło jej, że Henry zadowolili się siedzeniem na zewnątrz.

– Jasne. Zaraz przyniosę ci wodę.

Pognała do domu i wpadła na Astrid i Luisę, które właśnie wychodziły.

– Co się dzieje, Rose? Słyszałam kogoś obcego. Oooo – powiedziała Astrid, wyglądając przez okno wychodzące na winiarnię. – Kto to?

– Hmm, cóż, to mój brat. Był w Sydney w interesach i przyjechał się ze mną zobaczyć – czy też raczej sprawdzić, czy wszystko u mnie w porządku.

– Nieźle ciacho.

Rose wzruszyła ramionami. Reakcja Astrid wcale jej nie zdziwiła. Henry miał spore powodzenie u kobiet, ale mimo to nadal pozostawał kawalerem.

– Nie wydajesz się zachwycona. Myślałam, że jesteście ze sobą blisko?

– Jesteśmy, i bardzo się cieszę, tylko mnie zaskoczył. – Rose szybko zaczęła zacierać ślady. Prawie zdradziła się ze swoją tajemnicą, a wolała, żeby Astrid jeszcze o niczym nie wiedziała, choć pewnie w końcu i tak wszystko się wyda. Teraz wolałaby zapaść się pod ziemię albo przynajmniej być gdzie indziej – dosłownie gdziekolwiek indziej – niż stawić czoło temu, co miało nadejść.

– Chcesz zjeść lunch, malutka? – zapytała Luisę.

– Idziemy do Jethie – odpowiedziała dziewczynka.

– Będą się bawić – dodała Astrid. – Wrócimy późnym popołudniem.

– Pa, pa, kochanie – powiedziała Rose, przytulając Luisę.

Patrząc za oddalającą się Astrid, Rose zauważyła, że niania poszła w kierunku winiarni, a nie podjazdu. Dlaczego?

# Rozdział 40

– Masz. – Rose podała bratu szklanekę wody i postawiła na ławce talerz z kanapkami, po czym usiadła obok niego.

– Poznałem twoją koleżankę – oznajmił Henry. – Urocza dziewczyna – dodał z namysłem.

– Jest już zajęta. – Rose popatrzyła na niego surowo.

– Spokojnie! – Mężczyzna uniósł ręce w obronnym geście. – Mówiłem o tej małej!

Rose wzięła głęboki wdech.

– Co cię tu tak naprawdę sprowadza?

– Tak jak ci powiedziałem, siostrzyczko, miałem trochę spraw w Sydney. Byłem w okolicy, więc musiałem cię odwiedzić.

Rosenni na chwilę nie uwierzyła w jego historyjkę. Za dobrze go znała.

– Rose, mogę cię prosić na chwilę? – Z winiarni odezwał się głos Marka.

*O cholera.* Nie wydawał się zadowolony. Co się stało? Teraz nie miała już wyboru, musiała ich sobie przedstawić. W końcu jej brat siedział tuż obok i wyglądałoby naprawdę dziwnie, gdyby tego nie zrobiła.

– Jasne, Mark. Mmmm... To mój brat Henry. Henry, to Mark Cameron.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– Cześć – przywitał się gospodarz. – Co za niespodzianka. Rose nie mówiła, że przyjeżdżasz.

– To tylko krótka wizyta, ale uznałem, że wpadnę i zobaczę co u niej słychać.

Roztrzęsiona Rose nie wiedziała, czy stać i patrzeć, jak jej świat rozpada się na kawałki, czy uciekać.

– Zaraz wracam – powiedziała i pobiegła do szopy.

Usiłowała się sama przekonać, że nie będzie tak źle, że Henry nie wygada Markowi prawdy. Mężczyźnie, którego kocha.

*Mężczyźnie, którego kocham.*

Tak, kochała Marka, teraz to do niej dotarło. Kochała go całą sobą. Serce stanęło jej w gardle z przerażenia, gdy zdała sobie sprawę, że – jak totalna idiotka – zostawiła ich tam samych. Szybko ochlapała twarz wodą, próbując się uspokoić, wytarła się i wróciła do winiarni.

Idąc ścieżką, zauważyła przed sobą samotną srokę i przypomniał jej się poranek w dniu przyjazdu do Kalkari. *Całkiem słusznie. Jedna sroka wróży smutek*, pomyślała ponownie. Wolałaby znak, który sugerowałby, że całe to zamieszanie się wyjaśni i wszystko skończy się dobrze. Gdzieś jednak w głębi duszy przeczuwała, że w tej historii nie będzie happy endu.

Obaj mężczyźni byli dla niej bardzo ważni i mocno pragnęła, żeby nie zmierzali właśnie w kierunku nieuniknionej kolizji.

Weszła na trawnik przed winiarnią, ale ich tam nie było.

*Szlag by to trafił!*

Zastanawiała się, co mogło się stać. Czy akurat walczyli na śmierć i życie, czy w najlepszej komitywie pili piwo? Wyobraźnia podsuwała jej różne scenariusze. Nie miała pojęcia, gdzie się podzieli. Sprawdziła winiarnię i wytwórnię. Wolałaby nie biegać bez sensu po całej dolinie, ale nie wiedziała, gdzie szukać i co zrobić, gdyby ich znalazła.

W końcu opanowała emocje. Nie będzie nikogo szukać. Kiedy Rose była zmartwiona – albo znudzona, smutna, czy nawet wesoła – zawsze szła coś upiec. Ciasto czekoladowe na pewno poprawi jej teraz nastrój. Ruszyła w stronę kuchni.



– Zapach jest absolutnie boski.

Minęło kilka godzin. Henry właśnie wszedł do kuchni i usiadł na krześle przy stole, jakby był we własnym domu. Jakim cudem wszedł sobie ot, tak po prostu? Normalny człowiek zapukałby do drzwi. Ale nie brat Rose.

– Gdzieś ty był? Martwiłam się – powiedziała nerwowo.

– Och, kochana siostrzyczko, zbierałem informacje o Kalkari. Mark zaproponował, że pokaże mi posiadłość, a potem zasugerował wizytę w kilku innych wytwórniach w dolinie. Nie ma to jak degustacja na rozluźnienie, kiedy się ledwo spało w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin – odpowiedział z uśmiechem.

– Mam nadzieję, że więcej wypluwałeś, niż wypijałeś. – powiedział Mark od drzwi.

– O, Mark. – Rose była rozpaczliwie zakłopotana. – Cześć.

– Hej, Rose..

Wstrzymała oddech. Wydawało się, że czas się zatrzymał.

– Mark dał mi spróbować trochę czerwonych win z zeszłego roku, jeszcze z beczek – wtrącił Henry. – Są doskonałe.

– O, to wspaniale. – Rose z trudem panowała nad zdenerwowaniem.

– Kiedy będziemy mieli chwilę, żeby pogadać? Chcę wiedzieć o wszystkim, co tu się działo. Twoje e-maile nie były specjalnie szczegółowe – powiedział Henry.

– Mmmm, może pójdziemy dziś do pubu? – odpowiedziała szybko Rose. Dlaczego jej brat mówi takie rzeczy przy Marku? On jednak właśnie sięgał po czajnik i wydawało się, że w ogóle nie zwrócił na to uwagi.

– Herbaty? – zapytał.

– O, poproszę – odparł Henry.

Obydwaj mężczyźni nie zauważyli, że Rose jest kłębkim nerwów. Rozmawiali spokojnie o klonach i rodzajach trejaży, w zasadzie ją ignorując. Patrząc z boku, można by powiedzieć, że są starymi znajomymi, którzy od dawna się nie widzieli.

Astrid wróciła z Luisą, Leo i Barnsie'em.

– Ależ cudownie pachnie to ciasto! – zawołała, klepiąc się po brzuchu. – To dziecko będzie uwielbiało czekoladę, mówię wam!

Luisa wdrapała się Markowi na kolana, a on z czułością gładził ją po ciemnych lokach, nie przerywając rozmowy z Henrym.

– Cześć, nazywam się Henry i jestem bratem Rose. – Mężczyzna przedstawił się Astrid i dzieciom.

– Czy ty także mieszkasz niedaleko stadionu Tottenhamu? – zapytał Leo.

– Aha. Byłeś tam kiedyś?

– Nie, ale będę. Rose mnie tam zabierze, prawda?

– Może kiedyś, Leo. Zobaczymy. – Nie mogła się skupić na niczym poza uniknięciem sytuacji, w której

Mark i Henry spędzaliby ze sobą za dużo czasu, ale Leo wydawał się zadowolony z jej odpowiedzi i razem z Barnsie'em wyszedł do ogrodu.

Rose wyciągnęła z piekarnika wielką formę z ciastem.

– Widzę, że nie straciłaś umiejętności, Rosie – zauważył Henry.

– O tak, ona ma talent – zgodził się Mark.

Rose nie czuła się w tej chwili specjalnie utalentowana. Zastanawiała się, jak mogła się wkopać w tak absurdalną sytuację. Jej szef, w którym – jak się okazało – była po uszy zakochana, siedział w kuchni z jej bratem. Rozmawiali jak starzy przyjaciele. Ale jej brat chciał zabrać Markowi jego ukochaną winnicę i wytwórnię...

Co robić? Co robić???

# Rozdział 41

– Zmieniłem zdanie – ogłosił Henry, pijąc z Rose kawę w Świętym Ziarnie następnego ranka.

– To znaczy? – zapytała. Poprzedniego dnia Henry wyjechał z Kalkari po południu i spędził wieczór w pubie w Eumeralli. Teraz, siedząc po drugiej stronie stołu, wyglądał na wypoczętego i zadowolonego z siebie. Ona z kolei nie zmrużyła w nocy oka, martwiąc się kolejnymi pomysłami brata. Kawa, którą właśnie piła, tylko potęgowała jej rozdygotanie.

– Nie będę próbował przejąć Kalkari. Ma niesamowity potencjał, to jasne, ale widać, że Mark prowadzi interes z ogromną pasją i tylko on jest w stanie dobrze nim zarządzać. W ciągu ostatniego roku naprawdę udało mu się opanować sytuację finansową. Kalkari nie jest tym, czego szukam. Chcę czegoś, co można wymyślić na nowo. Czegoś gotowego na zmiany. – Henry zrobił pauzę. – Ale interesuję się tą doliną. Jest tu mnóstwo okazji.

– Chcesz mi powiedzieć, że wysłałeś mnie tu jako swojego szpiega, kazałeś mi wygrzebywać brudy, które mógłbyś wykorzystać, sprawiłeś że czułam się jak zdrajczyni, a teraz mówisz mi po prostu, że zmieniłeś zdanie?! – Rose czuła jednocześnie wściekłość i ulgę.

Henry uśmiechnął się słabo i nadal sączył kawę. Nagle Rose zdała sobie z czegoś sprawę.

– Czekaj. Ty wcale nie chciałeś, żebym prowadziła przespiesi w Kalkari, prawda? – Uderzyła się otwartą dłonią w czoło. – Sam mogłeś się wszystkiego dowiedzieć. Jak mogłam być tak głupia, aby nie zdawać sobie z tego sprawy.

– Nooo, to nie do końca tak. – Henry spojrzał na nią przebiegle. – Martwiłem się o ciebie. Całymi dniami rozpaczałaś, przestałaś normalnie żyć. Chciałem odwrócić twoją uwagę od kłopotów, a przy okazji chciałem, żebyś się dowiedziała czegoś o Kalkari, chociaż masz rację, mogłem to zrobić bez twojej pomocy. Ale dzięki twojemu przyjazdowi tutaj i szperaniu po kątach udało mi się załatwić obie rzeczy jednocześnie.

Rose uderzyła go lekko w głowę.

– Au! To bolało! Jeżeli w ten sposób masz mi dziękować... Przepraszam, Rose, ale byłem pewien, że ci się tu spodoba, a ewidentnie doskonale ci to zrobiło. Popatrz na siebie – jesteś zupełnie inną osobą. Tej, która parę miesięcy temu wyjechała z Londynu, już nie ma. I dobrze.

Rose poczuła ulgę, ale nie miała zamiaru mu tak od razu wybaczać. Co on teraz planował?

– Co to więc znaczy?

– No cóż... – zaczął Henry. – Powiedzmy, że dowiedziałem się o doskonałej okazji biznesowej.

– Żartujesz sobie! Jasna cholera, nawet ty nie działasz tak szybko. Jesteś tu dopiero od dwudziestu czterech godzin. Jak ty to robisz? – Rose nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Och, no wiesz, zawsze słucham, co się wokół dzieje – mrugnął do niej Henry. – Powiedzmy, że

rozmowa, którą wczoraj odbyłem w pubie, była bardzo ciekawa. Słyszałem też co nieco o tobie.

– Co słyszałeś? – Rose ponownie wpadła w panikę.

– Nie zdradzałaś się z niektórymi rzeczami, które tu robiłaś, siostrzyczko.

– Co masz na myśli? – Czy Henry dowiedział się o niej i o Marku?

– Ktoś mi szepnął, że w weekendy prowadzisz tu bardzo popularną kawiarnię.

– A tak, to. – Rose poczuła się jak skazaniec ułaskawiony w ostatniej chwili. Henry chyba jednak nie słyszał żadnych prawdziwych plotek. Chciała na razie utrzymać swój związek z Markiem w sekrecie. Nie sądziła, aby fakt, że zakochała się w swoim pracodawcy, zrobił na Henrym dobre wrażenie. – Czyli Mark nie wie, po co tak naprawdę przyjechałam do Kalkari? – zapytała z nadzieją.

– Nie martw się, Rosie. Ja twojej tajemnicy nie zdradzę.

*Uff, dzięki ci za to.*

Rose miała wrażenie, że ktoś zdjął jej z barków ogromny ciężar. Nagle dzień wydał jej się znacznie pogodniejszy.

– No dobra, mów. Co to za okazja? – zapytała.

– Pewnie znasz tę niewielką posiadłość obok Kalkari? Niedawno był tam pożar.

– Dom sióstr Trevelyn? Jasne, że znam. Całkiem dobrze poznałam zresztą Verę i Violet. To urocze starsze panie. Ale chyba nie zamierzają sprzedawać posiadłości? Mieszkają tu od lat. – Rose podziwiała umiejętność Henry’ego do wynajdywania dobrych okazji biznesowych, ale poczuła smutek na wieść o siostrach Trevelyn.

– Plotki głoszą, że się nad tym zastanawiają. – Henry zatarł ręce z entuzjazmem. – Ale skoro je znasz, to tym lepiej. Gdzie możemy je znaleźć?

Rose się zawahała. Nie była pewna, jak Vera i Vi odnoszą się do perspektywy sprzedaży ziemi, którą uprawiały przez całe życie. Z drugiej strony, pomyślała, ostatnio obie wydawały się znacznie słabsze. Ten pożar osłabił ich siły. „Nie jestem pewna, czy czujemy się psychicznie na siłach, aby tam wracać”, wyznała jej Violet jeszcze w szpitalu.

– Były tu dwa dni temu, przyszły na naszą kolację na zakończenie winobrania. Pomagaliśmy im zajmować się winnicami po pożarze, a Mark kupił niemal wszystkie ich winogrona. Dowiem się, czy nadal są w dolinie. Chyba zatrzymały się u pani B.

– Pani B?

– U Brendy, poprzedniej gospodyni z Kalkari.

– Prowadź, siostrzyczko! Zawsze mówię, że trzeba kuć żelazo, póki gorące. Chodź, chodź, nie robię się coraz młodszy. – Henry dopił resztkę kawy i wstał, gotowy do drogi. Rose zdała sobie sprawę, że on zawsze się spieszył, nawet jako nastolatek. Zawsze miał mnóstwo planów. Z jej bratem nigdy nie było nudno. Czasem było to męczące, ale nigdy z nim się nie nudziła.



Tak jak Rose się spodziewała, znaleźli Verę i Violet u pani B, w jednym z pastelowych domków pokrytych sidingiem przy drodze do Eumeralli.

– Dobrze, że jeszcze nas tu zastałaś. Jutro ruszamy z powrotem na wybrzeże – powiedziała Vera,

wpuszczając ich do środka.

– Rose, jak miło cię znowu zobaczyć – dodała Violet. – A kim jest ten przystojny młody człowiek? – zatrzepotała rzęsami.

– Vi, przestań! Jest dla ciebie znacznie za młody! – huknęła Vera i zaśmiała się głośno. Jej śmiech przeszedł w dławiący kaszel. – Cholerne płuca nadal nie doszły do siebie, szlag by to trafił.

– Słyszałem o pożarze, panno Trevelyn. Niezmiernie mi przykro – powiedział Henry, uruchamiając swój urok osobisty.

– Dobrze, że Rose była w pobliżu i zauważyła dym. Inaczej usmażyłybyśmy się na chrupko. – Violet aż wzdrygnęła się na tę myśl. – Nastawić herbatę?

– Bardzo proszę – rozpromienił się Henry. Lubił herbatę niemal tak bardzo, jak wino.

Kiedy usiedli w niewielkiej kuchni, Henry rozpoczął swój jednoosobowy show.

– Drogie panie, nie chcę wam zajmować zbyt dużo czasu, ale usłyszałem, że myślı panie o sprzedaży swojej posiadłości. Jeżeli tak jest, chciałbym złożyć paniom ofertę.

Violet wyglądała na zaskoczoną.

– Wieści szybko się rozchodzą, co? Cóż, za odpowiednią cenę i odpowiedniemu człowiekowi – spojrzała na siostrę – mogłybyśmy to z pewnością rozważyć.

– Spokojnie, Vi – wtrąciła Vera. – Prawda, rozmawiałyśmy o tym, ale tylko ogólnie. Nadal nie jestem przekonana do sprzedaży naszego rodzinnego domu. Czy też tego, co z niego zostało.

– Rozumiem, że jest to bardzo trudna decyzja – przyznał Henry. – Mam jednak dobre intencje. Mogę to paniom przysiąc. Chciałbym wydzierżawić winnice Markowi Cameronowi z Kalkari. Słyszałem, że Jake doskonale sobie radzi, zarządzając nimi teraz, i nie widzę powodu, dla którego miałyby się to zmienić.

– Proszę mówić dalej – powiedziała Vera.

– Chciałbym też odbudować dom i przerobić go, na przykład, na pensjonat albo nawet restaurację. To może być dobry biznes.

– Chłopie – roześmiała się Violet. – Urobisz się po łokcie, próbując go odbudować. Widziałeś go po pożarze?

– Może i tak. Ale rozmawiałem wczoraj z paroma osobami i zajrzałem tam dziś z samego rana.

– Cóż, dobrze by było, gdyby ktoś go odbudował – powiedziała Vera. – Nawet jeśli my nie jesteśmy w stanie tego zrobić.

Siostry wymieniły spojrzenia. Rose widziała, że są rozdarte, i miała nadzieję, że Henry nie będzie za mocno naciskać. Będą potrzebowały czasu, żeby przyzwyczaić się do myśli o sprzedaży.

– Proponuję taką kwotę. – Henry wyjął złożony kawałek papieru i położył go na stole. – Wydaje mi się, że to godna oferta, ale proszę to przemyśleć. Naprawdę nie chciałbym, żeby podjęły panie złą decyzję.

*Oooo, sprytnie, pomyślała Rose.*

Vera i Violet obiecały przemyśleć ofertę, a Violet mocno uścisnęła Rose na pożegnanie.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę rozważasz kupienie ich posiadłości – powiedziała siostra Henry’ego, kiedy jechali drogą wzdłuż doliny. – Albo cofam to. Znam cię, mogę w to uwierzyć.

– To dobra inwestycja, siostrzyczko. W porównaniu z Europą, w Australii ziemię można kupić za bezcen. Kursy walut także mi sprzyjają. Trzeba tylko załatwić wszystkie papiery i możemy brać się do



pracy. Możesz tego przypilnować w moim imieniu. Jeżeli oczywiście planujesz tu zostać.

Kto powiedział Henry'emu, że Rose może rozważyć pozostanie w Australii?



Rose jechała z powrotem krętą drogą do Kalkari, śpiewając na całe gardło. Zostawiła Henry'ego w pubie w Eumeralli i czuła się szczęśliwa. Wszystkie jej zmartwienia po prostu się rozplynęły. Nie mogła się doczekać powrotu do domu i spotkania z Markiem. Teraz, kiedy winobranie już się skończyło, musiała odbyć z nim poważną rozmowę i dowiedzieć się, jakie ma plany na przyszłość.

# Rozdział 42

Zajeżdżając do Kalkari, Rose natknęła się na granatowe BMW stojące w poprzek podjazdu, z otwartymi drzwiami od strony kierowcy. Musiała więc zawrócić na parking przy winiarni i tam zostawić samochód.

Idąc w stronę domu, usłyszała głosy. O Boże. Ten akcent. Na sam jego dźwięk poczuła, jak oblewa ją zimny pot. Cholerna Isabella. Dlaczego wróciła?

Rose ostrożnie wyjrzała zza rogu domu i zatrzymała się, nasłuchując.

– Ale, oczywiście, jeżeli nie chcesz, żeby to się udało... Kto wie, jak to się ułoży?

– Doprawdy, Isabello, nie sądzisz, że zachowujesz się nieracjonalnie? To w końcu nie jest tylko przyszłość moja, ale i twoich dzieci. Pomyślałaś o tym? Wydawało mi się, że wszystko ustaliliśmy.

– Dzieci będą zabezpieczone, już o to się nie martw. – Głos Isabelli wprost ociekał jadem.

*Co tu się w ogóle dzieje?*

Rose zdała sobie sprawę, że niezależnie od tego, co faktycznie się działo, przerwanie Markowi i Isabelli rozmowy nie byłoby pewnie dobrym posunięciem, więc wycofała się do szopy.



Wieczorem, kiedy przygotowywała kolację dla Leo i Luisy, poczuła ciężki zapach kobiecych perfum. Podniosła głowę i zobaczyła Isabellę stojącą w drzwiach z założonymi ramionami. Długie, krwistoczerwone paznokcie i jaskrawoczerwona szminka odcinały się groźnie od jej oliwkowej skóry.

– Ach, Rose, tu jesteś – powiedziała żona Marka pogardliwie. Podeszła do kredensu i oparła się o niego od niechcenia.

– Isabello – powiedziała Rose ostrożnie. – Czy czegoś potrzebujesz?

– Chyba nadszedł czas, żebyśmy sobie porozmawiały, prawda? To dość niezręczna sytuacja, moim zdaniem.

*Zdecydowanie masz rację.*

Rose zachowała milczenie, nie zamierzając ustępować Isabelli ani na krok. Nadal kroїła cebulę, mrugając od jej intensywnego zapachu.

– Mark. Mój mąż. – Isabella położyła nacisk na to ostatnie słowo. – On nie traktuje cię poważnie, wiesz? To dla niego, jak by to powiedzieć, potrzeba, którą musi zaspokoić. – Isabella wydawała się niezmiernie dumna z tego porównania. Szczerze mówiąc, pomyślała Rose, wyglądała jak kot, który opił się śmietanki, i to nie z miseczki, ale z całego wiadra. – To prosty facet. Bierze to, co mu dają, co się przed nim postawi. Nie jest zbyt wybredny, rozumiesz, co mam na myśli? Ale zabawa się skończyła. Obie chyba wiemy, że nadszedł czas, byś nas zostawiła w spokoju. Mark i ja jesteśmy partnerami.

Rose odjęło mowę.

– To nie jest twój dom, ale Mark jest zbyt słaby, żeby ci to powiedzieć. Słyszałam, że przyjechał twój brat. Może najwyższy czas, żebyście oboje wyjechali, hm?

Rose przestała szatkować cebulę. Ledwo zarejestrowała słowa Isabelli o wyjeździe, bardziej zabolą ją wyrażona przez nią opinia o Marku. Człowiek, którego opisywała Isabella, nie był mężczyzną, którego Rose знаła i którego pokochała. Był troskliwym, rozważnym człowiekiem, kochał swoje dzieci i swoją ziemię i zawsze starał się postępować jak najlepiej wobec bliskich mu osób. Rose z trudem usiłowała zapanować nad narastającym w niej gniewem. Ścisnęła mocniej rękojeść noża.

– Nie wierzę ci. Jesteś zwyczajnie zazdrosna, i dobrze o tym wiesz. Po prostu nie możesz znieść tego, że on jest szczęśliwy. Nie możesz znieść myśli, że on sobie kogoś znalazł, prawda? Teraz, kiedy odniósł sukces, chcesz go z powrotem. Ale nie możesz już strzelić palcami i go zawołać, już nie, nie tutaj. Sytuacja się zmieniła.

Isabellę zaskoczyły słowa Rose.

– Ach, więc kicia ma pazurki... Miau.

Siostra Henry'ego odwróciła się z powrotem do cebuli. W jednej ręce ścisnęła nóż, w drugiej trzymała kieliszek wina. Wiedziała, którym przedmiotem wyrządzi więcej szkód. Jaka ogromną satysfakcję przyniosłoby jej wbicie noża w – nie, nie w zgorzkniałe serce Isabelli, w końcu nie była psychopatką – ale chociaż w miękką część ramienia, przystawić ostrze do jej delikatnego gardła... Rose siłą powściągnęła budzącego się w niej i wybrała drugie rozwiązanie. Pełnym gracji ruchem nadgarstka chlupnęła z półobrotu zawartością kieliszka na białą bluzkę Isabelli.

*Szkoda dobrego czerwonego wina, ale co za satysfakcja.* Ten jeden raz Rose nie miała zamiaru żałować impulsywnego działania.

Wybiegła z kuchni. Pełne furii wrzaski Isabelli dzwoniły jej w uszach.



– Hej! – zaprotestował Jake, kiedy Rose, wypadając na werandę, wpadła prosto na niego. Biegła do szopy, żeby być tak daleko od żony Marka, jak to tylko możliwe.

– Prze... przepraszam – wyjąkała. Z oczu kapały jej łzy złości.

– O rany. – Jake złapał ją obiema rękami i poprowadził do szopy. Zamknął drzwi i przytulił ją mocno.

– Wszystko słyszałem. Rany, ależ to jest jędrza. Bóg jeden wie, co Mark w niej widział. Dobrze, że się jej postawiłaś. Wiesz chyba, że ona gada zupełnie od rzeczy? Każdy głupi widzi, jak bardzo Mark jest w tobie zakochany.

Rose przełknęła ślinę. Była przerażona swoim zachowaniem.

– Tak myślisz?

– Jasne. Wierz mi, ona po prostu chce się ciebie stąd pozbyć. Ktoś jej chyba powiedział o tobie i Marku, więc wróciła, żeby mu przypomnieć o jego zobowiązaniach.

– Zobowiązaniach?

– Połowa Kalkari nadal należy do niej.

Nagle wszystko nabrało sensu. Władza, jaką Isabella miała nad Markiem, jej widoczna przewaga

w ich relacjach, jej pewność siebie. Rose jęknęła. W co ona się wplątała? Teraz do niej dotarło, że tkwi w jakimś chorym trójkącie emocjonalnym. Sytuacja była beznadziejna. Mark nigdy się nie uwolni od Isabelli, niezależnie od tego, co mówił, a Rose zawsze będzie na przegranej pozycji. Mając udział w wytwórni, Isabella zawsze będzie podejmować decyzje, pojawiać się bez ostrzeżenia, burzyć dotychczasowy układ. Czy naprawdę tak ma wyglądać jej życie?



Jak się okazało, Isabella osiągnęła dokładnie to, czego chciała.

Kiedy Rose się nieco uspokoiła, zaczęła na chłodno analizować obecną sytuację. Od początku była ona dość skomplikowana i już się z tym pogodziła, ale tego już było za dużo. Nie miała zamiaru więcej znosić upokorzeń od tej wariatki.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Marka, ale w głębi serca czuła, że to nie ma sensu. Nie mógł powiedzieć nic, co poprawiłoby sytuację. Nic nie mogło jej zmienić. Wiedziała, co musi zrobić – nadszedł czas, aby zacząć minimalizować straty i wyjechać z doliny. W telefonie wybrała jedyny właściwy w tym momencie numer.

Zaczęła wrzucać wszystkie swoje rzeczy do plecaka. Ledwo udało jej się go dopiąć – podczas pobytu w Kalkari jakimś cudem jej ciuchy się rozmnożyły. Ze smutkiem zostawiła cudowną sukienkę Astrid w szafie. Nie szkodzi, i tak tylko przypominałaby jej o cudownych chwilach spędzonych tutaj. Rozłąka bolałaby wtedy jeszcze bardziej.

Po zaledwie kwadransie była gotowa. Kiedy zapinała ostatni pasek plecaka, do pustej sypialni wszedł Jake.

– Jasna cholera, Rose! Co ty wyprawiasz?

– Poddaję się, przepraszam. Markowi będzie znacznie łatwiej, jeśli mnie tu nie będzie i nie będę komplikować sytuacji. I tak ma sporo na głowie.

Mężczyzna próbował jej przerwać, ale Rose uniosła dłoń.

– Nie przekonasz mnie. Wyjeżdżam z Henrym i wracam do Anglii.

Jake patrzył na nią z zaskoczeniem.

– Myślałem, że jesteś silniejsza – powiedział cicho.

– Tak, ale nie jestem idiotką. Daj mi przejść, proszę.

Jake westchnął ciężko z rezygnacją.

– Nie będę stał na drodze kobiecie, która, jak widać, podjęła już decyzję. Ale uważam, że popełniasz duży błąd.

– Nie, jedyny błąd, jaki popełniłam, to zbyt długo tu byłam. Byłam głupia.

Jake wzruszył ramionami.

– Nie, Rose – powiedział łagodnie. – Wcale nie jesteś głupia.

– Nieważne. Zrobisz coś dla mnie? Możesz dać znać Markowi? Jest na drugim końcu doliny i tam nie ma zasięgu. Próbowałam się dodzwonić, ale bezskutecznie.

Kłamała. Nie próbowała wcale dzwonić, ale tego Jake nie musiał wiedzieć.

– Jasne. – Mężczyzna popatrzył na nią ze smutkiem. – Ale myślę, że wolałby to usłyszeć od ciebie. Nie

możesz poczekać parę godzin?

– Nie, muszę wieczorem złapać samolot.

Znowu kłamała, ale skoro już podjęła decyzję, to chciała się wydostać z Kalkari jak najszybciej.

Usłyszała klakson samochodu. Rzuciła ostatni raz okiem na pomieszczenie, które od paru miesięcy było jej domem. Nie chciała płakać, ale czuła się, jakby wielkie, ciężkie drzwi zatrzaskiwały się nieodwołalnie za życiem, które było takie wspaniałe. Żołądek ścisnął jej się boleśnie, ale próbowała zapanować nad oddechem.

Henry wrzucił plecak Rose do bagażnika jej samochodu i ruszyli do New Bridgeton, gdzie oddał swoje auto do wypożyczalni.

– Jesteś tego pewna, siostrzyczko? Przemyślałaś to dobrze? – zapytał, wsiadając do samochodu.

Rose zagryzła wargi i kiwnęła głową.

– Jestem absolutnie pewna.

## Rozdział 43

– *Cherie! C'est magnifique, że cię widzę!*

Powitanie Philippe'a było entuzjastyczne. Rose przyjechała do restauracji Rustica, nowego lokalu Philippe'a, od razu po odwiezieniu Henry'ego na lotnisko. Skłamała Jake'owi, że wraca do Anglii. Nie była jeszcze gotowa na porzucenie Australii i chciała zatrzymać się na trochę u przyjaciół w Bondi, a potem trochę pozwiedzać.

Kiedy Philippe ją przytulił, łzy wezbrały jej w oczach i na próżno usiłowała je powstrzymać.

– Hej, Rosie, co jest?

– To nic – powiedziała, przeciągając dłonią po opuchniętych oczach. – Po prostu cieszę się, że widzę przyjazną twarz. Mogę się u ciebie zatrzymać na parę dni?

– Jasne! Ale czemu tu jesteś? Co z twoją pracą?

Rose opowiedziała mu całą historię.

– Strasznie mi przykro, ale jego strata może być z korzyścią dla mnie. Jeśli nie masz nic jutro do roboty, to czy mogłabyś nam pomóc? Cukiernik właśnie nas zostawił i, jakby to powiedzieć, jestem w czarnej dziurze. – Philippe popatrzył na nią z nadzieją. – Jeżeli byłabyś zainteresowana, to mogłabyś zostać na stałe.

– Naprawdę? – Rose nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. – Jesteś pewien?

Tego właśnie potrzebowała – praca w kuchni była najlepszym znanym jej sposobem na zmartwienia. Znacznie lepszym niż wycieczka turystyczna, podczas której miałyby o wiele za dużo czasu na rozmyślanie o różnych rzeczach. Była w takim stanie, że wszelkie krajobrazy pogłębiłyby jej depresję.

Z jednej strony martwiła się, czy poradzi sobie w kuchni Philippe'a, ale szybko odegnała wątpliwości. Do diabła z małą skalą, pomyślała zdecydowanie. Czas skoczyć na głęboką wodę.

– *Je ne vinaigrette rien* – powiedziała z bladym uśmiechem.

– *Pardon?* – zapytał Philippe z zaskoczeniem.

– Nic takiego – uśmiechnęła się Rose. – Dobra, wchodzę w to. Jeżeli uważasz, że się nadaję.

– Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości.

– Co mamy w menu?

– Jutro cię we wszystko wprowadzę. – Philippe rzucił jej pęk kluczy. – Na razie idź do mnie. Frostie się wyprowadził i mam wolny pokój, jeżeli nie przeszkadza ci mieszkanie z deskami surfingowymi.



Następnego dnia Philippe omówił z Rose (na szczęście krótkie) menu deserowe i wyjaśnił, że większość

przygotowań na wieczór już za nimi.

– Przebierz się – podał jej wykrochmalony uniform kucharski – i jak najszybciej zacznij ruszać swój chudy *derrière*.

Usta Rose wygięły się w kpiący uśmiezek. Nigdy nie sądziła, że ktoś nazwie jej tyłek chudym. Po powrocie z łazienki znalazła się w malutkiej, zatłoczonej kuchni wraz z Philippe'em i dwoma innymi kucharzami. Nie miała czasu na nerwy.

O szóstej wieczorem przed drzwiami stała już kolejka – wyglądając na zewnątrz, Rose dostrzegła, że ludzie stoją wzdłuż ulicy.

– Jasna cholera, Philippe. Nie mówiłeś, że radzisz sobie aż tak dobrze.

– *Oui*, co mogę powiedzieć? – roześmiał się Philippe. – W tym miesiącu jesteśmy modni. To chyba zasługa koktajli, które miesza Benji.

– Jesteś zbyt skromny, chłopie. Tylko w zeszłym tygodniu mieliśmy tu dwóch krytyków kulinarnych. Dobra opinia się rozchodzi – zawołał od baru Benji.

– Chyba wiem, którzy to byli. Zamówili niemal wszystkie pozycje z karty i siedzieli, robiąc notatki na iPadach. Benji próbował ich podsłuchać, ale kiepsko się spisał. Ten to się w ogóle do niczego nie nadaje – odpowiedział Philippe, rzucając w Benjiego ścierką.

Krojąc owoce i karmelizując cukier, Rose zdała sobie sprawę, że w tych dobrze znanych czynnościach znajduje spokój. Philippe odtworzył w Bondi kawałek wiejskiej Francji – wystrój kawiarni przypominał podniszczoną chatę rybacką z Prowansji, z bielonymi deskami na podłogach i ścianach. Zupełnie nie pasowało to do otoczenia, ale jakoś magicznie działało, przyciągając zarówno stęsknionych za Europą ekspatów, jak i głodnych tubylców. Rustica była też hitem wśród modnych, ale strasznie zmiennych bywalców restauracji w Sydney. Adrenalina w kuchni udzielała się wszystkim. Rose była pod wrażeniem, patrząc na proste, smakowite dania wnoszone na salę. Philippe doskonale sobie radził. Nie miała zamiaru się skompromitować przy deserach i odczuła sporą ulgę, kiedy Philippe klepnął ją w plecy z uznaniem, patrząc, jak kończy przygotowywać pierwsze zamówienia. Miała nadzieję, że nie zawiedzie jego zaufania.

Dni mijały jeden za drugim, Rose wpadła w rutynę i była wdzięczna za brak czasu, aby myśleć o Marku i wszystkim, co zostawiła w Kalkari. Philippe ponownie ją zapewnił, że stanowisko w restauracji należy do niej, jeżeli tylko będzie tego chciała. Rose postanowiła odłożyć na później plany turystyczne i pogrążyła się w pracy. Dopiero po zamknięciu kuchni późno w nocy czuła w sercu znajomy ból. Tęskniła za psotną buzią Luisy i poważną twarzą Leo, zastanawiała się, co porabia Astrid, ale przede wszystkim, skonana po całym wieczorze na nogach, leżąc bezsennie w łóżku, tęskniła za Markiem. Za tym specjalnym uśmiechem, który miał tylko dla niej. Za jedwabistym dotknięciem jego skóry, za szybszym biciem serca, kiedy trzymał ją w ramionach. Serce jej się ścisnęło, kiedy obracała się z boku na bok, modląc się o sen, który pogrążyłby ją w nieświadomości. Skasowała numer Marka w komórce. To wszystko było zbyt skomplikowane. Nie mogła nawet myśleć o ponownym spotkaniu z Isabellą.

Bezsennie noce oznaczały, że rano Rose była zaspana, zmęczona i piekły ją oczy, ale zmuszała się do wyjścia na słońce, biegania lub pływania w oceanie. Wydawało jej się nieprawdopodobne, że wszyscy wokół są tak szczęśliwi i beztroscy, podczas gdy ona nie czuje zupełnie nic.

Uwielbiała jednak swoją pracę i, za zgodą Philippe'a, wprowadziła do menu kilka zmian,

uwzględniając w nim nowe smaki i modyfikując kilka deserów.

– Czekoladowe parfait z kandyzowanymi burakami, Rose? Jesteś pewna? – zapytał ją Philippe. Niemniej deser ten okazał się jednym z najpopularniejszych w karcie. Rose wreszcie miała okazję rozwinąć skrzydła i wykorzystać swoją wiedzę w praktyce. Czowała rosnącą pewność siebie. Może chociaż tego nie zepsuje.

Kiedy pewnego popołudnia przysłała do pracy, zauważyła, że Philippe nie jest tak rozluźniony, jak zwykle.

– *Alors!* Patrz na rezerwacje. Dziś będzie jeden z najważniejszych krytyków w mieście. Benji uważa, że to on – powiedział, pokazując Rose listę rezerwacji. – Tak, Benji?

Benji kiwnął głową zza baru.

– Wszystko musi być idealne – powiedział Philippe, niespokojnie przebiegając oczami menu i sprawdzając, czy wszystko spełnia jego oczekiwania.

– Nie wiem, czym się tak przejmujesz. Co wieczór mamy komplet. Nie moglibyśmy przyjąć więcej gości, nawet gdybyśmy chcieli. Komu potrzebni krytycy? – skontrowała Rose.

– Nam, kochanie. Mam ogromny kredyt do spłacenia, a poza tym chcemy, żeby miejscowi przychodzili tu również w zimie – odpowiedział.

– Jasne. – Rose zrozumiała w końcu, o co mu chodzi. – No dobra, to do roboty.

Kilka minut po ósmej do restauracji weszła para w średnim wieku i usiadła przy stoliku tuż przy oknie.

– To oni – syknął Benji, wchodząc tyłem do kuchni. – Jestem przekonany, że on ma na głowie perukę.

Philippe, który nigdy nie krzyczał, zaczął wywrzaskiwać polecenia. Rose chciała mu poradzić, aby się rozluźnił, ale uznała, że lepiej się nie odzywać i pochyliła się nad swoim stanowiskiem.

– Chyba im smakowało – powiedział Benji, kiedy para wyszła. W trakcie ich posiłku niezbyt subtelnie podsłuchiwał ich zza baru. – Słyszałem wyraźne pomruki zadowolenia.

– I zjedli wszystko z talerzy – dodała Kate. – Krytycy raczej tego nie robią.

– Naprawdę? – Philippe miał nadzieję w oczach. – No cóż, zrobiliśmy, co w naszej mocy. Dobra robota, kochani, dziś przynieśliście Rustice chlubę. Kto chce się czegoś napić? Ja na pewno chcę. Benji, zrób mi, proszę, dużą porcję Blonde Française, *tout de suite*.



# Rozdział 44

Ruszając na przedpołudniową przebieżkę po plaży kilka tygodni później, Rose na dobre zapomniała już o wizycie krytyków kulinarnych. Jej dni wypełnione były bieganiem, pracą i snem. Nie odróżniała jednego dnia od drugiego. W zasadzie nie pamiętała, jaki jest dzień tygodnia, nie mówiąc już o tym, jaki jest miesiąc. Zauważyła, że powietrze się ochłodziło, a plaża jest mniej zatłoczona, ale w Rustice – jeśli to możliwe – zrobiło się tylko jeszcze gwarniej, a w menu pojawiły się zawiesziste zupy, sycące dania rybne z czosnkiem i potrawy mięsne. Rose eksperymentowała z brioszkami nasączonymi calvadosem, crème anglaise oraz deserami gruszkowymi z anyżkiem. Nie kusiło jej jednak podjadanie przepysznych składników. Dżinsy, które kupiła podczas pobytu w dolinie, zrobiły się luźne, i musiała wybić w pasku jeszcze jedną dziurkę, żeby z niej nie spadały. Philippe ganił ją, że robi się zbyt chuda, ale nie zwracała uwagi na jego słowa. Jakoś nigdy nie miała czasu na coś więcej niż szybki posiłek w towarzystwie zespołu Rustiki raz dziennie, a w lodówce w mieszkaniu Philippe’a nie było nic poza kilkoma wyschniętymi cytrynami i butelką wódki. Zresztą i tak nie miała apetytu.

Po prysznicu Rose przebrała się w biały uniform i poszła do restauracji. Przy ustawionych na zewnątrz stolikach siedzieli już goście i wygrzewali się w słońcu. Kiedy otworzyła drzwi, ktoś niemal zwałił ją z nóg.

– Rose! – Benji uniósł ją do góry, zakręcił dookoła i ucałował w oba policzki, nim postawił ją na ziemi.

– A to za co?

– Masz, czytaj! – Zamachał w jej stronę gazetą, uśmiechając się szeroko.

– „Rustica, sensacja tego lata, jest słusznie uważana za najmodniejszy adres w mieście. Ale nie idźcie tam tylko po to, żeby gapić się celebrytów...” – przeczytała Rose. – „Nie pozwólcie też, aby zwiódł was swobodny wystrój i plażowe klimaty. Z kuchni w Rustice wyjeżdżają naprawdę fantastyczne potrawy... Rustica, nous sommes enchantés!”. Hej, to po prostu genialnie! – Rose była wniebowzięta sukcesem Philippe’a i całego zespołu.

– Czytaj dalej, Rosie, czytaj dalej! – poganiał ją Philippe, wychodząc z kuchni.

– „Anielka Rose Bennett, która niedawno dołączyła do zespołu, znacznie podniosła poprzeczkę mistrzom cukiernictwa, oferując gościom wybór słodkich potraw, które na nowo interpretują klasyczne prowansalskie przysmaki, a po których zjedzeniu człowiek może umrzeć szczęśliwy. Nasz faworyt? Aksamitna karmelizowana *tarte au citron* z nutką rozmarynu. Jest równie słodko cudowna i zaskakująca, jak i całe to miejsce”. Ooooh, to cudnie. – Rose zadrżał głos.

– Cudnie?! – Philippe nie wierzył własnym uszom. – To po prostu fenomenalnie. Temu gościowi trudno zaimponować, szczególnie w przypadku deserów. Powinnaś mi tu tańczyć.

– I patrzcie na to – dorzucił Benji. – Dali nam piętnaście punktów na dwadzieścia. To już czapka!

– Czapka? – powtórzyła Rose.

– Czapka kucharska. To jak system gwiazdek. Dostajesz od jednej do trzech czapek. Jedna czapka to dla nas ogromne wyróżnienie, bo w zasadzie prowadzimy kawiarnię – wyjaśnił Philippe.

– Recenzję opublikowali dziś rano i od tego czasu telefon się urywa – dodała Kate. – Mamy wszystkie stoliki zarezerwowane na cały miesiąc z góry.

Rose widziała, jak zachwycony był Philippe. Presja, żeby odnieść sukces, mocno mu ciążyła, a na twarzy pojawiły się kolejne zmarszczki, których tam nie było, kiedy przyjechała pierwszy raz do Sydney zobaczyć się z beztroskim baristą. Wtedy nie miał większych zmartwień niż prognoza pogody dla surferów na następny dzień. *Ależ czas zmienia ludzi*, pomyślała z ironią, widząc swoje odbicie w lustrze. Teraz zauważyła, jak spodnie wiszą jej na tyłku i jakie ma cienie pod oczami, zdradzające wiele bezsennych nocy. Postanowiła przestać się nad sobą użalać i zacząć naprawdę żyć. Miała złamane serce przez faceta, z którym nie mogła być – i trudno. Życie jest zbyt krótkie, żeby zamartwiać się rzeczami, których nie można zmienić.

– Jak to uczymy? – zapytała z uśmiechem.

– Dalszą ciężką pracą! – odpowiedział Philippe, wzdychając teatralnie. – Ale to będzie dobra zabawa.

– Zawsze! – zgodził się Benji.

Następnego popołudnia Rose pędziła do pracy jak na skrzydłach. Philippe dał jej wolne na poranną zmianę, więc się wyspała, czego jej bardzo brakowało, a potem poszła do fryzjera. Zamiast ciężkiej zastony, która wisiała jej na plecach, teraz miała włosy do ramion, które powiewały lekko przy każdym kroku. Na duszy też jej było lżej. Kilka godzin snu zmniejszyło nieco cienie pod jej oczami, a na śniadanie udało jej się pochłonąć miskę owoców, ogromny rogalik z migdałami i wielką latte. Do tego, kiedy siedziała na balkonie, nad morzem pojawiła się podwójna tęcza. To dobry znak, uznała, mimo że próbowała nie wierzyć już tak bardzo w głupie przesady.

– Hej, Rose – Benji powitał ją gwizdnięciem. – Wyglądasz wspaniale. Ekstra fryzura, kotku.

– Dzięki. Już najwyższy czas, żebym coś zrobiła z włosami.

– Wybrałaś sobie dobry dzień. Ktoś na ciebie czeka już od dłuższego czasu.

Rose spojrzała we wskazanym kierunku i jej serce niemal przestało bić. Restauracyjny hałas ucichł, kiedy zobaczyła twarz, za którą od tak dawna tęskniła. Twarz, która nawiedzała ją w snach.

*Czy to naprawdę on?*

Spojrzała na ciemne włosy, zielone oczy i zmysłowe usta. Jego widok był dla niej niesamowitym darem losu. Nie miała pojęcia, po co przyjechał. Skąd w ogóle wiedział, gdzie ona pracuje? Co robił w Sydney? Może był akurat w mieście i po prostu chciał się z nią zobaczyć, jak z dobrą znajomą? Rose usiłowała opanować zdenerwowanie. Nerwowo wytarła ręce o spodnie i podeszła do stolika.

– Cześć, Rose – powiedział Mark, patrząc na nią. Nie mogła odwrócić wzroku. Patrzenie na niego było jak ogrzewanie się przy kominku. Była zupełnie bezsilna. Tłumaczyła sobie tyle czasu, że wszystko skończone, że znalazła inne rzeczy, które ją uszczęśliwiały, ale jedno spojrzenie na jego twarz – tak piękną i znajomą – i zapadła się w tę miłość od nowa.

– Cześć – odpowiedziała cicho.

– Możesz usiąść? Muszę z tobą porozmawiać.

– Tak właściwie to powinnam zacząć pracę.

– Proszę, naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

– A jest jeszcze coś do dodania?

– Proszę, wysłuchaj mnie tylko – błagał Mark.

– Staram się o tobie zapomnieć i wymazać z pamięci całą dolinę Shingle – wyszeptwała. – A to mi nie

pomaga.

Cameron wyglądał na zranionego. Rose poczuła ucisk w żołądku.

– Powiem im, że wychodzę na pół godziny.

Ręce jej się trzęsły, kiedy pchnęła wahadłowe drzwi kuchni. Philippe podniósł na nią wzrok. Nie musiała nic mówić.

– Idź, masz tyle czasu, ile potrzebujesz – powiedział z naciskiem.

– Dzięki – odpowiedziała bezgłośnie i wróciła do sali.

– Przejdźmy się – zaproponowała. Nie mogła usiedzieć w miejscu; ze zdenerwowania trzęsły jej się ręce. Nie chciała też, aby ich rozmowę podsłuchiwał Benji i połowa gości w restauracji.

Zeszli na plażę. Mark zeskoczył z kamiennego murka na piasek i wyciągnął do niej rękę. Zignorowała to, bo czuła, że gdy go dotknie, to już nie pozwoli mu stąd odjechać. Zeskoczyła koło niego i poszli razem nad wodę, gdzie pieniaące się fale rozmywały ciemno-złoty piasek. Popatrzyła ukradkiem na idącego oboj jej mężczyznę i poczuła zawroty głowy na wspomnienie jego pocałunków, dotyku dłoni, dźwięku jego głosu, miękkich włosów, korzenno-mydlanego zapachu jego ciała. Doskonale je znała. Zmusiła się, żeby odwrócić wzrok.

– Jak się miewasz? – zapytał.

– Dobrze, dziękuję – odpowiedziała, po czym szybko dodała: – Mark, nie bawmy się w uprzejmości. Po co przyjechałeś?

– Jake mi to pokazał. – Mężczyzna wyciągnął pognieciony wycinek z gazety. Recenzję. – Nie miałem pojęcia, że jesteś jeszcze w kraju. Jake mi powiedział, że wróciłeś do Anglii. Ale kiedy tylko to zobaczyłem, musiałem przyjechać i się z tobą zobaczyć. Co się stało?

Teraz to Rose poczuła się zakłopotana.

– Postanowiłam zostać w Bondi. U Philippe’a zwolniło się miejsce... Nie byłam gotowa na powrót do Anglii, ale wolałam, żebyś myślał, że wyjechałam. Nie chciałam, żebyś próbował się ze mną kontaktować. To było po prostu za dużo, Isabella i ...

Mark skinął głową.

– Doskonale sobie poradziłaś. Zaslugujesz na ten sukces.

– To był trochę szalony okres. – Uśmiechnęła się słabo.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Mark nagle się zatrzymał. – Rose, nie umiem pięknie przemawiać.

Wziął głęboki oddech.

– Jestem tu, bo cię kocham. Tęsknię za tobą tak mocno, że czuję fizyczny ból. Dom bez ciebie jest tylko pustym budynkiem. Jesteś pierwszą osobą, o której myślę rano, i ostatnią wieczorem. Nie mogę bez ciebie żyć, Rose.

Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Tak długo czekała na te słowa. Ale była jedna przeszkoda. W dodatku dość trudna do usunięcia.

– A co z Isabellą?

Mark wziął ją za rękę. Rose zadrżała pod jego ciepłym, silnym dotykiem.

– Chodziło jej tylko o pieniądze. Zawsze tylko na tym jej zależało. Kiedy wygrałem Jimmy’ego Watsona, to natychmiast się pojawiła. Ale wreszcie się od niej uwolniłem.

Nadal nie mogła mu uwierzyć.

– To samo mówiłeś ostatnim razem.

– Tym razem to prawda – nalegał.

– Mark, tak wiele się wydarzyło. Nie mogę wrócić, już nie, nie teraz... – Jej głos ucichł.

– Tak, rozumiem. Oczywiście. – Cameron wyglądał na załamane. – Łudziłem się, że cię przekonam do powrotu. Ale tak wiele tu osiągnęłaś. Może mógłbym się z tobą widywać, kiedy będę w Sydney? Mógłbym tu przyjeżdżać mniej więcej co tydzień. Daj nam szansę, proszę. Nie chcę cię znowu stracić.

Rose przyglądała mu się uważnie.

– Przykro mi, ale nie mogę. Nie mogę się tobą dzielić.

– Dzielić się mną? O czym ty mówisz?

– Naprawdę chcesz to usłyszeć? – zirytowała się Rose.

– Przecież już ci to wyjaśniłem. Isabella wróciła do Hiszpanii. Wyjechała kilka dni po tobie. Obiecała, że kiedy przyjedzie się zobaczyć z dziećmi, to zatrzyma się w Eumeralli, nie w Kalkari. Już nigdy nie będziesz musiała jej oglądać. Powiedziałem jej o swoich uczuciach do ciebie. Zgodziła się na rozwód.

– O. – Rose była zaskoczona.

– I dzieci strasznie za tobą tęsknią.

– Mnie też ich bardzo brakuje! – wykrzyknęła. Przypomniała sobie wesołe oczy Luisy i nieśmiały uśmiech Leo. Zamilkła, rozważając słowa Marka.

Wyglądał tak nieszczęśliwie. Serce jej pękało.

– Rose, czy nie możesz mi uwierzyć, kiedy ci mówię, że tak bardzo za tobą tęskniłem? Nie chcę cię już nigdy stracić – powiedział z naciskiem. – Ale zrozumieć, jeśli nie będziesz chciała wyjechać z Sydney. Widzę przecież, że doskonale tu sobie radzisz. Robisz to, w czym jesteś świetna, to, co zawsze chciałaś robić.

– Nie, to się nie uda – odpowiedziała Rose zdecydowanie. Wyraz jego twarzy tylko utwierdził ją w przekonaniu, że właśnie podjęła jedyną słuszną decyzję. – Chcę cię widywać częściej niż raz na kilka tygodni. Tak na marginesie, życie bez ciebie nie jest wcale takie wspaniałe. Wszystkie recenzje kulinarne tego świata nie zastąpią mi życia z kimś, kogo kocham z wzajemnością.

– Naprawdę? – Na twarzy mężczyzny widać było niedowierzanie.

– Ale Mark... – zawahała się, odsunęła od niego i przygryzła dolną wargę. – Muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

Musiała być wobec niego szczerą. Teraz albo nigdy.

# Rozdział 45

Rose przełknęła ślinę.

– Wiesz, mmm, ja tak naprawdę nie przyjechałam do Kalkari, żeby być opiekunką.

– Wiem.

– Co takiego? – Rose odebrało mowę.

– Henry się przyznał. Powiedział też, że fatalny z ciebie szpieg. Podobno nie dostał od ciebie żadnych przydatnych informacji.

Upokorzona Rose podniosła wzrok, ale z zaskoczeniem stwierdziła, że w oczach Marka widać było rozbawienie.

– Proszę, nie żartuj sobie ze mnie. Nie zniosę tego teraz – jęknęła. – Cały czas czułam się fatalnie z tego powodu.

– Nie przejmuj się. – Mężczyzna wziął ją za rękę. – W każdym razie ja też ci się muszę do czegoś przyznać.

– Do czego?

– Kiedy Henry pojawił się w dolinie Shingle, to nie było nasze pierwsze spotkanie. Poznaliśmy się, kiedy byłem w Londynie. To właśnie wtedy poprosił mnie, żebym się tobą opiekował. Przyznał, że prosił cię, żebyś szpiegowała dla niego w Kalkari, choć nie planował wykorzystywać uzyskanych od ciebie informacji. Powiedział, że to była raczej wymówka, żebyś wyjechała z Anglii i odnalazła jakiś cel w życiu. Wiedział, że nie porzucisz Londynu bez naprawdę dobrego powodu. On cię dobrze zna, kochanie – zawsze biegniesz innym na ratunek. To zresztą jedna z rzeczy, które kocham w tobie najbardziej.

– Co, u diabła? To ja przez tyle czasu mam wyrzuty sumienia, że muszę cię oszukać, a ty cały czas wiedziałeś? – Rose wpadła w furię. – Zabiję tego drania, kiedy go zobaczę.

– Nie bądź dla niego taka surowa. Chciał dla ciebie jak najlepiej.

– Huh. Od tej pory lepiej niech się nie wtrąca w moje życie.

– Zapomnij o nim, Rose. Naprawdę wrócisz? Do domu, do doliny Shingle? Będziesz moja?

– A chcesz? – W jej głosie słychać było niepewność.

– Lepiej w to uwierz. Naprawdę chcę.

– Dobrze, ale musisz mnie natychmiast pocałować – powiedziała Rose, zaskoczona swoją odwagą.

Mark spojrzał na nią i uśmiechnął się szeroko. Nie potrzebował dalszej zachęty. Wyciągnął do niej ramiona.

Przytuliła się do niego i poczuła jego cudowny, znajomy zapach. Uniosła twarz i pocałowała go w usta, napawając się tą chwilą.

Po pewnym czasie Mark niechętnie się od niej odsunął.

– Moment.

– Co się stało?

– Jest tu parę osób, które chciałyby się z tobą zobaczyć. Uznałem, że jeśli ja cię nie przekonam, to może im się uda. Chodź – pociągnął zaskoczona Rose za sobą.

Wziął ją za rękę i poszli razem wzdłuż plaży. W oddali dostrzegli dwie małe postaci i jedną większą pchającą wózek, który wyglądał jak najnowszy projekt NASA.

Dzieci!

Rose puściła rękę Marka i zaczęła biec w ich stronę.

– Leo! Luisa! – zawołała. Wiatr porwał jej słowa i poniósł w ich kierunku.

– Cześć kochani! Jak się macie? – Rose śmiała się serdecznie. Uścisnęła ich oboje mocno i obsypała pocałunkami.

– Losie! – wołała Luisa. – Losie! Tęskniliśmy!

– Ja też, kochanie, ja też.

– Astrid ma dziecko! – Leo dumnie wskazał na wózek.

– Cześć – zawołała dziewczyna, doganiając ich i ściskając mocno Rose. – Poznaj Maxa.

– Och, Astrid, jest jeszcze ładniejszy niż na zdjęciach, które mi przysłałaś. Tak mi przykro, że nie byłam przy porodzie.

– Nic się nie przejmuj, Thommo doskonale dał sobie radę. Jest strasznie dumny ze swojej roli.

Rose gruchała nad uroczym, tłustym i posapującym przez sen zawiniątkiem w wózku, ale Mark znowu odciągnął ją na bok.

– Rose, jest jeszcze jedna sprawa.

– Jeszcze jedna? – Co on tym razem planował? Rose nie miała już chyba siły na kolejne niespodzianki.

– Tak. Mam nadzieję, że to cię przekona ponad wszelką wątpliwość. Pewnie tego nie wiesz, ale połowa Kalkari należała do Isabelli.

– Słyszałam – kiwnęła głową.

– Gdy założyłem działalność, to ona również w nią zainwestowała pieniądze z firmy jej rodziny. Kiedy w zeszłym roku wróciła do Hiszpanii, wykorzystała tę inwestycję jako broń przeciwko mnie, grożąc, że sprzeda swój udział mojej konkurencji z doliny. Mówiła, że rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy – przejęła rodzinną wytwórnię w Hiszpanii i chciała ją rozbudować. Całą ostatnią zimę poświęciłem na zbieranie kasy, żeby ją wykupić, i chciałem zyskać na czasie. Nie wspominałem ci o tym i teraz myślę, że powinienem być ci powiedzieć wcześniej. Chyba po prostu nie chciałem cię przestraszyć. Teraz jednak się od niej uwolniłem, chociaż sporo mnie to kosztowało.

– Ale skąd wzięłeś pieniądze, żeby ją wykupić?

– Zawarłem spółkę.

– Z kim? – Rose zaczęła coś podejrzewać. – Żartujesz sobie. Z Henrym? Serio?

– Zgadłaś za pierwszym razem – uśmiechnął się Mark.

– Poczekaj, czy ja dobrze rozumiem, że Henry jest właścicielem posiadłości Trevelyn i połowy Kalkari? Czy on próbuje wykupić połowę planszy w Monopolu?

– I dobrze – roześmiał się Cameron. – Nie ma zamiaru wtrącać się w sposób, w jaki robię wino,

a nawet planuje dodatkowy zastrzyk kapitału.

– Dobry Boże. Teraz już utknąłeś z nami na dobre!

– I jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy, Rose Bennett.

## Rozdział 46

Wchodząc na szczyt górującego nad Kalkari wzgórza, Rose widziała, jak jej oddech tworzy białe kłęby pary w zimnym powietrzu. Na samym szczycie zatrzymała się i rozejrzała po okolicy. Z mgły wyłaniał się ponury krajobraz z uśpionymi, nagimi krzewami winorośli. Słońce wschodziło nad wzgórzami Shingle; pojedynczy promień przebił się przez chmury, rozświetlając dolinę. Błogosławiona ziemia. Jej ziemia. Należała do niej tak samo, jak ona i Mark należeli do siebie, choć nadal nie mogła uwierzyć, że jej niewielka część należy tylko do niej.

Podciągnęła suwak kurtki pod samą brodę i pogratulowała sobie w duchu, że przed wyjściem włożyła czapkę.

– Chryste, nie jest ani trochę cieplej – mruknęła. Lato było tak długie i upalne, że już niemal zapomniała, jak zimno może być w dolinie o tej porze roku.

Po lewej stronie na tle wzgórza widać było pokryty czerwoną dachówką dach i białe ściany Trevelyn. Nie mogła się powstrzymać, aby jeszcze raz nie zajrzeć do domku. Zdjęła zabłocone buty na ganku i dotknęła kłamki. Była nowa, ale stara – podobnie jak większość zmian, które wprowadzono w minionych miesiącach, aby przywrócić porządek w zniszczonym domu. Udało im się wykorzystać do tego drewno i cegły ze zlikwidowanego kościoła w dolinie.

– Zmieniłaś to miejsce w coś naprawdę fantastycznego – powiedział Mark poprzedniego dnia, kiedy z dumą oprowadzała go po wyremontowanym budynku.

Wyciągnęła klucz i wsadziła go do lśniącego, mosiężnego zamka. Poczwała ostry zapach świeżej farby.

Rose przeszła korytarzem do lśniącej, nowej kuchni. Pozostałą część domu urządzono w stylu rustykalnym, ale kuchnia była nowoczesna, z ogromnym przemysłowym piekarnikiem, kuchenką gazową i olbrzymią chłodnią wypełnioną już mięsem, rybami, owocami, warzywami i zbiornikami pełnymi mleka i śmietanki. Zatrudniła dwóch młodych kucharzy do pomocy i wspólnie zaplanowali już większość menu na dzisiejszą uroczystą kolację przed otwarciem. Na deser będą trzy idealne sześcioramienne, lukrowane tarty czekoladowe, które stały dumnie na półkach w chłodni.

Rose postawiła ciężki czajnik na kuchence i przeszukała spiżarnię w poszukiwaniu herbaty. Wsypując listki do jednego z nowych, ciemnoniebieskich japońskich imbryków, w które wyposażyla restaurację, spojrzała przez kuchnię na salę jadalną. Stary dom zupełnie zmienił wygląd. Cały parter był teraz jedną otwartą przestrzenią. Dwu-, cztero- i ośmioosobowe stoliki otaczały ogromny drewniany stół centralny, który był zastawiony wazonami z liśćmi i pachnącymi wiosennymi kwiatami.

Podczas gdy herbata się parzyła, Rose wyszła na zewnątrz. Zauważyła, że rosa osadzała się na trawach, a mgła zaczęła się unosić. Zapowiadał się piękny dzień. Piękny, ale zimny. To jednak nie będzie problem w restauracji – nalegała na instalację najlepszego ogrzewania podłogowego, jakie tylko mogła



dostać, a także przytulny otwarty kominek w jednym rogu dużej jadalni. Po ciężkich przeżyciach w szopie w Kalkari nie miała zamiaru oszczędzać na ogrzewaniu.

Splatając palce na kubku, pomyślała o całej tej pracy, dzięki której jej marzenie o małej wiejskiej restauracji i cukierni stało się rzeczywistością. Podróżowała po całej dolinie, z poświęceniem zdobywając najlepsze składniki od lokalnych producentów – robione na zamówienie sery z mleczarni Shingle Dairy, oliwę z oliwek z farmy po drugiej stronie Eumeralli, jagnięcinę i wołowinę z pobliskich gospodarstw i jajka z własnej hodowli. Każdą z kur nazwała na cześć ulubionych kucharek – Alice, Julia, Ina, Elizabeth i Kylie. Nadzorowała remont i poprosiła o pomoc Astrid, aby uzyskać ciepłą, przyjazną atmosferę. Astrid zaprojektowała także znak – jeden zwisał dumnie z okapu dachu, a drugi stał przy głównej drodze. Spizarnia Trevelyn. Co do nazwy nigdy nie miała wątpliwości.

Na ten wieczór zaplanowała otwarcie. Gośćmi honorowymi były Vera i Violet (które teraz mieszkały sobie spokojnie w małym kamiennym domku wniedaleko głównej ulicy w Eumeralli). Oprócz nich zaprosiła rodzinę i przyjaciół – Dana, Boba, Charliego i Thommo, Astrid, Bevan i Angie, panią B, Deano, Bena i Jake’a. A także, jak się okazało, pół doliny. No i naturalnie Marka. Ten mężczyzna wypełniał każdy jej dzień radością i szczęściem. Był jej obrońcą, kochankiem i przyjacielem.

Rose wypiła herbatę i wróciła do kuchni.

Miała dużo pracy.

# Podziękowania

Mam ogromny dług wdzięczności wobec wielu osób, bez których *Winnica Rose* nie ujrzałaby światła dziennego.

Przede wszystkim dziękuję mojej agentce Margaret Connolly, która w tej książce dostrzegła nieoszlifowany diament i umożliwiła jej wydanie, za dobre rady, nieustające wsparcie i za to, że wierzyła we mnie jako pisarkę.

Dziękuję mojej siostrze Betty, która jako pierwsza czytała to, co napisałam – twoje zachęty, liczne narady fabularne i rzeczowe porady były dla mnie oparciem i zachętą do dalszej pracy.

Dziękuję moim pierwszym czytelnikom – Mercedes, Di, Jane C. i Jane R. Wasz entuzjazm wobec *Rose* i doliny Shingle przerósł moje oczekiwania. Tak, na pewno napiszę ciąg dalszy, obiecuję!

Dziękuję Piratom – już Wy wiecie, o kogo chodzi – za entuzjazm, bezpośredniość, inspirację i szczery śmiech.

Dziękuję Maxowi Allenowi za jego fascynujące i inspirujące badanie nad australijską biodynamiczną i organiczną uprawą wina, którą przedstawił w pracy *The Future Makers: Australian Wines for the 21st Century*, oraz załodze wytwórni Short Sheep, która wyjaśniła mi, między innymi, zalety hodowania owiec miniaterek rasy Babydoll w winnicach. Wszelkie błędy dotyczące produkcji wina, jakie mogły się zakraść do książki, są wyłącznie moją winą.

Dziękuję Ali Watts za słowa pełne zachęty i za mądre rady. Dziękuję mojej wydawczyni Jeanne Rychmans (która opowiada najlepsze, a w dodatku prawdziwe historie!) za pełne zrozumienie mojej wizji książki, a także mojej spokojnej i łagodnej redaktorce Kirstie Innes Will – dzięki Twojej ciężkiej pracy i doskonałym sugestiom ta książka naprawdę wiele zyskała.



## Kayte Nunn

jest redaktorka, od niemal 20 lat  
pracuje dla wielu magazynów  
lifestyle'owych, pisać o podróżach,  
zdrowiu, rodzicielstwie, życiu  
codziennym. Mieszka w Australii  
z dwiema córkami.

*Winnica Rose* to jej debiut.

- 
- 1 *Nie ma tu nikogo, tylko my, kury* – tytuł piosenki Louisa Jordana (przyp. tłum.).
  - 2 Wielokrotnie nagradzany program kulinarny, w którym dwunastu uczestników konkuruje ze sobą na jak najlepsze i najpiękniejsze ciasta (przyp. tłum.).
  - 3 *Cork* (ang.) – korek.

## Ucieczka na koniec świata miała uleczyć złamane serce. Stała się początkiem tego, na co czeka się całe życie.

Rose uwielbia gotować, a francuską kuchnię ma w małym palcu. Gdy jednego dnia traci chłopaka i pracę, jest zupełnie zalamana. Nic jej nie trzyma w Londynie, korzysta więc z oferty złożonej przez brata – w Australii może się zająć domem właściciela winnicy. Oferta jest z małym haczykiem. Na miejscu Rose ma wykonać dla brata dodatkowe, tajne zadanie.

Mark świetnie zna się na winie. Od miesięcy rozpaczliwie próbuje ocalić od upadku swoją winnicę, której poświęcił całe zawodowe życie. Jego żona wyjechała z kochankiem i pozostawiła go z małymi dziećmi. Dlatego Mark szuka kogoś, kto ogarnie domowy chaos.  
Tak trafia na Rose.

### Dzieliło ich wszystko. Pół świata, 10 lat różnicy wieku i życiowe plany.

Czy te dwa złamane serca w ogóle mogą do siebie pasować?  
Czy Rose zdecyduje się wykonać to, po co naprawdę przyjechała do Australii? I co zrobiłby Mark, gdyby się o tym dowiedział?

Jeśli uwielbiasz film *Dobry rok*,  
ta książka jest właśnie dla Ciebie.

Patroni medialni

InStyle

Claudia

Kobiera.pl

Cena 34,90 zł



Zamówienia  
[burdaksiazki.pl](http://burdaksiazki.pl)  
tel. +48 22 360 37 77

Zarezerwuj kod  
i pobierz  
darmową  
próbę książki

